

POLITYKA I WYMIAR SPRAWIEDLIWOŚCI

Kulisy wyboru Małgorzaty Manowskiej
- nowego I prezesa Sądu Najwyższego



Ziemkiewicz przejrzał
plan opozycji

TYGODNIK LISICKIEGO

**DO
RZECZY**

NR 23/376 1-7 CZERWCA 2020

CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

ANNA POPEK
O GENERAŁOWEJ
ZAJĄCZKOWEJ



Warzecha ostro o ostatnich
interwencjach policji

JAK DALIŚMY SIĘ PRZESTRASZYĆ

COVID-19: pandemia czy psychoza



ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829



Nakład: 59 000 egzemplarzy

Miejsce na Twoje pomysły.



SIMPLY

SAFELY

FOR LESS



Rentis
Smart way to rent a car

+48 720 200 500

www.rentis.pl

info@rentis.pl

OGÓLNOPOLSKA WYPOŻYCZALNIA SAMOCHODÓW

- 📍 **BIAŁYSTOK** +48 519 535 331 📍 **BYDGOSZCZ** +48 519 535 300 📍 **GDAŃSK** +48 519 535 311 📍 **GORZÓW WLKP.** +48 519 535 327
📍 **KATOWICE** +48 519 535 301 📍 **KIELCE** +48 519 535 304 📍 **KRAKÓW** +48 519 535 305 📍 **LUBLIN** +48 519 535 318
📍 **ŁÓDŹ** +48 519 535 308 📍 **OLSZTYN** +48 519 535 314 📍 **OPOLE** +48 519 535 307 📍 **PŁOCK** +48 519 535 334 📍 **POZNAŃ** +48 519 535 303
📍 **RZESZÓW** +48 519 535 306 📍 **SZCZECIN** +48 519 535 310 📍 **WARSZAWA** +48 519 535 302 📍 **WROCŁAW** +48 519 535 307



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

W szponach emocji

Wydawało się, że mianowanie Małgorzaty Manowskiej pierwszym prezesem Sądu Najwyższego przez Andrzeja Dudę kończy dyskusję. Zgodnie z prawem to prezydent ma prawo dokonać wyboru spośród kandydatów zgłoszonych mu przez zgromadzenie ogólne sędziów SN. Tymczasem ledwo informacja o nominacji pojawiła się w mediach, zaczęła się, jak mogłoby być inaczej, kampania ataków. To, że przedstawicielka opozycji, Kamila Gasiuk-Pihowicz, jako pierwsza dała pokaz ignorancji, niczym dziwnym nie było. „Pani Manowska dostała poparcie tylko około jednej czwartej sędziów Sądu Najwyższego. Można więc powiedzieć, że jest »ćwierćprezesem«, wybranym w »ćwierćlegalnej« procedurze, zakończonej przez

przez zgromadzenie ogólne należy do niewielu pozytywnych prerogatyw głowy państwa.

Cóż, polityka to dziedzina, w której wielu po prostu chłapie jęzorem i stara się za wszelką cenę przez chwilę chociaż zwrócić na siebie uwagę. Zatem opinia reprezentantki opozycji dziwić nie powinna – faktycznie, na parę godzin zwróciła na siebie uwagę. Gorzej, że dokładnie w taki sam sposób zaczęli się wypowiadać tzw. specjaliści. I tak występujący w roli profesora UW Marcin Matczak napisał: „Kolejne rażące naruszenie Konstytucji przez PAD. Ustawa zasadnicza wymaga, aby I Prezesem SN była osoba przedstawiona przez Zgromadzenie [sic!] Ogólne, a więc większość sędziów. Prof. Manowska nie miała takiego poparcia i są wątpliwości, czy w ogóle jest sędzią”. Piszę z przekąsem „w roli profesora”, bo gdyby pan Matczak wygłaszał tego typu poglądy nie w mediach, ale na egzaminie z prawa konstytucyjnego, zostałby odprawiony z kwitkiem, to jest z dwóją (bądź pałą). Konstytucja wyraźnie mówi, że (art. 183 par. 3 ustawy zasadniczej) „Pierwszego Prezesa Sądu Najwyższego powołuje Prezydent Rzeczypospolitej na sześcioletnią kadencję spośród kandydatów przedstawionych przez Zgromadzenie Ogólne Sędziów Sądu Najwyższego”. Nie ma nigdzie nic o większości, mniejszości, średniości itd. Jednak żyjemy w Polsce i pan Matczak może się kompromitować do woli i dalej uchodzić za specjalistę.

Swoją drogą drobna dygresja – z niepokojem zauważyłem, że oprócz zasad ortograficznych prof. Matczak, od miesięcy guru „Gazety Wyborczej”, nie przyswoił sobie promowanych przez ten organ właściwych końcówek i z prawdziwie samczą beczelnością pisze o „I Prezie”, a nie „I Prezesce”, podobnie używa w stosunku do prof. Manowskiej określenia „sędzia”. Mam nadzieję, że na Czerskiej zrobią z tym porządek.

Wracając do prezydenta: zabawne, że z podobną falą oburzenia nie spotkała się inna jego

decyzja, a mianowicie wybór na prezesa Izby Karnej Sądu Najwyższego Michała Laskowskiego. Ruch bardzo ryzykowny. Sędzia Laskowski, przypomnę, nie tylko bronił jak lew prof. Małgorzaty Gersdorf, lecz także sformułował zasadę bezwzględnej wyższości prawa europejskiego nad polskim. Nie słyszałem, żeby się z tej opinii wycofał. Tak czy inaczej, prezydent go wskazał i sędzia, który do tej pory robił wrażenie wyjątkowo sceptycznego, nominację przyjął. Okazało się, że decyzje głowy państwa są prawomocne, kiedy dotyczą sędziów właściwych, a nieprawomocne, kiedy dotyczą sędziów niewłaściwych. Brr.

Wcałej historii – można powiedzieć, że to taka wisienka na torcie – ciekawą rolę odgrywa były promotor prezydenta. Występuje zawsze, kiedy należy z właściwych pozycji potępić i skrytykować. Tak było i teraz. Komentując powołanie Małgorzaty Manowskiej, podzielił się następującą mądrością: „Jeśli Andrzej Duda we wszystkim, co robi, zawsze działa zgodnie z zasadami wprowadzonymi przez partię rządzącą, to do przewidzenia było, że i teraz zachowa się tak, jak chce partia rządząca”. Naprawdę zachodzę w głowę, co się z niektórymi powyrabiało. Cała medialna kariera profesora oparta jest na tym, że był promotorem pracy doktorskiej Andrzeja Dudy. Można by powiedzieć, że jego występy to nic innego jak żerowanie na popularności prezydenta. Profesorowi najwyraźniej ta rola, nie wiem, jak to ująć, żeby nie było obraźliwie, może „pożytecznego narzędzia”, nie przeszkadza. Niezgrabione są widać pokłady narcyzmu i samouielbienia. Czekam, aż głos zabiorą wychowawca szkolny Andrzeja Dudy, nauczyciel historii, polskiego, WOS, a może WF. Profesor Zimmermann dał przykład.

Tak, z pewnego dystansu wszystko to dość groteskowe. Ale też smutne. Polityczne emocje każdego mogą ogłupić. ©©

RYСУNEK TYGODNIA

Zawsze głosuję na młodą owcę!



»ćwierćprezydenta« – napisała. Jak zwykle pokazała ona osobliwe połączenie tupetu z, ujmijmy to tak, ograniczonymi horyzontami myślowymi. Sędziowie nie dokonywali wyboru pierwszego prezesa SN, bo nie mieli takiego prawa. Oni jedynie przedkładali kandydatów prezydentowi. Gdyby prezydent chciał, mógłby wskazać również kandydata, na którego oddało głos kilku sędziów. Akurat prawo wyboru jednego sędziego z grona pięciu wskazanych mu



TEMAT TYGODNIA

18 TOMASZ CUKIERNIK
PANDEMIA CZY PSYCHOZA?
Lockdown nie był potrzebny

22 AGNIESZKA WÓJCIK
STARCY W ZAMRAŻARCE

KRAJ

24 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
SENACKA INTRYGA
O co chodzi przeciwnikom PiS

26 WOJCIECH WYBRANOWSKI
DOBRA ZMIANA W SĄDZIE NAJWYŻSZYM

28 ROZMOWA Z JACKIEM CZAPUTOWICZEM
**POLSKA Z PANDEMII
MOŻE WYJŚĆ MOCNIEJSZA**

30 PIOTR SEMKA
**MEDIÓW PUBLICZNYCH
BURZLIWE WYPADKI**

32 ŁUKASZ WARZECHA
POLICJA MILICJA

34 ŁUKASZ ZBORALSKI
ŁUDZIE KONTRA 5G

36 RADOŚLAW WOJTAS
REMONT U PUCHATKA

38 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
WIRUS NADWAGI

KULTURA

40 PIOTR GOCIEK
LABIRYNT SALMANA
Nowa powieść autora
„Szatańskich wersetów”

42 MARIA KĄDZIELSKA
HISTORIA Z PIĘKNEJ KRESKI

NIE PRZEGAP

44 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

50 JAKUB ZGIERSKI
NEOMARKSIZM ISTNIEJE
Po lekturze raportu Fundacji Batorego

52 TERESA STYLIŃSKA
ŚMIERĆ ZDALNIE STEROWANA

HISTORIA



54 ANNA POPEK
SEKRET GENERAŁOWEJ ZAJĄCZKOWEJ
Jak zachować młodość?

ŚWIAT

58 MACIEJ SZYMANOWSKI
TUSK UDERZA W ORBÁNA
Wypychanie Fideszu
z Europejskiej Partii Ludowej

60 PIOTR WŁOCZYK
ZAMACH NA HONGKONG

62 MAŁGORZATA WOŁCZYK
TEN, KTÓRY POPSUŁ HISZPANIĘ

EKONOMIA

66 CEZARY GMYZ
STRZEŻ SIĘ NIEMCÓW
Pomoc po pandemii

68 KAROL KAŻMIERZAK
POŻEGNANIE Z IMPERIUM

SPORT

72 ROZMOWA Z JANEM-KRZYSZTOFEM DUDĄ
MARZENIE KAŻDEGO SZACHISTY
Mam wiele problemów,
bo szachy nie są sportem olimpijskim

O ZDROWIU

74 ROZMOWA
Z GEN. PROF. GRZEGORZEM GIELERAKIEM
NIE MOŻNA BIERNIE CZekać
Jesienią druga fala epidemii?

FELIETONY: SEMKA (7), ZIEMKIEWICZ, WYBRANOWSKI (8), KOWALCZUK (9), GMYZ, GOCIEK (16), ZYCHOWICZ, KOPER (56), PRZYBYLSKI (64), GABRYEL, WARZECHA (70), KOMUDA (76), ZALEWSKI, MAKOWSKI (81), KUCHARCZYK (82)



Fundacja
im. Przemysława
Gintrowskiego

ZA WOLNOŚĆ W KULTURZE

NAGRODA IM. PRZEMYSŁAWA GINTROWSKIEGO

VEDYCJA NAGRODY



SZCZEGÓŁY NA WWW.GINTROWSKI.PL
LUB FUNDACJA@GINTROWSKI.PL

MECENAS KONCERTU:



PARTNER



PARTNER WSPIERAJĄCY:



PATRONI MEDIALNI:



Drodzy Czytelnicy!

Nieustająco zachęcamy do przesyłania korespondencji. Tę elektroniczną prosimy kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Głos zza miedzy

[...] Jestem obywatelem czeskim, mieszkam z rodziną na Śląsku Cieszyńskim po czeskiej stronie granicznej rzeki Olzy, w rozdzielonym mieście Cieszynie, ale tak naprawdę do 12 marca (do zamknięcia granic) żyliśmy w Polsce – od zakupów, przez kulturę, wycieczki, urlopy nad Bałtykiem... Dzieci chodziły do polskich szkół, które u nas funkcjonują jako kształcenie mniejszościowe. Państwa czasopismo dobrze znam, regularnie kupowałem „DRz” i „Historię DRz” dopóty, dopóki był dostęp do Polski, teraz kupiłem e-wydania. [...]

Widzę to u nas, przyjacielach z Polski, widzę to u nas, widzę to u znajomych na

dwa dłużej, a w nieskończoność nie można takiego stanu utrzymać. [...]

Wiem, że takie słowa na temat koronawirusa są łatwe do kwestionowania, kiedy ktoś przytoczy jakiś smutny los konkretnego człowieka. Ale wirus nie zniknie, jak na przykład woda po powodzi. Przyjdzie nam z nim żyć, ludzie ciągle umierają i będą umierać na choroby serca, nowotwory lub na powikłania swoich chorób i zwykłej grypy. O tym się nie mówi. Gorzko prawdziwy jest ten dowcip: „Mówi grypa do koronawirusa: – Ja załatwiam więcej ludzi. Koronawirus: – Ale ja mam lepszy marketing!”

Z wyrazami szacunku
Piotr Kotas, Czeski Cieszyn

PS Na temat aktualnej sytuacji tutaj, w kopalniach na Śląsku, dotyczy to obu stron: czeskiej i polskiej. Kto trochę wie, jak się pracuje w kopalniach, ten musi się spodziewać, że takie (drobne w skali całych krajów) ogniska muszą się pojawić i nie powinno się używać tego jako pretekstu do nowych zaostreżeń.

Gdyby kasa nie skakała...



Słowacji – ludzie chcą już jak najszybszego powrotu do w miarę normalnego życia. [...]

Zbyt powolne tempo „odmrażania” życia społecznego i zamknięte granice są źródłem frustracji ludzi, która w przypadku Polski może znaleźć ujście szczególnie podczas wyborów. Zwykli obywatele nie wiedzą, czy odwoływać rezerwacje na pobyty za granicą, czy nie? Nie wiedzą, czy będą mogli wyjechać lub wylecieć (również wielu Czechów i Słowaków lata z Katowic). Jak mają planować swoją działalność lotniska? Nad Bałtykiem się wszyscy nie zmieszczą, już teraz był tam tłok. Jak utrzymać dystans? Wciąż nie wiadomo, kiedy będzie można przyjeżdżać z zagranicy, żeby korzystać z usług czy na zakupy. Polska nie chce przychodów podatkowych od obcokrajowców? Wirus nie zniknie, jeżeli granice będą zamknięte o miesiąc lub

„Bon na zakup gazet”,
Łukasz Warzecha,
„DRz” 21/2020

Redaktor Warzecha krytykuje w swoim felietonie pomysł „bonów turystycznych” (śluszenie), wskazuje też na niesprawiedliwość. Bo dlaczego branża turystyczna ma być dotowana takimi bonami, a inne nie? Ja piszę z perspektywy pracownika, wskazując na

inną niesprawiedliwość – dlaczego z bonów mogłyby korzystać tylko osoby zatrudnione na umowę o pracę? Rozumiem, że przyznanie bonu można uzależnić od wysokości dochodu, ale dlaczego od formy zatrudnienia? Wiele osób pracuje np. na śmieciówkach nie dlatego, że tak chce, ale dlatego, że nie ma innego wyjścia. Nawet jeśli teoretycznie takim osobom nie przysługują urlopy, to wcale nie znaczy, że nie odpoczywają, nigdzie nie wyjeżdżają etc. Jeśli już rząd chce wspierać branżę turystyczną w ten sposób (co podobnie jak red. Warzecha uważam za pomysł bardzo zły i szkodliwy), to niech kieruje się chociaż jakąś sprawiedliwą dla ewentualnych beneficjentów logiką. Wiem, wiem, zawsze można „zmienić pracę i wziąć kredyt”...

Czytelnik na śmieciówce



ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
i zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:

Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemięcki

Stali współpracownicy i felietoniści:

Kamila Baranowska, Olivier Bault, Robert Bogdański, Joanna Bojarczyk,
Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cendekiewicz, Wiesław Chelminiak,
Dominika Cioś (Bruksela), Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański,
Piotr Gursztyn, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalcuk (Rzym),
Jakub Kowalski, Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczowski, Piotr Litka,
Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Małkowski, Monika Małkowska,
Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Filip Memches,
Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński,
Katarzyna Pinkosz, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak,
Krzysztof Rybiński, Stefan Sekowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska,
Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Toraniński, Szwach Weiss,
Piotr Włoczek, Marcin Wolski, Jakub Woźnicki, Tomasz Wróblewski,
Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zofia Magdziak**
(zastępca), **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej),
Zuzanna Dąbrowska (także Radio Maryja), **Blanka Aleksowski,**
Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzry, Sandra Skibińska, Damian Cygan,
Jan Fiedorczuk, Przemysław Harczuk (także „Super Express”).

Studio graficzne: **Wojciech Niedziółko** (szef studia), **Jakub Tański,**
Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski

Fotoredakcja: **Edyta Bortowska, Przemysław Traczyk**

Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz,**
Agnieszka Wasilewska

Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krystofa**

Okładka: **Adobe Stock, oprac. graf. JAN**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**

Batory Office Building II, Al. Jerolimskie 212, 02-486 Warszawa

tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy

Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Piotr Piaszczyk, Robert Pstrokoński, Ewa Rykaczewska

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza),

prenumerata@pmpg.pl; tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829

Nakład 59 tys. egzemplarzy

Druk: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena

detailed ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością

karną.

Prenumerata:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można

składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi

Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne

w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów

niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji

tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa

autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie

materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem

autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie

artykułów tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania

materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/





PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Papierowy tygrys

Pamiętają państwo te zachwyty? Aleksander Hall rok temu: „Stawiam na Kosiniaka-Kamysza”. „Gazeta Wyborcza” w marcu br.: „Władysław Kosiniak-Kamysz zostanie zapamiętany jako polityk, którego gotów jest zaakceptować znacznie szerszy elektorat niż ludowy”. OKO.press po lutowej konwencji Kosiniaka-Kamysza: „Mówił nie jak kandydat, ale jak prezydent”.

Dzisiaj z tego entuzjazmu zostało niewiele. Jak wynika z ostatniego sondażu Social Changes dla portalu wPolityce.pl, na Kosiniaka-Kamysza chce głosować tylko 5 proc. respondentów. Niektórzy publicyści wskazują, że najbardziej zapamiętanym akcentem jego kampanii będą słowa nie jego, ale jego żony. Słynne zawołanie Agnieszki Kosiniak-Kamysz: „Chodź, Tygrysie!”.

Z perspektywy czasu już widać, że sporą szansą na wejście Kosiniaka-Kamysza do drugiej tury było poparcie wraz z lewicą majowego terminu wyborów. Spory o to, czy PiS udałoby się je przeprowadzić, będą trwały jeszcze długo. Tyle że taka decyzja wymagałaby od niego odwagi. A tej nie nauczył

się ani jako posłuszny koalicjant Donalda Tuska, ani jako ktoś, kto nie odważył się nie zaklaskać po tym, jak Leszek Jażdżewski z „Liber-té” porównywał Kościół do świni lubiącej zapasy w błocie.

Gdyby na przełomie kwietnia i maja Kosiniak-Kamysz wyłamał się z frontu twierdzącego, że „wyborów nie przeżyje nikt”, otarłby się o prawdziwą polityczną grę. Sypałyby się na niego wyzwiska Romana Giertycha, potępienia „Gazety Wyborczej” i kpiny Moniki Olejnik. Otarłby się jednak też o swoją wielką polityczną szansę. Jeśli nawet nie doszedłby do drugiej tury, to zyskałby pozycję lidera opozycji. Każdy polityk dostaje tylko parę takich szans w życiu. Owszem, być może większa część elektoratu po Małgorzacie Kidawie-Błońskiej mogłaby poprzeć Szymona Hołownię, ale zaryzykowanie wyborów majowych byłoby dla lidera PSL i tak sto razy lepsze niż czekanie, aż Platforma się pozbiiera i wystawi nowego kandydata.

Teraz okazuje się, że Kosiniak-Kamysz wpadł już w polityczny wir. Nikt nie wie, jakie jest jego stanowisko w sprawie wyborów. Michał Kamiński, senator

klubu PSL, składa wniosek w wyższej izbie parlamentu o vacatio legis dla ustawy o wyborach, które przesuną elekcję na okres po 6 sierpnia. Media spekulują, czy Kamiński grał na odsunięcie wyborów, realizując cele Platformy? Świadczyłby o tym apel Kosiniaka-Kamysza z 28 maja, już po wysoku Kamińskiego, w którym wezwał on marszałka Grodzkiego do jak najszybszego wysłania ustawy z Senatu do Sejmu.

Jaka z tego wszystkiego nauka? Mało odkrywczą – oceniać szanse polityka winniśmy na podstawie tego, jaka była jego cała wcześniejsza kariera. A w przypadku lidera PSL była to polityczna droga kogoś, kto lubi korzystać z komfortu władzy, ale nie lubi ryzykować. Nie ma zbyt wiele determinacji, by sięgać po władzę samemu. Raczej w grupie z silniejszymi. Owszem, wszyscy zapamiętali determinację, z którą Kosiniak-Kamysz poprowadził swoją partię do wyborów sejmowych po silnej porażce w elekcji samorządowej. Nie zawsze jednak jeden sukces dodaje polityce skrzydeł. Czasami ostrożność i stare nawyki wracają. I nazywanie na wyrost kogoś tygrysem raczej ośmiesza, niż pomaga. © ©



FOT. CARLOS GONZALEZ/ZUMA PRESS FORUM

WIELKIE ZAMIESZKI W AMERYCE

Zniszczone radiowozy, podpalony komisariat, barykady na drogach, spalające sklepy i wielki dym unoszący się nad Minneapolis. To efekt zamieszek, które wybuchły po śmierci George'a Floyda, czarnoskórego 46-latkę, który zmarł podczas policyjnej interwencji. Do sieci trafiło nagranie, na którym Floyd krzyczy do policjanta przygniatającego kolanem jego szyję, że nie może oddychać. Ten jednak udusił zatrzymanego. Policjanci biorący udział w interwencji zostali już zwolnieni ze służby. Na pomoc ścigano też wojsko. (jap) © ©



RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Mały powrót Tuska

Marzenie o powrocie Donalda Tuska do polskiej polityki, którym od pięciu lat żyje „opozycja totalna”, spełnia się. Ale spełnia się w sposób karykaturalny. Tusk nie wraca jako lider antypisowskiej opozycji, przywracający „praworządność” i „odzyskujący Polskę dla Europy”, tylko jako hejter. Zamiast na białym koniu – na Twitterze.

Może Tusk stał się już do szpiku politycznym sybarytą

Trudno powiedzieć, co nim obecnie powoduje. Jak dotąd postępowanie Tuska było zawsze nacechowane politycznym wyrachowaniem – więc być może jego internetowa „wałęszizacja” (bo podobieństwo wpisów obu

„byłych” zaczyna być uderzające) jest świadomym zabezpieczaniem się przed kolejnymi próbami wciągnięcia go w ratowanie śpiącego się antypisu. Nie wystarczyło zastawienie się Jażdżewskim? To sam się takim Jażdżewskim stanę, tylko internetowym, żebyście przestali mnie wreszcie męczyć.

Ale może Tusk po prostu stał się już do szpiku politycznym sybarytą, dobrze mu z tym i zaczął polską politykę traktować jako hobby. Zabawa w dziadka z „Muppet Show”, dogadującego „pisiorom” w sieci, ma swój urok. Każdy wpis – że nie radzą sobie z epidemią, że zarabiają na maseczkach, że Mateusz pewnie będzie zaprzeczał, ale dawno temu mówił mi o Jarosławie z lekceważeniem, i tak dalej – daje lajki, a lajki to życie, podtrzymanie fejmu. No i przede wszystkim – można sobie ulżyć, rozładować skrywane latami frustracje. A że wizerunek lidera ulega

przez to erozji i zmienia w wizerunek zrzędzącego „byłego”? Z taką emeryturą można to mieć w nosie.

Tak czy owak, komentarze gorzkniejącego Tuska przekroczyły ostatnio granice groteski. Konkretnie, przekroczyło tę granicę ogłoszenie, że PiS to nieudacznicy i „ciamajdy”. Mówić tak o wrogu, którego się pokonało, to brak klasy i pomniejszanie swego sukcesu, ale od biedy można. Ale nazywać ciamajdą wroga, przed którym się sromotnie uciekło i od którego osierocona tą ucieczką armia od lat zbiera jedno lanie po drugim, to – jak nazywa to Internet – „samozaozranie”. Patrzcie, dałem wam Kopacz, Komorowskiego i innych takich orłów, zostawiłem was w takim stanie, że leją was nawet ciamajdy i nieudacznicy!

Trudno o lepszy dowód, że Tusk o powrocie do polskiej polityki inaczej niż na Twitterze już nawet nie myśli. ©©



WOJCIECH
WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Dobrzy obywatele

Śledczy zarzucają Magdalenie K., byłej szefowej kibiców Cracovii, handel sporymi ilościami kokainy i marihuany. Prawdopodobnie powinna siedzieć, ale do zakładu karnego najpewniej nie pójdzie. Zatrzymana przez słowacką i węgierską policję „matka chrzestna” krakowskich gangusów wystąpiła o azyl polityczny na Słowacji, powołując się przy tym na podnoszone przez polskich polityków opozycji – także w europejskiej opinii publicznej – zarzuty, jakoby Polska przestała być demokratycznym i praworządnym krajem. Efekt? Tamtejszym sędziom to wystarczyło, by

wszczęć procedurę azylową wobec dilerki prochów.

Absurdalna, prowadzona w iście goebbelsowskim stylu (plujmy, coś się przyklei) na forum europejskim kampania podważania polskiej demokracji i praworządności co prawda poparciem w kraju dla polskiego rządu nie wstrząsnęła, ale poważnie zaszkodziła funkcjonowaniu państwowych instytucji. Także tych odpowiedzialnych za nasze bezpieczeństwo. W lutym niemiecki sąd w Karlsruhe odmówił wydania Polsce oszusta, bo sędziowie czytali i słyszeli, że ponoć sądy w Polsce nie są niezawisłe, przed rokiem podobną decyzję z identyczną argu-

mentacją wydały Holandia i w kilku sprawach Irlandia.

Na złość mamie można odmrozić sobie uszy, ba – narazić wszystkich na przeziębienie i można odnieść wrażenie, że taka strategia od lat przyświeca opozycji i zblatowanemu z nią sędziom donoszącym na Polskę. Nihil novi, wszak jak sarkastycznie pisał Czesław Miłosz: „Donosicielstwo było i jest znane w różnych cywilizacjach. Na ogół jednak nie było nigdy podnoszone do godności cnoty. W cywilizacji Nowej wiary jest zalecane jako cnota podstawowa dobrego obywatela”. ©©



PIOTR KOWALCZUK
Z RYZMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Trąd w pałacu sprawiedliwości

Otym, że część włoskiego wymiaru sprawiedliwości brutalnie ingeruje w politykę, wiadomo od pół wieku. Jednak to, co się stało ostatnio, przebija najśmielsze teorie spiskowe jak as blotkę.

W ubiegłym roku ówczesny minister spraw wewnętrznych Matteo Salvini został oskarżony o ubezwłasnowolnienie migrantów na pokładzie statku u wybrzeży Lampedusy, bo nie chciał jednostki wpuścić

ale teraz musimy atakować Salvinię”.

Innymi słowy – członek najwyższych władz sądowniczych i jego kamraci w togach atakują wicepremiera i ministra spraw wewnętrznych w jednej osobie, wiedząc, że nie ma ku temu żadnych podstaw. W każdym demokratycznym kraju byłby to skandal na cztery fajerki, w mediach nie byłoby mowy o niczym innym i runąłby pałac sprawiedliwości.

A w Italii? Mimo że podczas transmitowanego przez telewizję posiedzenia senatu Salvini odczytał transkrypt dotyczącego go fragmentu podsłuchu, najważniejsze włoskie gazety, „Corriere della Sera”, „La Repubblica” i „La Stampa”, nie zająknęły się o tym ani słowem. Telewizja publiczna RAI na swoich czterech kanałach, w tym informacyjnym RAI24, podobnie jak SKY24, cytowała wystąpie-

nie Salvinię w Senacie, ale wycięła, czyli ocenzurowała, jej końcowy fragment, traktujący o podsłuchu. Minister sprawiedliwości też milczał jak grób. Prezydent Sergio Mattarella, przewodniczący Najwyższej Rady Sądziowskiej, tym razem nie miał narodowi ani sędziom nic do powiedzenia. To tyle, jeśli chodzi o bezstronność włoskich sędziów i rzetelność wiodących mediów. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Ćwierćinteligenci

No i padł Sąd Najwyższy – ostatni bastion demokracji. Wszystko przez prezydenta, który wybrał nie tę osobę, którą powinien. Wysłuchajmy komentarzy. „Pani Manowska dostała poparcie tylko około jednej czwartej sędziów Sądu Najwyższego. Można więc powiedzieć, że jest »ćwierćprezesem«, wybranym w »ćwierćlegalnej« procedurze, zakończonej przez »ćwierćprezydenta«” – napisała Kamila Gasiuk-Pihowicz. Gdybym był złośliwy, dodałbym coś o „ćwierćinteligentach”. Ale nie jestem.

Chwilę po nominacji do prześwietlania życiorysu pierwszego prezesa ruszyli dziennikarze śledczy. „Tak, synu, bastion komunizmu: Pierwsza Prezes Sądu Najwyższego już w podstawówce była w ZMP. Nie, synu, nie Gersdorf, tylko Manowska” – napisał Tomasz Skory, zamieszczając niewyraźny skan oświadczenia prof. Manowskiej. Tylko że źle odczytał charakter pisma, bo nie chodziło o Związek Młodzieży Polskiej, ale o Związek Harcerstwa Polskiego. „No i wygłupiłem się. ZHP wziąłem za ZMP. To najlepszy dowód, że uważne czytanie wciąż jest istotniejsze niż nieuważne pisanie. Panią Prezes naturalnie przepraszam. A ze sobą mam dziś do pogadania, i raczej nie chcielibyście tego słuchać”. Ale oryginalny tweet jak wisiał, tak wisi. Cóż.

Zostając w tematyce dialogów rodzinnych, taka metafora o unijnym budżecie kryzysowym od europoseł Magdaleny Adamowicz. „– Andrzejku, Mateuszu! – Tak, mamusi! – Mam dla was 63 cukierki. – Wow! Pochwalimy się kolegom! – Chwileczkę. Czy mówiliście na podwórku, że macie w nosie zasady naszego domu, że jest wyimaginowany, a ja jestem szmatą? – Y... – Więc cukierki zamknę w kredensie. Aż zmądrzejecie”. W podobnej szkolnej stylistyce wypowiedział się również Donald Tusk. „Mateusz nie zawsze mija się z prawdą. Kiedy był moim doradcą, mówił, że Prezes nie ma pojęcia o współczesnym świecie i gospodarce” – tweetnął z dumą.

Na koniec, żeby był jakiś punkt odniesienia, wgląd w prawdziwą demokrację. „Tak, chwalcie Bosaka, zapraszajcie na debaty, róbcie wywiady. Już ma 13%. Jak kiedyś Konfederacja przejmie władzę, to zobaczycie na żywo te »polskie obozy«” – ostrzegła Katarzyna Markusz z portalu jewish.pl. ©©

Zamknij wreszcie Kłodę i pozwól mi zapelować o obniżenie poziomu zgłoszeń w debacie publicznej!



c e z z + y k t y j z t o n z

Bycie eko nie jest tylko kosztownym hobby dla wybranych, lecz także może być realnym sposobem na zmniejszenie wydatków każdego gospodarstwa domowego. Jakie są sposoby na ekooszczędzanie? Jak dostać dotację na własną mikroelektrownię słoneczną? Kto może skorzystać z ulgi termomodernizacyjnej?



Ekooszczędzanie

Z opublikowanego we wrześniu 2019 r. przez Główny Urząd Statystyczny (GUS) raportu „Budżety gospodarstw domowych w 2018 r.” wynika, że wydatki na użytkowanie mieszkania lub domu i nośniki energii stanowią istotną pozycję w wydatkach Polaków. Ich udział w wydatkach ogółem wyniósł w 2018 r. przeciętnie 18,3 proc. Wystarczy kilka prostych zmian, aby jednocześnie działać proekologicznie i obniżyć rachunki za energię elektryczną, wodę etc.

Jak zmniejszyć zużycie prądu? Pierwsza zasada brzmi: wyłączaj te sprzęty, których nie używasz. Wiele osób nie wyłącza drukarki, laptopa czy telewizora, ale zostawia je w trybie stand-by.

Tymczasem według szacunków przedstawicieli firm energetycznych jedno urządzenie z funkcją stand-by może niepotrzebnie pobierać energię o wartości ponad 30 zł rocznie. Jeżeli takich urządzeń mamy pięć – np. telewizor, dekodery cyfrowy, odtwarzacz Blu-ray, zestaw kina domowego oraz wieża – to rocznie niepotrzebnie do rachunków doliczone zostanie więc ponad 150 zł. Lepszym rozwiązaniem jest wyciąganie wtyczki z gniazdka. Dużo wygodniejsze jest zaś korzystanie z listwy antyprzepięciowej z kilkoma gniazdkami, która umożliwia odłączenie od prądu wielu urządzeń za pomocą jednego przycisku.

Z troski o środowisko naturalne i stan własnego konta warto też wyrobić sobie

nawyk korzystania z naturalnego oświetlenia tak długo, jak to możliwe, a także gaszenia światła wszędzie tam, gdzie nie są one potrzebne. W dłuższym terminie opłacalne są również wymiana oświetlenia sufitowego na punktowe (lampki nocne, lampy stojące etc.), a także korzystanie z żarówek energooszczędnych. Żarówki ledowe pobierają nawet 90 proc. mniej energii od tradycyjnych, co oznacza, że koszt zakupu może zwrócić się w zaledwie kilka miesięcy. W oszczędzaniu prądu pomóc mogą również wyłączniki czasowe.

Źródłem potencjalnych oszczędności może być także wybór energooszczędnych sprzętów domowych. Różnica w poborze energii między urządzeniem

■ przeznaczoną dla tych, tych którzy dzięki remontowi domu doprowadzą do spadku zapotrzebowania na energię potrzebną do ogrzania, np. poprzez zakup materiałów budowlanych wykorzystywanych do docieplenia przegród budowlanych, płyt balkonowych oraz fundamentów. Można również odliczyć koszty audytu energetycznego, analizy termograficznej, a także wykonania dokumentacji projektowej budynku wykonanego przed inwestycją termomodernizacyjną.

Ulga termomodernizacyjna przysługuje także tym, którzy wymieniają stolarkę okienną i drzwiową lub np. zainwestują w kocioł gazowy, kocioł olejowy kondensacyjny, kocioł na paliwo stałe, kolektor słoneczny, montaż instalacji fotowoltaicznej czy pompę ciepła. Od rocznego dochodu odliczyć można również materiały budowlane składające się na system wentylacji mechanicznej wraz z odzyskiem ciepła lub odzyskiem ciepła i chłodu.

Limit odliczeń wydatków „na realizację przedsięwzięcia termomodernizacyjnego” wynosi 53 tys. na osobę

Według art. 26h ustawy o podatku dochodowym od osób fizycznych limit odliczeń wydatków „na realizację przedsięwzięcia termomodernizacyjnego” wynosi 53 tys. na osobę, czyli małżeństwo będące współwłaścicielem danego domu może odliczyć aż 106 tys. zł. Dla podatnika oznacza to oszczędność od kilku do kilkunastu tysięcy złotych. Całe przedsięwzięcie termomodernizacyjne musi zostać zakończone w okresie trzech kolejnych lat, liczonych od końca roku podatkowego, w którym poniesiono pierwszy wydatek. Limit wydatków obowiązuje zaś konkretnego podatnika, niezależnie od tego, czy jest on właścicielem lub współwłaścicielem jednego czy wielu domów. W przypadku braku realizacji inwestycji należy zwrócić kwotę odliczenia. Ponadto zwrot ulgi trzeba wykazać jako dochód za rok, w którym otrzymano zwrot.

Wysokość odliczenia nie może też przekraczać dochodów z danego roku. Jeśli więc ktoś zarobił w danym roku 25 tys. zł, a wydał na termomodernizację 50 tys. zł, to w pierwszym roku może

odliczyć od podstawy opodatkowania maksymalnie 25 tys., a pozostałe koszty rozliczyć w kolejnych sześciu latach.

Odliczeniu nie podlega również ta część wydatków na termomodernizację, która została zwrócona lub ma zostać zwrócona ze środków Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej (NFOŚiGW) lub wojewódzkich funduszy ochrony środowiska i gospodarki wodnej, lub te wydatki, które zostały zwrócone podatnikowi w jakiegokolwiek formie. Jeżeli więc NFOŚiGW sfinansował 50 proc. inwestycji, to można odliczyć od podstawy opodatkowania pozostałe 50 proc. poniesionych kosztów.

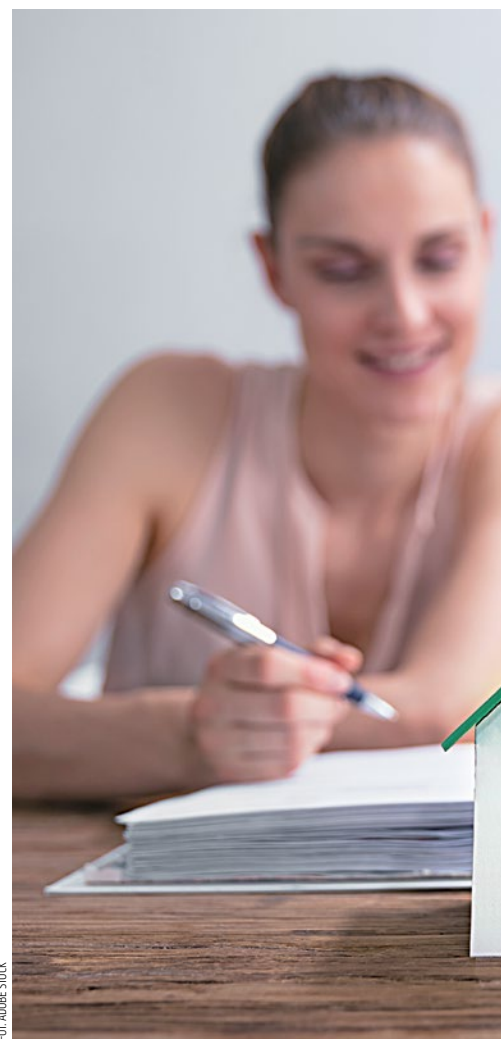
Ulga termomodernizacyjna nie obejmuje osób, które budują nowy dom. Nie łączy się też ona z innymi ulgami, w tym np. z ulgą mieszkaniową. Jeżeli więc podatnik pieniądze ze sprzedaży mieszkania wydał na ocieplenie domu i dzięki temu nie zapłacił podatku od dochodu ze sprzedaży, to nie może pieniędzy wydanych na ocieplenie odliczyć jeszcze od dochodu w ramach ulgi termomodernizacyjnej.

ELEKTROWNIA NA DACHU

Jednym ze sposobów na trwałe zmniejszenie faktur za energię elektryczną jest inwestycja we własną elektrownię słoneczną.

Prywatna minielektrownia jest nie tylko przyjazna dla środowiska, lecz także dostarcza niemal darmową energię, przez co może ograniczyć do minimum rachunki za prąd. Spadek cen instalacji tego typu oraz coraz dłuższa żywotność paneli sprawiły, że instalacje fotowoltaiczne (mikroinstalacje odnawialnego źródła energii o łącznej mocy elektrycznej nie większej niż 50 kW) pracujące w ramach umowy prosumenckiej w 15-letnim okresie użytkowania mogą być opłacalnym zamiennikiem ogrzewania gazowego. Kim jest prosument? Termin powstał poprzez połączenie wyrazów producent i konsument. W omawianym przypadku prosumentem jest podmiot, który jednocześnie konsumuje oraz wytwarza prąd na swoje potrzeby w mikroinstalacji, a jego główną działalnością gospodarczą nie jest wytwarzanie energii elektrycznej.

Oczywiście przy analizie opłacalności tego typu inwestycji trzeba brać pod uwagę, że operator sieci energetycznej potrąca 20 proc. z energii oddanej latem, gdy mamy nadwyżkę, żebyśmy mogli z niej korzystać w okresie zimowym, kie-



dy godzin słonecznych jest zdecydowanie za mało, aby minielektrownia czyniła nas samowystarczalnymi energetycznie.

W panele fotowoltaiczne inwestować mogą nie tylko posiadacze domków jednorodzinnych – również mieszkańcy bloków mogą przekonać pozostałych członków wspólnoty mieszkaniowej lub spółdzielni do tego typu inwestycji.

DOM BEZ KOMINA

Dla osób, które chciałyby ogrzewać swoje mieszkania w bardziej ekologiczny sposób, a nie mogą liczyć na przyłącze gazowe, ciekawym rozwiązaniem mogą być również pompy ciepła (gruntowe, powietrzne lub wodne).

Pompa ciepła może współpracować np. z istniejącym kotłem gazowym. Wówczas to automatyka decyduje, kiedy bardziej opłacalne jest działanie pompy, a kiedy kotła. Pompa może też działać samodzielnie. Takie rozwiązanie może obniżyć koszt budowy domu – jeżeli pompa ciepła jest jedynym źródłem energii do ogrzewania budynku, to nie



potrzeba wówczas komina oraz kotłowni z miejscem na opał.

Pompy ciepła to wciąż stosunkowo droga inwestycja w porównaniu z tradycyjnym ogrzewaniem. Koszt zakupu markowej pompy powietrze-woda wynosi ok. 20 tys. zł, a zdarzają się urządzenia nawet trzykrotnie droższe. Taka inwestycja może się jednak zwrócić – w zależności od rodzaju instalacji oraz standardu energetycznego domu – w ciągu 7–10 lat eksploatacji. Trzeba być jednak świadomym wad tego rodzaju urządzeń w porównaniu z tradycyjnymi systemami ogrzewania. Pompy ciepła są niskotemperaturowym źródłem ciepła, co oznacza, że potrafią ogrzać wodę zasilającą instalację centralnego ogrzewania do ok. 40–65 stopni, co sprawdzi się jedynie w przypadku zastosowania odpowiedniej instalacji grzewczej (np. ogrzewania podłogowego, ściennego lub sufitowego). Nie każdy rodzaj pompy nadaje się też na każdą działkę (na niektórych nie da się np. zamontować pompy gruntowej).

Bezsprzeczną zaletą pompy ciepła jest jednak to, że nie produkuje ona zanieczyszczeń i pozwala uniezależnić się od wahań cen surowców służących do tradycyjnego ogrzewania. Szczególnie opłacalne może być zaś połączenie inwestycji w pompę ciepła z własną minielektrownią słoneczną.

POŻEGNANIE Z SAMOCHODEM?

Osoby, które pracują lub studiuje w centrach miast, w ramach ekooszczędzania mogą rozważyć sprzedaż prywatnego samochodu i np. przesiadkę na rower, elektryczną hulajnogę, elektryczne auta wypożyczane na minuty czy też na komunikację miejską (gdy minie już zagrożenie epidemiologiczne).

Aby odpowiedzieć sobie na pytanie, ile można zaoszczędzić na posiadaniu własnego samochodu, trzeba wyliczyć sumę wszystkich kosztów posiadania auta (z ang. total cost of ownership, w skrócie TCO). W skład TCO wchodzi zarówno amortyzacja samochodu, czyli

różnica między ceną zakupu a ceną odsprzedaży auta, jak i koszty serwisu, ubezpieczenia, paliwa etc. Znając tę kwotę oraz roczny przebieg naszego prywatnego auta, możemy wyliczyć cenę za jeden przejechany kilometr. Aby wyliczyć przykładowe TCO, weźmy np. auto o wartości 100 tys. zł, które spala średnio 10 l benzyny na 100 km. Przejeżdżając samochodem 12 tys. km rocznie, przy cenie benzyny wynoszącej 4,5 zł/l rocznie wydamy na same paliwo 5,4 tys. zł. Do tego dochodzą koszty obowiązkowego ubezpieczenia OC i AC (2,6 tys. zł/rocznie), przeglądu na stacji diagnostycznej (100 zł rocznie) oraz przeglądu u autoryzowanego diler (1000 zł rocznie). Do wyliczeń TCO trzeba również dodać amortyzację, czyli spadek wartości samochodu (ten zależy często od przebiegu, marki pojazdu etc.). W przypadku opisywanego auta wynosi on ok. 15 proc. rocznie, czyli 15 tys. zł w pierwszym roku użytkowania. W sumie roczny koszt posiadania opisywanego auta wynosi więc 24,1 tys. zł, czyli aż 66 zł dziennie. A w kalkulacji nie jest jeszcze uwzględniony koszt finansowania (gdyby opisywane auto nabyć na kredyt).

Jeżeli samochodu używamy stosunkowo rzadko, to po uwzględnieniu wszystkich kosztów zapewne okaże się, że dużo taniej wyjdzie długoterminowe wynajęcie samochodu lub też korzystanie z roweru, e-hulajnog i transportu publicznego, nawet w połączeniu z korzystaniem z usług taksówkarzy (lub innych przewoźników) czy samochodów na minuty.

Przy obliczeniach warto wziąć pod uwagę czas spędzony w korkach lub na szukaniu miejsca parkingowego (a także opłaty za to miejsce). Jako dodatkową premię można też doliczyć zadowolenie z dbania o środowisko naturalne.

Jeśli zaś niezależnie od kosztów nie chcemy rezygnować z posiadania prywatnego samochodu, to warto zapytać sąsiadów czy kolegów z pracy, gdzie pracują lub mieszkają, i np. umówić się na wspólne dojazdy do biura. Dzięki temu można zaoszczędzić na paliwie, zmniejszyć przebieg auta, a także ograniczyć ilość smogu w okolicy. Wszystkie te wyliczenia każdy musi przeprowadzić sam, ale wnioski niejednego czytelnika mogą pozytywnie zaskoczyć, bo ekooszczędzanie bardzo często po prostu się opłaca.

DIETA CUD

Maryla Rodowicz obwieściła, że stosuje nową dietę. Polega ona na tym, że je wszystko, co tłuste. A więc żeberka, karkówkę i boczek. Chce w ten sposób zrzucić 10 kilogramów. – Dieta keto, czyli tłusta dieta – tłumaczyła w TVN. – Nie wolno jeść chudo, trzeba tłusto. Nie można spożywać węglowodanów, owoców. Można warzywa, ale też nie wszystkie. Mam taką panią w sklepie mięsnym i jak robiłam zakupy na tydzień, gdy zaczynałam tę dietę, była bardzo zdziwiona – wyznała. Trudno się dziwić jej zdziwieniu. To wygląda na prawdziwą dietę cud. To znaczy, jeśli pani Maryla schudnie tę dychę, to będzie cud.

NIE MA MNIE

Aktor Jacek Poniedziałek postanowił pożalić się na ciężki los swój i innych artystów w czasach pandemii. – Od dwóch miesięcy nie gramy i jeszcze długo nie będziemy. Tamto życie wydaje się teraz czymś odległym, bezpowrotnym, a o tym, co będzie, nie wiemy prawie nic. Nie mogę się odnaleźć ani z tym wszystkim pogodzić – wyznaje w rozmowie z Onetem. – Wciąż nie mogę uwierzyć w to, co się dzieje. To taki zbiorowy koszmar senny. Wszystko jest tak niewiarygodne, że wciąż tego nie ogarniam... Robię różne rzeczy, poddaję się rygorom, chociaż może nie wszystkim; ale generalnie mam poczucie, że nie ma mnie tu i teraz – zdradza. I komu to przeszkadza? Retorycznie pytamy.

DZIEŃ ŻENADY

Celebrytka Anna Wendzikowska w Dniu Matki zamieściła na Instagramie wpis reklamujący elektryczną szczoteczkę do zębów. Uznała bowiem, że to świetny pomysł na prezent. – Od mojej mamy nauczyłam się bardzo wielu rzeczy, ale między innymi wielkiej dbałości o zęby, bo uśmiech to wizytówka każdego z nas – opowiada Wendzikowska. – Moja mama ma piękny uśmiech. Zawsze dbała o zęby, mnie też to wpoiliła bardzo mocno... Potrafiła mnie obudzić w środku nocy, kiedy padłam na łóżko ze zmęczenia i usnęłam w ubraniu, mówiąc: „Możesz spać w ubraniu, Ania, ale umyj zęby!”. Moja mama uwielbia praktyczne prezenty i naprawdę nie wiem, jak to się stało, że z jej obsesją nadal nie ma elektrycznej szczoteczki – wyznała. Na szczęście ma zaradną córkę, która sprezentuje jej taką szczoteczkę. I przy okazji trochę wstydu, bo taka reklama w Dniu Matki to jednak szczyt żenady.



FOT. PAWEŁ GROMADA

HEROIZM NASZYCH CZASÓW

Nie lada odwagą wykazała się celebrytka Natalia Siwiec. Otóż zamieściła na Instagramie swoje zdjęcie z – uwaga – niepomalowanymi paznokciami. U stóp. Zareagować postanowiła znana blogerka Nicole Sochacki, znana szerzej jako MamaGinekolog, która nie kryła swojego zachwytu nad wycynym Siwiec. „Natalia, obserwuję Cię od dawna. Nawet kiedyś się poznałyśmy, nie wiem, czy pamiętasz. Żadne Twoje zdjęcie nie ujęło mnie tak jak to.

Niezrobione paznokcie u stóp. To z jednej strony symbol obecnych czasów, a z drugiej odwaga. Odwaga to cecha, która zmienia świat na lepsze” – napisała. Nie wiemy, w jaki sposób niepomalowane paznokcie Natalii Siwiec czynią świat lepszym. Na pewno jednak czynią go radośniejszym, bo czytając o tym jakże spektakularnym akcie heroizmu, mieliśmy śmiechu co niemiara. Co w czasach pandemii jest nie do przecenienia. ©



FOT. KAMILA PIKIEWICZ/STARS



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, to złośliwe ze strony rządu, iż ledwo ogarnęliśmy odpowiedni dizajn, materiał i styl noszenia maseczek w przestrzeni publicznej, a przestają one być obowiązkowe.

Of kors, musicie wiedzieć (tzn. możecie, luz), iż nie nosiliśmy jakichś tam zwykłych jednorazówek z żabki, ale wyłącznie fair trade maseczki z bawełny organicznej uszyte w tra-

Próbowaliśmy więc w tych trudnych czasach promować odpowiednie trendy, co właśnie zostało nam brutalnie odebrane decyzją białych heteroseksualnych mężczyzn, pod których dyktando tak sobie żyjemy w tym kraju.

Jednocześnie rząd zapowiedział, iż znosi limity osób jednocześnie obecnych w galeriach handlowych i kościołach. Z galeriami to wiadomo,

nia na msze i inne nabożeństwa, iżby wykazać przed Europą, że religijność Polaków nie spadła w czasie pandemii? Przecież księża będą nas wyciągać za uszy z naszego home office'u, iżby tylko podreperować sobie statystyki.

Naszym zdaniem powinien istnieć konstytucyjnie zapewniony i respektowany przez władzę kościelne i świeckie rozdział Kościoła od home office'u, tak iżby żaden ksiądz nie mógł nas odciągnąć od Netflix'a, tzn. pracy.

Jakby tego było mało, to nie koniec prześladowań, tym razem wymierzonych w osoby body positive, a także te, które w czasie lockdownu postanowiły z różnych przyczyn nie oddawać się ćwiczeniom fizycznym.

Rząd otwiera bowiem znowu baseny, kluby fitness i siłownie, co tylko spowoduje rosnącą presję społeczną ze strony muskularnego podkarpacia, iżby uczęszczać na zajęcia, nosić ciężary, pływać, pocić się i męczyć.

My of kors z aktywności fizycznych to tylko jazda na holenderce i shopping w Bonarcie, zdecydowanie preferujemy ćwiczenia intelektualne. Obawiamy się jednak, że podobnie jak do kościołów rząd zacznie nas zaganiać na baseny, nie bacząc, iż niektórzy wyborcy liberalni i lewicowi nie potrafią pływać :{ ☹☹



dycyjny sposób przez nasze frendziarki z lesbijskiego kolektywu. Of kors bawełna pochodziła wyłącznie z otwartych plantacji, gdzie rosła sobie swobodnie przy akompaniamencie ukulele.

iż spoko, ale dlaczego rząd nas zmusza, żebyśmy chodzili do kościoła? :(

Bo chyba nikt normalny nie ma co do tego wątpliwości, iż zniesienie restrykcji de facto okaże się nakazem uczęszczania

PODSŁUCHANE

Nowy zbawca

Tomku, co ty wyprawiasz? Chcesz Rafałowi nogę podstawić? Przecież chłopak będzie mieć przez ciebie dwa tygodnie kampanii tylko!

Proszę się do mnie zwracać: „Wasza ekscelencjo, panie marszałku, profesorze”, panie pośle Sławomirze.

Porąbało cię? A może ty przemęczony jesteś? Może urlopik jakiś?

Mężem ja jestem wszak opatrnościowym, zbawcą dla polskiej demokracji nowym.

No ja cię nie mogę.

I wierszem jeszcze gada.

Ty się dobrze czujesz? Halo?

Wierszem przemawiam do dowolnych osób, by swą podniosłość podkreślić w ten sposób.

No niedobrze jest, niedobrze.

Borys coś wspominał, że jakoś się dziwnie zachowujesz, ale nie wiedziałem, że aż tak. Będziemy musieli chyba marszałka wymienić.

Nie waż się ręki bluźnierczej podnosić na mój majestat, by go podle skosić.

Halo, Borys? Jestem u Tomka...

Tak, ale gorzej jest, on już zaczął wierszem nawijać.

Kontakt jest utrudniony... No wierszem, normalnie.

Rymuje, jak do mnie gada.

Mówi, że majestat. ... Nie „Co ma?”, tylko majestat, że on ma majestat...

A tak, tron też jest. Tak, zasiada.

Uklonić się i wyjść tyłem? Okej, zaraz będę u ciebie. ☺☺

Łukasz Warzecha



FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSKU:

FB.COM/MWIZWO

OD RZECZY

„Dla każdego, dla kogo ważne są Konstytucja i państwo prawa, to jest jasne: A. Duda powinien powołać prof. Włodzimierza Wróbla na stanowisko I Prezesa SN”

RAFAŁ TRZASKOWSKI, prezydent Warszawy, kandydat Koalicji Obywatelskiej na prezydenta RP

No i mamy nowego pierwszego prezesa Sądu Najwyższego. Chcieliśmy przypomnieć, że jako pierwsi ujawniliśmy już na początku marca, iż w sprawie następcy Gośki Gersdorf głównych kandydatów będzie dwoje. „Kandydatem płci żeńskiej ma być Małgorzata Manowska, kandydatem płci męskiej ma być sędzia Wróbel” – pisaliśmy („Do Rzeczy” 12/2020). „Prezydent Andrzej Sebastian na pewno będzie w tym przypadku wołał kandydata płci żeńskiej” – pisaliśmy również. Boskie jest życie trendsettera.

Pani profesor pierwszemu prezesowi SN Małgorzacie Manowskiej natomiast gratulujemy. Witamy już oficjalnie w naszej rubryce i obiecujemy, że nasze sądowe wiewiórki będą obserwować życie w pałacu sprawiedliwości równie uważnie jak za czasów Gośki Gersdorf. Co gorsza, znamy też trochę osób, które były studentami prezes Manowskiej. A nawet takich, które studiowały razem z prezes Manowską.

W związku z powołaniem Manowskiej wreszcie mogliśmy wyrzucić resztki centymetra (jak dawniej poborowi liczący dni do wyjścia do cywila), z którego odcinaliśmy kawałki, licząc dni do końca kadencji Gośki Gersdorf. Ale mamy już nowy centymetr. Teraz liczymy dni do końca kadencji niejakiego Adama Bodnara, człowieka podającego się za rzecznika praw obywatelskich. Jego kadencja kończy się we wrześniu.

Bodnar żegna się ze stanowiskiem książką wywiadem rzeką „Ja obywatel”, gdyż taki właśnie jest obyczaj wśród rozmaitych ex-Eine Totalopposition. Jedyne, co nas zdziwiło, to to, że owa książka ukazała

się nakładem oficyny reklamującej się jako „największe katolickie wydawnictwo w Polsce”. Ta sama oficyna jednak wydała niedawno pochwalną biografię majora filozofa Zygmunta Baumana, więc zwierzenia zwykłego lewaka nie są niczym sensacyjnym – w porównaniu.

Tymczasem na Nowogrodzkiej. Wiewiórki opowiadają, że w ostatnich tygodniach jeszcze mocniej rozbłysła (o ile to możliwe) gwiazda Jacka Kury-Kurskiego, który uznawany jest przez Kaczora Dyktatora za specjalistę od rozwiązywania spraw kryzysowych. A że kryzysów wizerunkowych ostatnio trochę w Zjednoczonej Prawicy było, wyniesienie Kury wcale nas nie dziwi.

Kampania, kampania (międzykampania? Kolejna prekampania?). W pałacu prezydenta Andrzeja Sebastiana domagano się od pewnego czasu korekty. I korekta już następuje. Chodzi o to, żeby nie pozycjonować prezydenta jako osobnika uwikłanego w rozmaite bieżące nawałanki polityczne, ale jako męża stanu i arbitra, który jest ponad tym wszystkim. Czyli faceta, który przyszłość świata wykuwa wraz z Trumpem, a niekoniecznie z wójtami zbierającymi deszczówkę. Popieramy.

Trochę jesteśmy zakłopotani. Po radosnym ogłoszeniu przez kandydata Robika Biedronia: „Ja jestem rozgrzany. Słyszałem, że tygrysek też jest rozgrzany. Inni są rozgrzani” na-

W ostatnich tygodniach jeszcze mocniej rozbłysła (o ile to możliwe) gwiazda Jacka Kury-Kurskiego

prawdę nie chcemy wiedzieć, co Biedroń miał na myśli. Jednak odnotowujemy pewien postęp w stosunku do sytuacji, w której w Polsce rozgrzani byli jedynie sędziowie. Na wypadek gdyby rozgrzani byli jeszcze Prosiaczek, Puchatek i Kłapouchy, proponujemy jednak błyskawiczną ucieczkę ze Stumilowego Lasu.

À propos rozgrzanych kandydatów. Mało kto zauważył, że kiedy Rafcio Trzaskowski zajmuje się

kampanią, Warszawa de facto została w rękach jego zastępcy, niejakiego Pawła Rabieja. Czyli gościa, który jest za adopcją dzieci przez homopary i za innymi równie postępowymi rozwiązaniami. Strach się bać, ale każda stolica ma takich włodarzy, na jakich zasługuje.

Skoro już o Rafciu Trzaskowskim. To nie wyjątek, to norma. Mamy na myśli nielegalne zbieranie podpisów pod jego kandydaturą. Co więcej, znamy wiewiórki, które widziały, jak do sztabu Peło spływały takie wypełnione kartki, jeszcze zanim oficjalnie ogłoszono, że Rafcio zastąpi Gośkę Kidawę-Błońską. Zainteresowanych odsyłamy do lokalnych struktur Platformy Łobywatełskiej. Po skandalu z ujawnieniem praktyk przez TVP Kura zmieniła się tylko jedna rzecz – teraz zbiera się na kartach in blanco.

Wracając jeszcze do wymiany Małgośki Kidawy na Rafcia Trzaskowskiego. Wciąż dziwi nas milczenie feministek w odpowiedzi na ten akt patriarchalnej przemocy wymierzonej w kobietę. A przecież „patriarchat tak naprawdę krzywdzi wszystkich, oddzielając nas od siebie i odcinając nam drogę powrotu do naszej prawdziwej, kochochającej natury”. To cytat z książki Pauliny Młynarskiej „Zmierzch lubieżnego dziada”. Czyżby Borysław Budka okazał się lubieżnym dziadem, który zamiast zmierzchać, wschodzi, i to wraz ze wschodzącą gwiazdą Rafcia?

dwaj panowie g



FOT. ROBERT GARCZEWSKI

Historia powtarza się jako farsa. To wiemy. Nie wiedzieliśmy dotąd, że powtarza się dwukrotnie. Najpierw jako farsa. A potem jako Budka. Takie nam przysły do głowy przemyślenia po deklaracji Borysława, że PeŁo zorganizuje „wielki ruch kontroli wyborów”, gdyż boi się, że będą „skręcone”. No jak to? To nie obowiązuje już wykładnia Bronisława I Bezwałego Komorowskiego, że takie działanie to „odmęty szaleństwa”?

Jak doniosły media, firma młodego nababa Kulczyka organizuje webinarium pt. „Jak utrzymać morale zespołu, tnąc pensje i zwalnając ludzi?”. Chcemy włączyć się w tę cenną inicjatywę. Podpowiadamy odpowiedniego wykładowcę. To Grzegorz Hajdabomber Hajdarowicz, który zaślinał opinią, że w Brazylii są ludzie, którzy pracują w klatkach i nie narzekają. Jest tylko jeden problem. Chociaż ma doświadczenie w cięciu i zwalnianiu, to nie udaje mu się utrzymywać żadnego morale, poza własnym. Ale kto by się czepiał szczegółów.

Czas bezpartyjnych, niezależnych i obiektywnych dziennikarzy wreszcie nadszedł. Wojciech Mann poprowadził w internetach audycję razem z Rafciem Trzaskowskim, a do nowego radia

internetowego zakładanego przez Magdę Jethon i osobników, którzy ewakuowali się z Trójki, pierwsza akces zgłosiła Eliza Michalik. Uwielbiamy inicjatywy ociekające wprost apolitycznością oraz obiektywizmem.

Podsumowując ostatnie działania Eine Totalopposition i jej sympatyków, musimy jednak wrócić do terminu „odmęty szaleństwa”. W nocy z niedzieli na poniedziałek (24/25 maja) na kładce nad Trasą Łazienkowską zawiął transparent o treści „Wolność wybory / Nie rządu terroru” ozdobiony kotwicą Polski Walczącej. Żyją więc wśród nas ludzie, którym się we łbach styki kompletnie poprzepalały.

Zaczęliśmy od sądów, kończymy sądami. Wojskowymi. Naszym zdaniem – do zaorania. Właśnie jeden taki sąd w Poznaniu nie zgodził się na areszt dla pewnego pułkownika. Facet podejrzany jest o korupcję, podczas rewizji znaleziono u niego 700 tys. w sejfie. Facet głupio się tłumaczył, że zarobił tyle na polowaniach. Mimo to sąd uznał, że nie można go podejrzewać o mataczenie, więc kazał puścić wolno. Wiemy, wiemy, pewnie dla sądu 700 tys. to ledwie drobne na waciki. ©©

*Z głębokim żalem zawiadamiam,
że dnia 24 maja 2020 roku zmarł w Toruniu*



Kpt. Edmund Kazimierz Semrau

urodzony 21 stycznia 1926 roku w Chełmnie.

*Żołnierz 2. szwadronu 1. Pułku Pancernego
1. Polskiej Dywizji Pancernej generała
Stanisława Maczka, z którą przeszedł szlak bojowy
na terenie Belgii, Holandii i Niemiec.
Po demobilizacji w czerwcu 1948 roku
powrócił do Polski.*

*Był człowiekiem bardzo zasłużonym
w podtrzymywaniu tradycji niepodległościowej
i upowszechnianiu wiedzy o polskim czynie zbrojnym
w czasie II wojny światowej.*

*Odnaczony między innymi
Krzyżem Oficerskim i Kawalerskim
Orderu Odrodzenia Polski,
Medalem Stulecia Odzyskanej Niepodległości,
Medalem Pro Bono Poloniae
i innymi odznaczeniami polskimi i brytyjskimi.*

Cześć Jego pamięci!

**Jan Józef Kasprzyk
Szef Urzędu do Spraw Kombatantów
i Osób Represjonowanych**

Agnieszce Niewińskiej

*głębokie wyrazy współczucia
i żalu z powodu śmierci*



Ojca

składają przyjaciele z tygodnika „Do Rzeczy”



Tomasz Cukiernik

Czy odpowiedź władz na koronawirusa w postaci blokady gospodarki była konieczna, czy był to największy błąd w historii?

Zekranów telewizorów na każdym kanale przekaz jest taki sam: koronawirus. To samo w rozgłoszeniach radiowych, a także w prasie i Internecie. Władze codziennie raportują łączną liczbę osób zarażonych i zmarłych. Tymczasem jak pisze psycholog dr Susan Claire Potts na łamach amerykańskiego magazynu „The Remnant”, słuchając tej medialnej paniki, „można by pomyśleć, że samo narażenie na koronawirusa oznacza natychmiastową śmierć. Można by pomyśleć, że ludzie padają martwi na chodnik, mają krwotoki z oczu i uszu na każdym rogu ulicy. Można by pomyśleć, że istnieje uzasadniony powód, dla którego katolicy musieli umierać bez ostatniego namaszczenia i być pochowanymi bez ceremonii i żałobników”.

WŁĄCZYĆ MYŚLENIE LUDZI

Jednak alarmistyczne dane z początku epidemii o śmierci dziesiątek, a może i setek milionów ludzi na całym świecie się nie potwierdzają. Niemieccy lekarze już przyznają, że to zwyczajny sezonowy grypopodobny wirus. Z kolei dyrektor szpitala w Łukowie Mariusz Furlepa apelował, by nie wpadać w panikę i rozsądnie podchodzić do obowiązujących obostrzeń. – Trzeba włączyć myślenie ludzi, żeby przestali oglądać pewne programy w telewizji, które służą wyłącznie zastraszaniu ludzi, powodowaniu u nich lęku, niepotrzebnych negatywnych emocji, zaburzają logiczne myślenie – mówił dyrektor Furlepa w Master TV.

Nie chodzi o podważanie tego, że choroba istnieje. Ludzie się nią zarażają, niektórzy z zarażonych chorują, a jakiś niewielki odsetek chorych umiera. Ale czy ta panika i blokada gospodarki są uzasadnione?

W 2019 r. w Polsce zmarło niemal 410 tys. osób, co oznacza, że dziennie umierały 1123 osoby. Do 25 maja tego roku w Polsce zanotowano ponad 21 tys. przypadków zakażenia koro-

Pandemia czy psychoza?



FOT. ADOBE STOCK

nawirusem, z czego zmarło 996 osób. Czyli od początku „epidemii”, w ciągu 2,5 miesiąca, ofiar koronawirusa było mniej, niż umiera osób w ciągu jednego dnia! Mało tego. W samym środku „epidemii” koronawirusa w naszym kraju umiera mniej ludzi niż zwykle. Otóż w kwietniu 2018 r. zmarło w Polsce 34 639 osób, czyli 1155 osób dziennie, w kwietniu 2019 r. – 33 613, czyli 1120 osób dziennie, a w kwietniu 2020 r. – 30 534 osoby, co daje 1018 osób dziennie! W tym z powodu COVID-19 – 615 osób (2 proc.!). Także łączna liczba zgonów w czterech

pierwszych miesiącach 2020 r. jest niższa niż w latach wcześniejszych: 2017 r. – 148 tys., 2018 r. – 151,3 tys., 2019 r. – 145,1 tys., a 2020 r. – 139 tys. Nawet prezes Polskiej Izby Branży Pogrzebowej Robert Czyżak w rozmowie z Agencją Informacyjną Polska Press przyznał, że w czasie koronawirusa „umiera mniej osób niż przed wybuchem pandemii”.

Na całym świecie potwierdzono ponad 5,5 mln przypadków koronawirusa, z czego zmarło ponad 340 tys. osób. Dla porównania: według WHO rocznie na całym świecie na

grypę i jej powikłania umiera nawet 650 tys. osób, a na nowotwory – ponad 8 mln osób. Ale pojawiają się wątpliwości co do wiarygodności liczby zgonów. Po pierwsze, za zmarłych na koronawirusa uznaje się osoby, które miały wirusa w organizmie, nawet jeśli rzeczywista przyczyna zgonu była inna. Profesor Klaus Püschel, kierownik Instytutu Medycyny Sądowej szpitala uniwersyteckiego w Hamburgu, stwierdził nawet, że koronawirus był jedynie „kroplą, która przelała czarę”, a „wszyscy, których dotychczas przebadaliśmy, mieli raka, chroniczną chorobę płuc, bardzo dużo palili albo mieli silną nadwagę, cierpieli na cukrzycę czy też mieli choroby układu krążenia”. Po drugie, testy mogą dawać fałszywe wyniki. Severin Schwan, prezes szwajcarskiego koncernu Roche, powiedział, że większość dostępnych testów na obecność przeciwciał COVID-19 jest całkowicie bezużyteczna.

Według niezależnej grupy badawczej Swiss Policy Research „ponad 97 proc. wszystkich chorych rozwija tylko łagodne objawy”, a z badania przeprowadzonego przez Uniwersytet Stanforda wynika, że śmiertelność spowodowana koronawirusem wynosi 0,12–0,2 proc., czyli jest na poziomie ciężkiej grypy, podczas gdy WHO pierwotnie szacowała, że jest ona 20–30 razy wyższa. Chodzi o to, że rzeczywista liczba osób, które przeszły infekcję, może być kilkadziesiąt razy wyższa, niż podają oficjalne dane.

KORONAWIRUSOWA HISTERIA

Lekarz i epidemiolog Chris Whitty, szef doradców medycznych brytyjskiego rządu, powiedział, że znaczna część ludzi w ogóle nie zarazi się koronawirusem, a z tych, którzy się zarażą, zdecydowana większość nie odczuje żadnych symptomów i nawet nie będzie o tym wiedziała. Z kolei wśród tych, którzy będą mieli symptomy, zdecydowana większość, prawdopodobnie 80 proc., łagodnie przejdzie chorobę i nie będzie musiała nawet iść do lekarza. Mniejszość pójdzie do szpitala, ale większość z tych ludzi szybko wyzdrowieje i tylko mniejszość z nich ciężko przejdzie chorobę i niektórzy z nich umrą – prawdopodobnie mniej niż 1 proc. Podkreślił, że nawet w grupie ludzi największego ryzyka zdecydowana większość nie umrze, jeśli złapie wirusa.

Skąd więc ta koronawirusowa histeria (prezydent Białorusi Aleksander Łuka-

szenko mówi o psychozie)? „Mówią, że to bardzo zaraźliwe. Cóż, podobnie jak wirusowe zapalenie wątroby typu A, wirusowe zapalenie płuc i bakteryjne zapalenie opon mózgowych. Podobnie jak paciorkowce, grzybica, lamblioza. Może powinni wymyślić, jak codziennie testować wszystkich, aby upewnić się, że nikt nikogo nie zarazi. Może w ten sposób zapobiegą śmierci” – zastanawia się dr Potts. A przecież osoby starsze są narażone na różnego rodzaju śmiertelne choroby, nie tylko na tę. „Czy izolujemy starych ludzi na zawsze, aby ktoś ich nie zaraził?” – pyta dr Potts.

W 2009 r. WHO zmieniła definicję pandemii z „wielkiej liczby zgonów” na „wielką liczbę zarażeń”, czyli pandemią można nazwać nawet chorobę, która w ogóle nie zabija! A pierwsze ludzkie koronawirusy zidentyfikowano już w latach 60. XX w. Profesor Robert Flisiak, prezes Polskiego Towarzystwa Epide-

Podawany jest także przykład Białorusi, gdzie dwa tygodnie po wielkiej Paradzie Zwycięstwa w Mińsku nie zanotowano wzrostu zarażeń.

GOSPODARCZY ARMAGEDON

To nie koronawirus jest problemem, ale lockdown. Felietonista Dennis Prager na łamach „Jewish Journal”, jednego z największych żydowskich tygodników w USA, postawił tezę, że „ogólnosiwiatowa blokada jest nie tylko pomyłką, lecz także być może najgorszym błędem, jaki kiedykolwiek popełnił świat”. Napisał: „Przymusowe powstrzymanie Amerykanów od robienia czegokolwiek poza tym, co politycy uważają za »niezbędne«, doprowadziło do najgorszej sytuacji gospodarczej w amerykańskiej historii od czasu wielkiego kryzysu w latach 30. XX w. Tej katastrofy nie spowodował koronawirus, lecz panika i histeria. A konsekwencje w innych częściach

W 2009 r. WHO zmieniła definicję pandemii z „wielkiej liczby zgonów” na „wielką liczbę zarażeń”

miologów i Lekarzy Chorób Zakaźnych oraz kierownik Kliniki Chorób Zakaźnych i Hepatologii Uniwersytetu Medycznego w Białymstoku, zauważa, że znacznie groźniejsze od bieżącego koronawirusa były wirusy MERS czy SARS. Dlatego więc wtedy nie blokowano gospodarki światowej, a robi się to przy łagodniejszym wirusie?

Co więcej, amerykański naukowiec i przedsiębiorca Thurman John Rodgers podsumował dotychczasowe badania w USA, wykazując w „Wall Street Journal”, że nie ma korelacji pomiędzy blokadą gospodarki a liczbą zgonów na koronawirusa. Podobnie „Times of Israel” podsumował badania Isaaca Ben-Israela, kierownika programu Studiów Bezpieczeństwa na uniwersytecie w Tel Awiwie i szefa Krajowej Rady Badań i Rozwoju: „Wybitny izraelski matematyk, analityk i były generał twierdzi, że prosta analiza statystyczna pokazuje, iż szczyt rozprzestrzeniania się COVID-19 następuje po około 40 dniach i po 70 dniach spada niemal do zera – bez względu na to, gdzie uderza, i bez względu na to, jakie środki rządy narzuca, aby spróbować temu zapobiec”.

świata będą straszniejsze niż w Stanach Zjednoczonych”.

Według prognoz MFW w tym roku światowy PKB spadnie o 3 proc. Najwięcej stracą gospodarki rozwinięte, bo 6,1 proc. (strefa euro – 7,5 proc., USA – 5,9 proc., a Japonia – 5,2 proc.), a znacznie lepiej poradzą sobie kraje rozwijające się, gdzie spadek wyniesie 1 proc. Azjatycki Bank Rozwoju szacuje, że strata światowej gospodarki na lockdownie wyniesie ok. 5,8–8,8 bln dol., czyli ok. 6,4–9,7 proc. światowego PKB.

Z kolei prognozy Komisji Europejskiej mówią, że spadek PKB w Unii Europejskiej wyniesie 7,4 proc., a Polska wyjdzie z tego stosunkowo obronną ręką. U nas PKB ma spaść najmniej w całej UE – o 4,3 proc. Warto porównać to z prognozami sprzed epidemii. W listopadzie 2019 r. KE szacowała, że w 2020 r. wzrost PKB UE wyniesie 1,4 proc., a Polski – 3,3 proc. GUS podał, że w kwietniu produkcja spadła aż o 24,6 proc. rok do roku, a jednocześnie liczba zatrudnionych w sektorze przedsiębiorstw była niższa o rekordowe 152,9 tys. osób niż miesiąc wcześniej. Spadły też realne wynagrodzenia. Federacja Przedsiębiorców Polskich

■ i Konfederacja Lewiatan oszacowały straty polskiej gospodarki każdego dnia lockdownu na nieco ponad 2 mld zł.

Andrew Cuomo, gubernator Nowego Jorku, powiedział (a wielu ludzi myśli podobnie), że nawet jeśli dzięki tym drakońskim środkom uratuje się jedno życie, to będzie szczęśliwy. Ale ile osób zmarło dlatego, że z obawy przed zarażeniem koronawirusem nie zgłosiło się do szpitala z innymi chorobami (zawały serca, udary mózgu)? W samej Wielkiej Brytanii z tego powodu umiera 2 tys. osób tygodniowo. Ile osób chorych na nowotwory umarło, bo z powodu blokady w porę nie wykryto choroby lub nie przeprowadzono operacji? Ilu ludzi popełni samobójstwo z powodu swojej sytuacji ekonomicznej wywołanej lockdownem? Badania opublikowane w „The Lancet” pokazują wprost proporcjonalną korelację pomiędzy wzrostem bezrobocia a zwykłą liczbą samobójstw. Wzrost bezrobocia powoduje też m.in. zwiększenie się liczby zgonów w związku z przedawkowaniem narkotyków. Co więcej, stres wywołany szerzoną przez polityków i media histerią osłabia układ immunologiczny, co zwiększa narażenie na infekcje i choroby.

Ponadto David Beasley, dyrektor Światowego Programu Żywnościowego, powiedział, że istnieje realne niebezpieczeństwo, iż więcej ludzi może pograżyć nie umrzeć z powodu ekonomicznego wpływu COVID-19 niż z powodu samego wirusa. Według ONZ-owskiego Światowego Programu Żywnościowego do końca tego roku ponad 260 mln ludzi będzie cierpiało głód, co oznacza podwojenie tej liczby w porównaniu z rokiem poprzednim. Prager dodaje, że według International Food Policy Research Institute jeśli światowy PKB spadnie o 5 proc., to kolejne 147 mln ludzi może pograżyć się w skrajnym ubóstwie. To efekt m.in. upadku światowych łańcuchów dostaw żywności. – Nie mam wątpliwości, że kiedy spojrzymy na to wstecz, [to okaże się, że] szkody wyrządzone przez blokadę znacznie przekroczą jakiegokolwiek ratowanie życia – powiedział Michael Levitt, profesor biologii strukturalnej w Stanford Medical School i laureat Nobla z chemii.

Odbudowa światowej gospodarki i jej powrót na przedwirusowe tory będą o tyle trudne, że niełatwo będzie w krótkim czasie przywrócić zerwane powiązania pomiędzy firmami i rynkami. Problem będzie trwał nawet po zniesie-

niu lockdownu, bo przedsiębiorcy będą prowadzili swoje biznesy w sytuacji niepewności, w obawie przed nowymi restrykcjami. Inwestorom trudniej będzie skalkulować ryzyko i będą mniej chętni do inwestowania. Polska będzie miała dodatkowy problem z tego powodu, że z większą od naszej recesją zmagać się będą nasi najważniejsi partnerzy handlowi. W pierwszym kwartale br. gospodarka Niemiec skurczyła się o 2,2 proc., a w całym roku ma stracić 6,5 proc. Sam spadek PKB spowoduje, że w relacji do PKB gwałtownie wzrośnie zadłużenie publiczne, a do tego dojdzie wzrost długu spowodowany zwykłą wydatków państwa na programy antykrzysowe. Jednym słowem, dojdzie do zdemolowania finansów publicznych w całej UE, ale też w USA i innych krajach.

KRYZYS JEGO ŻYCIA

Wydaje się, że cała ta histeria i blokada światowej gospodarki to zdecydowanie przesadzona odpowiedź na stosunkowo niewielki problem. Ale czy w takim razie nie chodzi o coś innego niż tylko chronienie ludzi przed chorobą? Kto zyskuje na panice? Na pewno firmy powiązane politycznie w sytuacji, kiedy zaczną się ręcznie sterować różnymi biznesami, jak zamówienia maseczek ochronnych, rękawiczek, testów, respiratorów, szczepionek, a może i innymi działami gospodarki niezwiązanymi bezpośrednio z epidemią.

Zyskają producenci spirytusu i przyborów higienicznych, a także dostawcy towarów i usług internetowych. W Wielkiej Brytanii za pieniądze podatników wybudowano siedem dużych polowych szpitali, z których nikt nie korzysta (także w Polsce łóżka w szpitalach jednoimiennych stoją puste). Ktoś na tym zarobił.

Czy więc władze miały wystarczający powód, by separować zdrowych ludzi i niemal zablokować gospodarki swoich krajów? Zdaniem dr Potts pod pozorem zapewnienia nam bezpieczeństwa jesteśmy oszukiwani, wprowadzani w błąd i izolowani w domach. „Każdy aspekt naszego człowieczeństwa jest atakowany. Atak jest poważny i dzieje się na kilku poziomach: psychologicznym, językowym, fizycznym. Dlaczego? To ma nas przemieniać, zmieniać nas, sprawiać, abyśmy byli przedmiotem dopasowanym do nowej rzeczywistości, odnowionego świata. Rób to, co ci każą, lub bądź

zamknięty w domu na zawsze. Jesteśmy zastraszeni i traktuje się nas jak stada owiec, a nasze prawa są ignorowane, nasze chrześcijańskie przywileje zdeptane” – pisze dr Potts. Jej zdaniem należy przestać słuchać tej totalitarnej władzy, bo w ten sposób niszczona jest nie tylko gospodarka, lecz także nasze społeczeństwo i dotychczasowy sposób życia. Uważa, że jesteśmy świadkami celowego przekształcania ludzkości – biologicznego, psychologicznego, duchowego. – To o wiele bardziej zabójcze niż sam wirus – ocenia dr Potts.

I rzeczywiście – lewicowy miliarder George Soros już wskazał, że pandemia koronawirusa toruje drogę zmianom społecznym, które wcześniej uważano za niemożliwe, nazywając to kryzysem swojego życia. – Jeszcze przed uderzeniem pandemii zdałem sobie sprawę, że znajdujemy się w rewolucyjnym momencie, w którym to, co byłoby niemożliwe lub nawet niemożliwe w normalnych czasach, stało się nie tylko możliwe, lecz także prawdopodobnie absolutnie konieczne – powiedział Soros w jednym z wywiadów.

Już na początku wybuchu pandemii WHO zaleciła, by nie korzystać z gotówki, na której mogą się gromadzić groźne wirusy i płacić pieniądzem elektronicznym, co łatwo pozwala śledzić zachowania ludzi. Edward Snowden, były pracownik CIA, alarmuje, że koronawirusowy kryzys zostanie wykorzystany do masowej i stałej globalnej kontroli. Ernesto Araújo, minister spraw zagranicznych Brazylii, ostrzegł na swoim blogu, że pandemia stanowi wielką okazję do zbudowania porządku światowego pozbawionego narodów i wszelkich wolności, a celem jest budowa światowego komunizmu. Coś jest na rzeczy, skoro np. podległy niemieckiemu ministerstwu zdrowia Instytut Roberta Kocha początkowo blokował przeprowadzanie sekcji zwłok osób, które zmarły rzekomo na koronawirusa. To całkowicie nienaukowe podejście – tak jak w przypadku zablokowania przeprowadzenia badań archeologicznych w Jedwabnem.

KTO ZA TYM STOI?

Nawet jeśli koronawirus nie został przez kogoś intencjonalnie wypuszczony w świat i nie można w tym przypadku zastosować rzymskiej zasady *is fecit, cui prodest* („ten uczynił, czyja korzyść”), to różne gremia próbują go wykorzystać



Przez ograniczenia zamarła działalność gospodarcza w kraju. Na zdjęciu pusty Rynek Starego Miasta w Warszawie FOT. ADOBE STOCK

do własnych celów. Szybsza śmierć osób starszych przede wszystkim jest na rękę systemom emerytalnym świata Zachodu, które załamują się z powodu konieczności coraz dłuższego wypłacania świadczeń w sytuacji kurczenia się liczby płatników składek. W Szwecji wobec osób starszych chorych na koronawirusa stosuje się tzw. aktywną eutanazję. To również bardzo korzystna sytuacja dla koncernów farmaceutycznych, które produkują i testy, i szczepionki. A to wielki biznes, jeśli się weźmie pod uwagę, że wszyscy mogą zostać zmuszeni do przyjęcia szczepień (gdzie wolność wyboru?). Czy to właśnie dlatego Bill Gates i inni naciskają, by wprowadzić szczepionki, mimo że średnia wieku osób zmarłych na koronawirusa wynosi powyżej 80 lat?

Okazało się, że amerykański IHME oraz Imperial College London – instytucje, które „przez pomyłkę” 20-krotnie zawyżyły śmiertelność koronawirusa i wydające opinie, na których podstawie podejmowano decyzje o zamykaniu państw – są sponsorowane przez fundację Billa i Melindy Gatesów. Zresztą Gates, który przecież nie jest ani lekarzem, ani tym bardziej wirusologiem, stał się ekspertem w tej dziedzinie i finansuje także WHO. Tę samą niewiarygodną WHO, która wraz z UNICEF stała za aferą, kiedy to w latach 2013–2014 ponad milionowi dziewcząt i kobiet w Kenii podano szczepionkę przeciw tężcowi, a wyszło na jaw, że znajdował się w niej także hormon, który powoduje bezpłodność.

Wielkim niebezpieczeństwem jest to, że na panice może zyskiwać władza państwa, która łatwiej będzie mogła wdrażać wobec własnych obywateli

coraz bardziej antywolnościowe działania nieskontrowane żadnymi protestami. Czy te wszystkie aplikacje w smartfonach śledzące kontakty mieszkańców, powstałe pod pretekstem zwalczania pandemii, a także szybszego powrotu do „normalności” (w Estonii już testowane są tzw. paszporty cyfrowe), po jej zakończeniu zostaną wygaszone, czy jednak pozostaną z nami na zawsze? „Rząd jednak przesadza z zagrożeniem, wykorzystując je jako pretekst do zwiększenia swej władzy kosztem coraz większego ograniczania naszych swobód. Kiedy „zagrożenie” minie, już nam nigdy tych wolności nie oddadzą” – uważa Ron Paul, były amerykański kongresman.

POLITYK NIE PRYZNA SIĘ DO BŁĘDU

Coraz więcej komentatorów uważa, że zamrożenie polskiej gospodarki nie było konieczne, a na pewno nie w takim stopniu i na taki okres. – Daleki jestem od koncepcji Łukaszenki, ale przesadziliśmy z paniką związaną z koronawirusem – mówi w rozmowie z Radiem Piękary Andrzej Dziuba, prezydent Tychów. – Codziennie umierają ludzie na gripę, raka, a nikt nie zamyka jednej trzeciej gospodarki – podkreśla.

Czy politycy nie zaszli za daleko we wprowadzaniu ograniczeń dla gospodarek, a teraz, obawiając się przyznać do błędu, pozostają przy swoim? Amerykański statystyk i niezależny pisarz dr William M. Briggs przeanalizował działania niemal wszystkich krajów świata i wysnuł wniosek, że nie ma dowodów, iż blokada gospodarki ratuje ludzkie życie, a bezdyskusyjne jest, że powoduje wielkie szkody: „Nie możemy wyciągnąć

wniosku, że lockdown działa. Jedyńm dowodem na [działanie] blokady jest chęć, aby blokady działały. To i zakłopotanie (albo i gorzej) związane z przyznaniem się do błędu. Który polityk gdziekolwiek przyzna się do zrujnowania gospodarki i życia milionów obywateli?”

Politycy boją się odpowiedzialności. Przedsiębiorcom nie należą się żadne uznaniowe tarcze antykryzysowe, lecz odszkodowania za decyzje polityczne blokujące prowadzenie działalności gospodarczej. Oczywiście to byłoby gigantyczne sumy, których państwa nie mają, ale niektóre firmy już pozywają władze o odszkodowanie. 11 maja właściciele sieci siłowni Orangetheory Fitness złożyli do sądu pozew przeciwko Skarbowi Państwa, żądając łącznie 458 tys. zł odszkodowania z tytułu kosztu utrzymania siłowni po ich zamknięciu przez rząd oraz utraty zysku. – Uważam, że wybraliśmy najdroższy i najbardziej nietrafiony model walki z koronawirusem. Mamy najgorszy przebieg epidemii w Europie, gorzej od nas wyglądają tylko Rosja, Białoruś i Ukraina, może jeszcze Bułgaria – powiedział w rozmowie z „Dziennikiem Zachodnim” poseł Porozumienia Andrzej Sośnierz, lekarz i były szef NFZ, który szacuje, że osób zarażonych w Polsce jest co najmniej siedem-osiem razy więcej, niż się oficjalnie podaje.

Co należało zrobić? Rozwiązaniem nie jest liberalny szwedzki model walki z koronawirusem, którego celem było uzyskanie odporności stadnej, co uderza w osoby starsze i te o słabszym zdrowiu. Jak podało Radio Szczecin, według szwedzkiego urzędu statystycznego w kwietniu w kraju tym odnotowano największą od niemal 30 lat liczbę zgonów. Należało wziąć przykład z Korei Południowej, Australii, Nowej Zelandii, Islandii, Tajwanu czy Austrii. Jak wyjaśnia poseł Sośnierz: „Rządy tych państw błyskawicznie wdrożyły skrupulatne identyfikowanie wszystkich osób, które miały kontakty z zakażonymi. Wszystkie te osoby izolowano i w odpowiednich dniach po kontakcie testowano w celu potwierdzenia lub wykluczenia zakażenia. We wszystkich tych państwach epidemii wygaszono do poziomu śladowego w ciągu od 3 do 5 tygodni”. We Włoszech, Francji czy w Belgii przede wszystkim zarażali się ludzie starsi żyjący w domach opieki. Większość pozostałych mogła normalnie żyć i pracować.

W 1984 r., po zakończeniu stanu wojennego, Kazimierz Braun wystawił we Wrocławiu adaptację „Dżumy” Camusa. Spektakl był obrazem totalitarnego zła, atakującego wspólnotę Oranu. Analogia była wówczas dla wszystkich czytelna. Któż by jednak się spodziewał, że po blisko 40 latach, w demokratycznym państwie, staniemy wobec pokusy analogii identycznej?

Pandemia ze swej natury nie ma w sobie nic politycznego, nie sprowadza ideologicznej represji – wszystko zależy od tego, co z nią zrobi człowiek. Polska, dzięki mądrej polityce władz, szczególnie Ministerstwa Zdrowia, dobrze sobie radzi z pandemią. Są jednak w naszym kraju takie obszary, w które wystarczy się lekko zagłębić, a zobaczy się znajomą gębę totalitaryzmu. Obszarem „szczególnej troski” są w Polsce od wybuchu epidemii przede wszystkim seniorzy, w tym także seniorzy skoszarowani w DPS, czyli domach starców.

Od ładnych paru lat z konieczności mieszkam w jednym z takich domów w Krakowie, w oddziale „artysty seniora”. Szczęśliwie nie ma u nas i nie było a n i jednego przypadku zakażenia, co jest rezultatem zamknięcia domu dla wizyt i zakazu wyjść dla pensjonariuszy. Ten zakaz obowiązuje we wszystkich DPS wraz z wieloma innym stokroć dokuczliwymi restrykcjami. Ostatnio wojewoda małopolski wraz z inspektorem sanitarnym przedstawili okólnik, czego nie wolno mieszkańcom. Wyjścia w uzasadnionych potrzebach wymagają zgody dyrektora na piśmie i po powrocie skutkują 14-dniową kwarantanną.

Wszystko, starcze, dla twojego dobra i zdrowia. Zakupy spożywcze i apteczne można robić tylko poprzez personel domu, przynoszone przez rodzinę – „leżakują” dwa dni na portierni przed doręczeniem (sic!).

Wszystkie te restrykcje podtrzymywane są teraz, gdy rząd zaczyna powoli folgować w życiu społecznym poza DPS. Starcy skoszarowani, w przeciwieństwie do wolnościowych, nadal otoczeni są niezwykłą troską władzy. A władza, jak się okazuje, im niższego szczebla, tym mniej jest odporna na wirusa totalizmu, a czas pandemii stwarza jej po temu wyśmienite warunki.

Wszyscy starzy i młodzi zdajemy sobie sprawę z ekonomicznych zagrożeń wynikających z pandemii, mało kto jednak zadaje sobie pytanie, jakie będą, jakie już są jej skutki socjologiczne i psychologiczne. A widać już gołym okiem, że ten

Starcy w zamrażarce

katakлизм jak każdy wyzwolił nie tylko wiele dobra, empatii, solidarności, lecz także wypuścił z ciemnych zakamarków człowieczeństwa demony strachu i niestety – terroru. Niby to mały terrorek, ale na świecie już widać, w co może się przetrwać. Na przykład w Szwecji pełny luz dla mieszkańców, żadnych restrykcji. Poza zamkniętymi domami starców, gdzie bez kontroli rodziny ci chaczem poi się pensjonariuszy jakimś zabójczym dla oddechu roztworem morfiny.

Kiedy dziś patrzę w swoim DPS na ogromną połąć ogrodu, z kilkoma bramami – wszystkie nie dość, że zabarykadowane płótkami, to jeszcze opasane taśmami, jak miejsca przestępstw – zadaję sobie pytanie: Po co to, skoro wszystko jest w rękach portiera, otwierającego bramy elektryczne? I dowiaduję się, że po to, aby nikt nie považał się przekazywać poprzez metalowe balaski „niekontrolowanej” żywności! A jakaż nieoceniona wartość dodatkowa – obraz

stanu oblężenia wtłaczany w mózgi starców, ilekroć wyjdą w masce na przechadzkę po ogrodzie. Stan oblężenia i jak na tacy: memento mori.

Mieszkanie w domu starców jest ze swej istoty okrutne i społecznie nienormalne – dla wrażliwego człowieka to ceka śmierci, choćby nie wiem jak luksusowa, codzienna lekcja z Sein-zum-Tod wśród takich samych skazańców. Przymusowe, w dodatku bezterminowe zamknięcie, a należałoby powiedzieć – bezterminowe więzienie – podczas pandemii pogłębia jeszcze te odczucia i pozostawia starców odartych już ze wszelkich życiowych sensów poza ochroną biologiczną,

dzając do domu starców, nikt nie podpisuje cyrografu cedującego całą jego wolność ludzką i obywatelską na zarządców. Pandemia w sposób zrozumiały ograniczenia wymusza. Ale przedłużanie ich bezterminowo dla jednej tylko kategorii ludzi – mieszkańców DPS – to naruszenie prawa i dyskryminacja. Ta zamrażarka dla skoszarowanych starców czyni z nich ludzi drugiej kategorii. Niewolników. Dość osobliwe uzasadnienie odmowy pofolgowania restrykcji usłyszałam w swoim domu. Dyrekcja jest odpowiedzialna za x osób i nie może dopuścić do tego, aby jedno nieodpowiedzialne wyjście pensjonariusza spowodowało nieszczęście zakażenia na cały dom.

Implikacja takiego rozumowania jest oczywista – zarażać potencjalnie możemy tylko my, pensjonariusze, w odwrotną stronę to nie działa – pracujący w domu personel, z którym mamy styczność codzienną – ex definitione – nie zaraża. Czy nie widać tu, że: 1. Mówiący te słowa w istocie nie bierze na siebie żadnej odpowiedzialności, usurpuje sobie natomiast pełnię władzy, sprowadzając pensjonariuszy do roli niedojrzałych, bezmyślnych niewolników, pakujących się w nieszczęście. 2. Starcy w DPS, starcy drugiej kategorii – potencjalnie groźni nosiciele wirusa – czy naprawdę czymkolwiek się różnią od ludzi, których w przeszłości stygmatyzowano jako nosicieli tyfusu i wszelkiego zła?

Pandemia z wolna zaczyna ustępować, miejmy nadzieję, że ustąpi całkowicie. Ale pokusa władzy totalnej jest wirusem niezniszczalnym. I oby nie była testowana na nas, kiedy znowu pewnego dnia w mieście szczęśliwym dżuma znowu wypuści swoje szczury. Jak w nieśmiertelnej powieści Alberta Camusa.

Agnieszka Wójcik

© All rights reserved

Imię i nazwisko autora zostały na jego prośbę zmienione.

*Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości,
ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości
ani prawa do przyszłości.*

Józef Piłsudski

DO
RZECZY

HISTORIA
DO
RZECZY



STRAŻNIK PAMIĘCI

2020

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

PARTNER STRATEGICZNY



PARTNER





FOT. GABRIEL PIETRUSZKA/PAP

Senacka intryga



Rafał A. Ziemkiewicz

Opozycja nakreśliła scenariusz kompletnej destrukcji państwa. Pozbawionego głowy, z uzurpatorem w roli jego następcy, drugim w roli prezesa Sądu Najwyższego i dublerami w Trybunale Konstytucyjnym

Przekonanie, że zablokowawszy wybory 10 maja i wymieniwszy dzięki temu Małgorzatę Kidawę-Błońską na Rafała Trzaskowskiego, PO odstąpi od dotychczasowej obstrukcji wyborów prezydenckich, przetrwało niewiele ponad tydzień. Nowy kandydat wniósł wprawdzie do kampanii nową energię, odzyskując w sondażach część „żelaznego elektoratu” i odbierając drugie miejsce Szymonowi Hołowni. Jednocześnie wzrost deklarowanej frekwencji obniżył procentowy wynik urzędującego prezydenta (choć liczba jego zwolenników się nie zmniejszyła) do poziomu dającego opozycji nadzieję na drugą turę. Wszystko to wprawiło PO i jej zwolenników w stan euforii.

Jednak kampania Trzaskowskiego została właśnie wysadzona w powietrze kolejną próbą zablokowania wyborów, którą podjął niespodziewanie zdominowany przez PO Senat. I nikt już nie rozumie, o co w wywołanym przez część senatorów zamieszaniu chodzi. Niewykluczone, że oni sami też.

Pomysł pojawił się najpierw w internetowych mediach bliskich „opozycji ulicznej”, by kilka dni później zostać podchwytcony przez „Gazetę Wyborczą”. Jako plan polityczny ogłosił go publicznie wicemarszałek Senatu, Michał Kamiński (obecnie związany z PSL), a w konkretny projekt poprawki, przesuwałcej po raz kolejny wybory, przekuł również wicemarszałek Gabriela Morawska-Stanecka z SLD.

Działania obojga autoryzował marszałek Grodzki, ogłaszając, że pojawiające się „wątpliwości” zmuszają go do przedłużenia prac nad ustawą wyborczą i przeniesienia posiedzenia Senatu na kolejny tydzień. Oficjalnie za inicjatywą poprawki, odkładającej wybory na jesień, stoi opinia „grupy prawników”, którzy mieli zwrócić uwagę polityków opozycji na rzekomą niekonstytucyjność projektu ustawy zbiorowym listem. Jacy to konkretnie prawnicy – nie wiadomo. W mediach prezentowanie tezy o „niekonstytucyjności” wzięła na siebie rzecznik praw obywatelskich z czasów PRL,

sędziwa prof. Ewa Łętowska, ale nigdzie nie zadeklarowała się ona wyraźnie jako autorka opinii, na którą powołali się Kamiński, Morawska-Stanecka i Grodzki.

ŻONGLERKA ARTYKUŁAMI

Prawna podstawa całej akcji to klasyczna „falandyzacja”. Niekonstytucyjność wyborów 28 czerwca powodować ma zapis, w którym konstytucja nakazuje marszałkowi Sejmu wyznaczenie terminu wyborów pomiędzy 100. a 75. dniem przed końcem kadencji. A skoro ten czas już upłynął, to teraz kolejne wybory można wyznaczyć tylko w sytuacji, gdy prezydenta nie ma, czyli po jego rezygnacji, albo po 6 sierpnia, gdy skończy się kadencja Andrzeja Dudy.

Nieznani „znani prawnicy” i powołujący się na nich senatorowie odrzucają więc uchwałę Państwowej Komisji Wyborczej, zaaprobowaną w ponadpartyjnym konsensusie przez wszystkie siły polityczne. Uchwała ta wskazywała bowiem, że w sytuacji, gdy rozpisane zgodnie z konstytucją wybory się nie odbyły, zastosowanie ma Kodeks wyborczy, nakazujący ponowne ich rozpoznanie w najbliższym możliwym terminie. Z prawników gotowych występować w mediach pod nazwiskiem zdecydowana większość uznaje odmówienie prawomocności tej uchwały za bezzasadne.

Jakby mało było kazuistyki, liderzy senackiej obstrukcji ogłosili, że ich zdaniem po wygaśnięciu kadencji prezydenta jego obowiązki powinien przejąć nieuznawany przez konstytucję za drugą osobę w państwie marszałek Sejmu, a marszałek Senatu. Tutaj już żonglerka artykułami konstytucji doprowadzona jest do absurdu i oparta na argumentacji logicznie sprzecznej. Konstytucja nie wymienia *expressis verbis* wygaśnięcia kadencji wśród sytuacji, w których zastępuje prezydenta marszałek Sejmu, więc należy uznać, że ten zastąpić go nie może, a kiedy druga osoba w państwie „nie może”, zgodnie z konstytucją zastępuje ją trzecia – która już z jakiegoś powodu może, choć logika podsuwa, że skoro zastępuje ona drugą osobę w tym, co ona może, to ten sam brak dosłownego wyszczególnienia okoliczności uniemożliwia działanie i jej.

Sekundujący całej akcji Roman Giertych, od lat blisko współpracujący z Kamińskim, nagłośnił ten pomysł z entuzjazmem, wyrażając oczekiwanie, że natychmiast po objęciu funkcji p.o. prezydent Tomasz Grodzki mianuje na prezesa Sądu Najwyższego sędziego Wróbla, a także przyjmie ślubowania od trzech sędziów Trybunału Konstytucyjnego, wybranych nieskutecznie jeszcze przez PO i PSL.

Został więc oto nakreślony scenariusz kompletnej destrukcji państwa. Pozbawionego głowy, z uzurpatorem w roli jego następcy, drugim w roli prezesa Sądu Najwyższego i dublerami w Trybunale Konstytucyjnym. Innymi słowy, scenariusz rewolucji, niemającej nic wspólnego z Konstytucją RP, przypominającą raczej wrogie przejęcie korporacji przez mniejszościowego udziałowca albo rozpadnięcie konstytuandy przez bolszewików.

EFEKT PSYCHOLOGICZNY

Jakie są szanse realizacji wyznaczonego przez Kamińskiego, Giertycha i Morawską-Stanecką scenariusza? Na szczęście zerowe. Nawet, jeśli Senat przyjmie poprawkę tej ostatniej, Sejm przecież przywróci ustawie pierwotne brzmienie. Czy rewolucjoniści liczą na przeciągnięcie na swoją stronę Jarosława Gowina, na przykład poprzez skuszenie go fotelem marszałka Sejmu? Po „pakię dwóch Jarosławów” i w tak wątpliwej sprawie jest to nieprawdopodobne. Pomijając już wszystko inne, Gowin popełniłby wtedy polityczne samobójstwo i skazałby się na los drugiego Giertycha, pogardzanego

po użyciu przez obie strony – przy czym Giertych bywa jeszcze przynajmniej dla obozu anti-PiS użyteczny jako prawnik, mimo ograniczonej skuteczności.

Jedynym realnym skutkiem akcji wice-marszałków z PSL i SLD (warto o tym pamiętać) może być tylko wydłużenie procedowania ustawy, a tym samym, skrócenie czasu na zbieranie podpisów dla Rafała Trzaskowskiego.

Nawet jeśli PO poradzi sobie z tym zadaniem w skróconym czasie, a PSL wywiąże się z publicznie złożonej obietnicy, że pomoże, sprawa przynosi Platformie szkody. Skróceniu ulegnie nie tylko zbieranie podpisów, lecz także kampania wyborcza, której obecnie kontrkandydaci urzędującego prezydenta prowadzić nie mogą, podczas gdy on sam bez trudu wrzuca swoją w pełnienie prezydenckich obowiązków.

Nie lekceważyłbym też efektu psychologicznego. Większość wyborców z ulgą przyjęła wyborczy konsensus władzy i opozycji. Zrywając go, PO – bo to na nią, za sprawą „marszałkissimusa” Grodzkiego spadnie całe odium – narazi się na ich wściekłość. Strach przed głosowaniem, wobec stopniowego osławiania epidemii, stracił na znaczeniu. Wzrosło natomiast zmęczenie wyborczym chaosem i oczekiwanie Polaków, że sprawa kolejnej prezydenckiej kadencji zostanie wreszcie rozstrzygnięta. Akcja Senatu spektakularnie potwierdza wszystkie oskarżenia, które formułuje wobec „opozycji totalnej” obóz rządzący: o brak odpowiedzialności za państwo, wywoływanie chaosu dla samego chaosu, brak jakiegokolwiek programu, poza bezmyślnym negowaniem i blokowaniem wszystkiego w myśl „im gorzej, tym lepiej”. Łatwość, z jaką PO zrywa dopiero co zawarte umowy, non-szalancja, z jaką posługuje się konstytucją i praworządnością, których rzekomo broni... Szkody wizerunkowe można wymieniać długo.

Na drugiej szali leży nieoparta na niczym wiara części polityków opozycji, że wynik ich kandydata będzie tym lepszy, im później do wyborów dojdzie, bo Polacy obrażą się na PiS za restrykcje związane z epidemią i oczekiwany wskutek niej kryzys gospodarczy. Opozycja wieszczy to już od pięciu lat, i cały czas na próżno. Co najmniej równie możliwy jest scenariusz, w którym mimo pogorszenia warunków życia Polacy uznają, że rząd zrobił, co mógł, albo taki, w którym na niezadowoleniu zyskują inne partie niż PO.

I to może być wyjaśnienie zagadki. Skrócenie czasu na kampanię wyborczą i zbieranie podpisów może spowodować, że PO zmuszona będzie zrezygnować z kandydatury Rafała Trzaskowskiego i wrócić do Kidawy-Błońskiej, która podpisy ma zebrane, to byłaby kompromitacja. Albo że PO w ogóle nie wystawi kandydata, co byłoby kompromitacją jeszcze większą. W obu przypadkach zyskałby na tym Władysław Kosiniak-Kamysz, siłą rzeczy stając się wspólnym kandydatem PO-PSL, w której to roli dawno temu obsadzał go już Donald Tusk. Według wszystkich sondaży lider PSL ma stosunkowo największe szanse, by wygrać w hipotetycznej drugiej turze z Andrzejem Dudą, ale nie ma szans do niej wejść. Po wyeliminowaniu kandydata PO miałby.

Zyskałby także na jego wyeliminowaniu Robert Biedroń, który obecnie idzie na wynik trzy razy mniejszy od sondaży Lewicy – to również kompromitacja, której partia ta wolałaby zapewne uniknąć.

Niewykluczone, że Tomasz Grodzki, prezentujący nieprzebrane pokłady miłości własnej, dał się przekonać, że odegra rolę zbawcy narodu i z trzeciej osoby w państwie stanie się pierwszą. Scenariusz postulowanej rewolucji pasuje również do osobowościowych słabości Borysa Budki, który uwielbia cisnąć pedał radykalizmu poza wszelkie granice rozsądku (właśnie zapowiedział, że pierwszą decyzją prezydenta Trzaskowskiego będzie wprowadzenie dwuwładzy w Sądzie Najwyższym), więc opinię „znanych prawników” podchwycił zupełnie, nie zauważając, że cała akcja topi kandydata PO, a wraz z nim – jej obecnego prezesa.

Czy „znani prawnicy” to w istocie Roman Giertych i Michał Kamiński, już widzący się w kancelarii przyszłego niepisowskiego prezydenta? Czy to ten drugi, znany z umiejętności „omisiowywania” polityków lawiną pochlebstw (tak miał zmanipulować Ewę Kopacz), przekonał „trzecią osobę w państwie” do zerwania ugody zawartej na bazie uchwały PKW? Czy gdzieś tam w tle nie czai się Grzegorz Schetyna, popychający dyskretnie PO do decyzji kompromitującej i niszczącej zwycięskiego obecnie rywala?

Odpowiedź brzmi – jeśli wyborcza obstrukcja nie jest wykwitem czystego, bezmyślnego warcholstwa i pieniactwa, tylko efektem jakiejś racjonalnej kalkulacji, to to jest jedyne wyjaśnienie. Ale, znając lewicowo-liberalną opozycję, pierwszej opcji także nie można wykluczyć.



Wojciech Wybranowski

Nowy pierwszy prezes Sądu Najwyższego prof. Małgorzata Manowska to jedna z twarzy zdecydowanych zmian w polskim sądownictwie. Jej kandydaturę popierali ziobryści

Ta nominacja nie spodobała się opozycji. W mediach społecznościowych wyliczano przepisy konstytucji i paragrafy ustaw, które prezydent Andrzej Duda miał rzekomo złamać, powołując nowego pierwszego prezesa Sądu Najwyższego. Powielali je znani i często występujący w bliskich opozycji mediach prawnicy, m.in. prof. Wojciech Sadurski. Według nich miał to być dowód na naruszenie prawa przez głowę państwa. Po kilku godzinach okazało się, że wszyscy padli ofiarą żartu jednego z internautów, który przytoczył rzeczywiście przepisy, ale... prawa lotniczego. Prawniczy eksperci kontestujący nominację Manowskiej powielali je jednak bez mrugnięcia okiem i grozili prezydentowi odpowiedzialnością karną.

W takich okolicznościach oficjalnie rozpoczęła swoją kadencję prof. Małgorzata Manowska jako pierwszy prezes Sądu Najwyższego.

„JASTRZĘBIE” KONTRA „GOŁĘBI”

– Dołożę wszelkich starań, aby sąd ten najwyższy jak dotychczas niezmiennie był i jest symbolem i ostoją niezależności wymiaru sprawiedliwości i niezawisłości sędziowskiej – mówiła prof. Manowska po odebraniu postanowienia o powołaniu jej na stanowisko pierwszego prezesa SN. – Cieszę się, że całe swoje doświadczenie długoletnie sędziowskie i akademickie będę mogła poświęcić dla służby Sądowi Najwyższemu oraz dla jego pracowników – dodała.

56-letnia Manowska to prawnik specjalizujący się w prawie cywilnym. Jest absolwentką Uniwersytetu Warszawskiego i wykładowcą Uczelni Łazarskiego. W 1994 r. zdała egzamin sędziowski. Orzekała we wszystkich instancjach w warszawskich sądach. W 2007 r. przez kilka miesięcy była wiceministrem sprawiedli-

wości blisko współpracującym ze Zbigniewem Ziobrą. Od tego czasu uważana jest za zdecydowaną „ziobrystkę”. Zwolennicy Ziobry popierali ją w staraniach o nominację w SN. Doprowadziło to zresztą do drobnych waśni między ludźmi związanymi z wymiarem sprawiedliwości z obozu dobrej zmiany. Grupa zwolenników byłego wiceministra sprawiedliwości (odszedł po tzw. aferze hejterskiej) Łukasza Piebiaka zabiegała o poparcie innego z kandydatów – prof. Tomasza Demendeckiego.

– Mamy grupę „jastrzębi” i to są ludzie Piebiaka, który walczy o przetrwanie, wspierając Demendeckiego, bo taka nominacja pozwoli Łukaszowi pozostać w grze politycznej i zachować wpływy w środowisku sędziowskim. Z drugiej strony mamy, jakkolwiek to brzmi, grupę „gołębi” Ziobry, którzy chcą zachować dotychczasowe zmiany w sądach – mówił nam jeden z sędziów Sądu Najwyższego jeszcze przed oficjalnym ogłoszeniem nazwisk kandydatów na pierwszego prezesa SN.

Niemal w tym samym czasie na twitterowym koncie „Kasta Watch” prowadzo-

nym przez „jastrzębie” zaczęły pojawiać się informacje mające zdyskredytować prof. Manowską. Podawano m.in., że jej panieńskie nazwisko jest identyczne z nazwiskiem skazanych w głośnej aferze Warszawskiej Grupy Inwestycyjnej. Sugerowano, że w Szkole Sędziów i Prokuratorów, której Manowska jest dyrektorem od 2016 r., „pracują osoby karane dyscyplinarnie lub z takimi zarzutami”.

– Zostanie wstyd. To nie jest dobry dzień dla reformy wymiaru sprawiedliwości – ogłoszono na koncie „jastrzębi”, gdy okazało się, że prezydent Andrzej Duda zdecydował się jednak funkcję pierwszego prezesa SN powierzyć Manowskiej.

– Pani Małgorzata Manowska to osoba o niekwestionowanym dorobku orzeczniczym i naukowym w środowisku prawniczym. Można powiedzieć, że jest sędzią wybitnym, bo do Sądu Najwyższego trafiła z Sądu Apelacyjnego – stwierdził wiceminister Sebastian Kaleta.

Przez długi czas na giełdzie nazwisk wśród kandydatów na fotel pierw-

Dobra zmiana w Sądzie Najwyższym



FOT. PAPALA, EUZ/PAP

szego prezesa SN wymieniano także sędzię Joannę Lemańską, kierującą Izłą Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych, uważaną za bliską znajomą prezydenta Andrzeja Dudy i umiarkowaną „centrystkę”. Stronnicy Lemańskiej i Demendeckiego liczyli, że prezydent, skonfliktowany ze Zbigniewem Ziobrą, nie poprze Manowskiej, by tym samym nie wzmacniać pozycji ministra sprawiedliwości. Pomysł ewentualnego powierzenia Lemańskiej fotela prezesa SN nie podobał się z kolei w środowisku „twardego trzonu” PiS, gdzie uważano ją za miękką i mocno związaną ze środowiskiem tzw. kasty sędziowskiej. Ona sama też nie paliła się do walki o prezesurę. Według nieoficjalnych informacji miała się obawiać, że zostanie poddana medialnej i społecznej krytyce, w której osi narracji będzie właśnie znajomość z prezydentem.

SĘDZIOWIE I POLITYCZNA WOJNA

Zanim prof. Manowska została jednak pierwszym prezesem SN, zwolennicy

zmian w sądownictwie musieli stoczyć zawzięty bój z częścią polityków, bliskich im mediów i środowiska sędziowskiego. Opinię publiczną uderzyła m.in. gorsząca, przypominająca znaną z parlamentu, obstrukcja części sędziów SN usiłujących uniemożliwić przeprowadzenie zgromadzenia ogólnego sędziów SN i wybór pięciu kandydatów, z których prezydent miał wyłonić pierwszego prezesa SN. Powołany na p.o. pierwszego prezesa SN prof. Kamil Zaradkiewicz zrezygnował z tej funkcji po kilku dniach bezowocnych prób przeprowadzenia procesu wyłaniania kandydatów. – Jestem głęboko zbulwersowany podważaniem kompetencji prowadzącego Zgromadzenie, ignorowaniem nie tylko czynności porządkowych, lecz także licznymi zachowaniami, w tym nieprawdziwymi oskarżeniami o moje rzekome polityczne motywacje – argumentował Zaradkiewicz.

Wcześniej został brutalnie zaatakowany publikacją „GW”. Dziennik zasugerował, że ma homoseksualne preferencje.

Dopiero powołany na p.o. pierwszego prezesa SN prof. Aleksander Stępkowski

przełamał impas i przeprowadził wybór. W gronie pięciu kandydatów znaleźli się: Włodzimierz Wróbel (uzyskał 50 głosów), Małgorzata Manowska (25 głosów), Tomasz Demendecki (14 głosów), Leszek Bosek (4 głosy) i Joanna Misztal-Konecka (2 głosy).

Żaden z kandydatów nie zdobył większości głosów sędziów zgromadzenia ogólnego SN, a zgodnie z przepisami konstytucji prezydent ma prawo wybrać kandydata z piątki z największym poparciem.

Wskazanie na prof. Manowską wywołało kolejną polityczną awanturę. Część polityków opozycji i prawników niezgodnie z prawdą przekonywała, że obowiązkiem prezydenta było powołanie sędziego z największą liczbą głosów. Takiego przepisu w konstytucji nie ma. – Sytuację tę opisuje bardzo dobrze art. 183 ustęp 3 (konstytucji), który mówi bardzo wyraźnie, że zgromadzenie ogólne sędziów Sądu Najwyższego przedstawia kandydatów prezydentowi i to prerogatywa prezydenta, kogo z tej piątki wybierze – tłumaczył Andrzej Dera, minister w Kancelarii Prezydenta RP.

Kwestionowano też, że prezydent Duda powierzył fotel prezesa SN prof. Manowskiej, nie czekając na przyjęcie przez ZOSN stosownej uchwały o przedstawieniu kandydatów prezydentowi. „Kolejne rażące naruszenie Konstytucji przez PAD. Ustawa zasadnicza wymaga, aby I Prezesem SN była osoba przedstawiona przez Zgromadzenie Ogólne, a więc większość sędziów. Prof. Manowska nie miała takiego poparcia i są wątpliwości, czy w ogóle jest sędzią” – pisał na Twitterze Marcin Matczak, znany prawnik bliski największej partii opozycyjnej. To jednak nieprawda.

Jak wyjaśniał sędzia Michał Las-owski, były rzecznik prasowy SN, ani w konstytucji, ani w uchwale o Sądzie Najwyższym, ani w regulaminie SN nie ma przepisu, który nakazywałby głowie państwa wstrzymanie się z powołaniem pierwszego prezesa SN do czasu przyjęcia przez sędziów uchwały.

W pierwszym tygodniu swojego urzędowania na stanowisku pierwszego prezesa SN prof. Małgorzata Manowska zadeklarowała, że jednym z najważniejszych jej zadań będzie zasypanie podziałów i konfliktów między obecnymi sędziami Sądu Najwyższego. To będzie bardzo trudne zadanie.

JACEK PRZYBYLSKI: Prezydent USA stanowczo obarcza Chiny winą za pandemię. Z kolei władze w Pekinie ostrzegają przed nową zimną wojną. Jak COVID-19 zmienia stosunki międzynarodowe?

JACEK CZAPUTOWICZ: Spór między Chinami a Stanami Zjednoczonymi, a także wojny handlowe między tymi krajami rozpoczęły się jeszcze przed pojawieniem się COVID-19. Oceniając obecną retorykę, trzeba sobie zdawać sprawę z zaciętej rywalizacji między Chinami i USA. Jednak poznanie prawdy o rozwoju tej choroby w Chinach jest ważne. A postulaty USA, aby ten proces był przejrzysty i by władze w Pekinie odpowiadały na pytania społeczności międzynarodowej, są uzasadnione.

Grozi nam nowa zimna wojna?

Pandemia doprowadziła do głębokich zmian w stosunkach międzynarodowych, które są wynikiem m.in. zamknięcia wielu państw, zerwania łańcuchów dostaw czy zaprzestania lotów. Obecny protekcjonizm może sprawić, że nie wrócimy do globalizacji na skalę sprzed pandemii. Widzimy próby ochrony rynku podejmowane choćby przez Stany Zjednoczone. Być może poszczególne firmy, zamiast gdzieś daleko, będą wołały inwestować bliżej, np. w krajach sąsiednich. Wpływ koronawirusa na ład światowy oraz funkcjonowanie gospodarek i społeczeństw może okazać się poważny.

Pandemia sprawiła, że we Włoszech przybyło eurosceptyków. Wirus doprowadzi do italexitu?

Skutki tej pandemii – jeśli chodzi zarówno o liczbę ofiar, jak i o wpływ na gospodarkę – są bardzo poważne. Gdy odpowiedzialnością za ten stan rzeczy obarczamy Unię Europejską, może to rodzić nastroje eurosceptyczne. Jednak kryzys ten pokazał przede wszystkim większą rolę państw w obliczu zagrożenia niż organizacji międzynarodowych, takich jak Unia Europejska czy ONZ. Pandemia COVID-19 sprawiła, że na pierwszy plan powróciły suwerenne państwa narodowe. To one, tak jak Polska, podejmowały decyzje o zamknięciu granic, kwarantannach etc. Od jakości rządów w poszczególnych państwach zależeć będzie tempo wychodzenia z kryzysu.

Unii Europejskiej było trudno stanowczo reagować na jego początku. Może ona jednak odegrać większą rolę we wsparciu gospodarek krajów



**Z Jackiem Czaputowiczem,
ministrem spraw zagranicznych
rozmawia Jacek Przybylski**



Polska z pandemii może wyjść mocniejsza

członkowskich i w doprowadzeniu do szybszego wyjścia z kryzysu. Zgłaszane są ambitne projekty finansowe, np. plan Merkel-Macron. W dłuższym czasie państwo nie może się izolować, koszt tego byłby bowiem wysoki. Wychodzenie z kryzysu wymaga więc współpracy międzynarodowej.

Po pandemii Polska wzmocni pozycję na arenie międzynarodowej?

Polska jest w stosunkowo dobrej sytuacji. Liczba zarówno osób zarażonych, jak i ofiar pandemii jest w naszym kraju mniejsza niż w wielu państwach Europy Zachodniej. Również oceny perspektyw polskiej gospodarki ze strony UE czy Międzynarodowego Funduszu Walutowego są lepsze niż w wielu innych państwach. Ufam więc, że relatywna pozycja Polski w świecie będzie rosła.



Mamy tradycyjnie dobre stosunki z Chinami. Polska jest postrzegana przez Chiny jako ważny partner w Europie. Wciąż dużo więcej importujemy z Chin, niż eksportujemy do tego kraju, dążymy więc do poprawienia bilansu handlowego. Chcemy, aby nasze stosunki gospodarcze rozwijały się z korzyścią dla obu stron. Polska leży też na transportowym szlaku i jesteśmy zainteresowani rozwojem dróg łączących Chiny z Europą Zachodnią. Jednocześnie zdajemy sobie sprawę z obecnych napięć w relacjach Stanów Zjednoczonych z Chinami i pamiętamy, kto jest naszym sojusznikiem. Chiny rozumieją nasze uwarunkowania i podchodzą do tego w sposób pragmatyczny.

Skoro sytuacja na świecie staje się bardziej napięta, to może warto podchwycić sugestię ambasador USA w Warszawie i zainteresować się przeniesieniem z Niemiec do Polski części arsenału jądrowego?

Śledzimy tę dyskusję, jednak kwestie te wymagają decyzji NATO i naszych partnerów, w tym Niemiec. Ambasador Niemiec odpowiedział, że Niemcy są sprawdzonym sojusznikiem i dotrzymują swych zobowiązań, m.in. dotyczących kwestii stacjonowania broni jądrowej.

Taki ruch na pewno zirytowałby Rosjan. Czy osłabione przez krach na rynku surowców, będących podstawą rosyjskiego budżetu, władze na Kremlu będą bardziej skłonne do dialogu w ważnych dla Polski sprawach?

Pandemia – a zwłaszcza towarzyszący jej spadek cen surowców energetycznych – zadała poważny cios rosyjskiej gospodarce. Z naszej perspektywy problemem w relacjach z Rosją są jej działania agresywne, sprzeczne z prawem międzynarodowym, czego przykładem są ataki na Gruzję i Ukrainę czy operacje w innych państwach. Uważamy, że nie może być zgody na ingerencje Rosji w wewnętrzne sprawy Ukrainy i aneksję części ukraińskiego terytorium. Z tego powodu zostały na Rosję nałożone sankcje. Razem z innymi państwami stoimy więc na stanowisku, że Rosja powinna powrócić na drogę przestrzegania prawa międzynarodowego. Jeżeli Rosja zmieniłaby swoją agresywną politykę, wówczas powstałaby podstawa do szczerego dialogu i współpracy. Mamy zarazem świadomość, że taka zmiana rosyjskiej polityki będzie trudna.

Rosja wytoczyła Polsce medialną „wojnę” o interpretację drugiej wojny światowej, wypa-

czając przyczyny jej wybuchu. Czy ta walka o pamięć już się zakończyła? Wygraliśmy tę wojnę?

Ona trwa i będzie trwała. Pamiętamy jej główne epizody, takie jak wypowiedź Władimira Putina obarczająca Polskę współodpowiedzialnością za wybuch wojny czy odmowa udziału w uroczystościach w Jerozolimie przez prezydenta Andrzeja Dudę. Momentem kulminacyjnym był 9 maja, czyli święto, które ze względu na pandemię nie było obchodzone tak, jak wymarzyli sobie Rosjanie.

Nigdy nie zgodzimy się na próby przeinaczania historii i obarczania Polski odpowiedzialnością za wybuch wojny. Zdajemy sobie zarazem sprawę, że propagandowa polityka historyczna Rosji służy uzyskaniu legitymacji dla prowadzonych przez prezydenta Putina działań. W sporze tym światowa opinia publiczna jest po naszej stronie. Polska była pierwszą ofiarą wojny i nic tego nie zmieni.

Co chcemy osiągnąć, wzmacniając rangę najbliższego szczytu Partnerstwa Wschodniego?

Zależy nam, żeby Unia Europejska była w sześciu państwach partnerskich silnie zaangażowana. Chcemy utrzymać niepodległość tych państw, bo ich suwerenny rozwój służy również polskim interesom bezpieczeństwa, gospodarczym i społecznym. Sytuacja w takich krajach jak Ukraina czy Białoruś ma bezpośredni wpływ na sytuację w Polsce. W ostatnich dniach odbyłem rozmowy z ministrami spraw zagranicznych wszystkich państw Partnerstwa Wschodniego, którzy poinformowali mnie, że oczekują potwierdzenia wsparcia dla ich europejskich aspiracji i nadania najbliższemu szczytowi odpowiedniej rangi politycznej.

Mamy też wciąż nadzieję na wypłatę przez Niemcy reparacji wojennych. Czy pandemia i towarzyszący jej krach gospodarczy ostatecznie pogrzebały na to szanse?

Epidemia dotyczy sfery ochrony zdrowia i granic, więc nie ma bezpośredniego związku z kwestiami historycznymi. Zarazem trudno dziś powiedzieć, jak wpłynie na scenę polityczną w Niemczech i priorytety rządu w Berlinie. Czekamy na raport końcowy Parlamentarnego Zespołu ds. Oszacowania Wysokości Odszkodowań Należnych Polsce od Niemiec za Szkody Wyrządzone w trakcie drugiej wojny światowej, który może być podstawą do ewentualnych dalszych działań.

„Musimy być zjednoczeni na Zachodzie, by być skutecznym w naszej polityce wobec Chin. Istnieje niebezpieczeństwo, że Chiny chcą podzielić UE lub NATO” – mówił pan niedawno w Waszyngtonie. Czy Pekin rzeczywiście próbuje rozbić jedność UE i NATO?

Polska opowiada się za utrzymaniem jedności Zachodu w polityce wobec Chin oraz Rosji. Polityka obu tych państw stanowi wyzwanie dla NATO, Unii Europejskiej czy Zachodu. Nie powinniśmy więc dopuścić do tego, aby którykolwiek z tych zewnętrznych aktorów rozgrywał jedno państwo zachodnie przeciwko drugiemu. Polska chce umocnienia stosunków transatlantyckich, NATO i zwiększenia obecności wojsk USA w Europie.

Czy stając twardo po stronie Waszyngtonu, nie tracimy szans, jakie dawałoby otwarcie tzw. nowego szlaku jedwabnego?

FOT. MATERIAŁY PRASOWE AGF

Jak pokazuje doświadczenie, jedynie silne media kontrolowane przez kapitał zagraniczny i korzystające z dyplomatycznej ochrony są w stanie skutecznie walczyć o własną niezależność wobec szantażu i ataków władzy” – taką opinię, już po deklaracjach Trzaskowskiego, wyraził Jakub Bierzyński, analityk medialny związany z opozycją. I dalej: „Przykład TVN, choć nie jedyny, jest najbardziej znaczący. [...] Jedynie wielkie międzynarodowe grupy medialne, wsparte zaangażowaną dyplomacją swego kraju, mogą skutecznie bronić swej niezależności. TVP trzeba sprzedać za granicę. Dla wolności słowa tak będzie najbezpieczniej”. Trudno o bardziej wyrazisty przykład myślenia, który od blisko trzech dekad towarzyszy liberałom. Wiąże się ono z niewyraźnym już wprost założeniem, że kapitał obcy będzie wspierać Platformę i Lewicę. I rzeczywiście – zazwyczaj tak się działo.

POLITYCY W TELEWIZJI

Pierwsze hasła „Niech rynek ureguje w całości także świat mediów” pojawiły się na początku lat 90. Gdańscy liberałowie wierzyli wówczas, że trzeba sprywatyzować, co tylko się da. A kapitał rzekomo miał nie mieć narodowości. Dlatego nie widzieli żadnego problemu w wykupywaniu polskich mediów lokalnych przez niemieckie firmy. Jeśli ktoś postawił wówczas tamę szybkiej prywatyzacji, był to Lech Wałęsa, który chciał mediów publicznych dla siebie. Wywołało to w 1993 r. dość zaskakującą kontrę. Politycy od lewa do prawa poparli prezesurę TVP dla Wiesława Walendziaka, umiarkowanego konserwatysty, który był gwarancją, że najstłanniejszy elektryk nie położy ręki na gmachu przy Woronicza.

Szybko jednak swoje zastrzeżenia wobec telewizji Walendziaka zgłosiła „Gazeta Wyborcza”. Adam Michnik zauważył, że do TVP przyszło wtedy wielu młodych konserwatystów, którzy poszerzyli spektrum poglądów, z którymi mogli zapoznać się widzowie. Gdy Wałęsa odszedł po przegranej w 1995 r. – ówczesna Unia Wolności wraz z SLD i PSL zdecydowała o wyrzuceniu z siodła Walendziaka i zastąpieniu go politykiem PSL – Ryszardem Miazkiem. Tego zastąpił dla odmiany kolejny polityk Robert Kwiatkowski z SLD. W 2002 r. na chwilę wróciła opcja na prywatyzację mediów, gdy doszło do targów Agory i „grupy trzymającej władzę” utożsamianej przez część mediów z Włodzimierzem Czarzastym. Uczestnicy targów medialnych

Mediów publicznych burzliwe wypadki



Piotr Semka

Rafał Trzaskowski, zapowiadając likwidację publicystyki politycznej i „Wiadomości” TVP, rozognił na nowo spór o sens istnienia mediów publicznych. Dlaczego kwestia ta wywołuje tak żywe emocje? I dlaczego po prawej stronie tak nerwowo reaguje się na takie plany?



Rafał Trzaskowski podczas konferencji prasowej przed siedzibą TVP w Warszawie. FOT. MATEUSZ WŁODARCZYK/FORUM

pokłócili się i doszło do tzw. afery Rywina. Ten wstrząs wyniósł na chwilę Jana Dworaka – biznesmena branży medialnej silnie związanego z obozem Platformy. W 2006 r. PiS uznał, że skoro każdy po zdobyciu władzy sięga po media publiczne, to czas na własne rozdanie. Partia Jarosława Kaczyńskiego w koalicji z Samoobroną i Ligą Polskich Rodzin opanowała media, ale sukces telewizji Walendziaka się nie powtórzył. Bronisław Wildstein okazał się dla Nowogrodzkiej zbyt niezależny i został usunięty. Rozpoczęło to karuzelę przeciętnych prezesów i „p.o. prezesów” od m.in. Andrzeja Urbańskiego poprzez Piotra Farfala do Romualda Orła.

W 2007 r. Platforma unieważniła ustawy z czasów PiS i na fotel prezesa TVP wprowadziła kolejnego polityka – Juliusza Brauna. A tego zastąpił już w 2016 r. Jacek Kurski.

REKTORZY WYBIORĄ LEPIEJ

Ta cała układanka pokazuje, że politycy na czele mediów publicznych to w ciągu ostatnich 25 lat raczej norma niż wyjątek.

Problem leżał w czym innym. Otóż w ciągu całego okresu po 1990 r. obóz okrągłostołowy, czyli Platforma i jej poprzednie wcielenia, PSL oraz Lewica, miały wpływy zarówno w mediach publicznych, jak i w większości mediów prywatnych. A prawica miała media słabe i tylko rozciąganie kontroli na media publiczne dawało jej jakąkolwiek szansę na równowagę medialną w zderzeniu z przeciwnikami.

Publicystyczni zwolennicy opozycji odrzucają ten argument, mówiąc, że media publiczne to coś specjalnego, coś, co musi być ponad sympatiami, bo jest finansowane z kieszeni wszystkich Polaków. A media prywatne mogą być nieobiektywne i agresywne, bo nie są publiczne. Tyle że wiarygodność tego nagłego wpadania w podniosły ton osłabia fakt, że gdy TVP była pod kontrolą prezesów z nadania PO, PSL i SLD, to mało kto dał szaty nad brudnymi chwytami i indoktrynacją Polaków przez prywatne media. A Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji, wskutek usilnych starań polityków centrolewicy, zawsze miała większość, która podcinała nogi inicjatywom medialnym prawicy. Tylko TVP Walendziaka i koncesja dla Radia Maryja to jedyne sytuacje, gdy ta zasada nie zadziałała, zresztą wskutek zbiegu rozmaitych pomysłów dla prawej strony okoliczności.

Fakt, że kandydatów do Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji zgłaszają

politycy, zawsze niepokoiło środowisko „Gazety Wyborczej”. Choć w latach 90. wydawało się to mało prawdopodobne, to jednak zadawano sobie na Czerskiej pytanie, co się zdarzy, jeśli prawica zdobędzie większość w Sejmie.

Antidotum na taki wypadek stanowiły propozycje, by Krajową Radę i tym samym wpływ na media publiczne „odebrać politykom”. Proponowano, by członków KRRiT nie wybierali politycy, tylko np. rektorzy wyższych uczelni wraz z szefami związków twórczych.

Jaki mógł być ukryty zamiar takich pozornie apolitycznych rozwiązań? Dzisiaj, przy okazji wojny polsko-polskiej, już dobrze widać, jak bardzo środowiska te są przechylone ku lewicy i jak bardzo łatwo wpływać na nie za pomocą hysterii medialnych. Przypomnijmy amok wokół lustracji wyższych uczelni w 2007 r. czy uchwały wydziałów prawa rozmaitych polskich uniwersytetów w 2015 r., gdy wydziały te wydawały apele o wstrzymanie reform sądownictwa.

Ten duży, ale niejawni potencjał wpływów lewicy w elitach umacnia wyborców prawicy w przekonaniu: tylko zmiana polityczna dokonywana kartą wyborczą daje szansę na odsunięcie lewicy od władzy i wpływu na media publiczne.

Czy jest to sytuacja normalna? Oczywiście nie i dlatego tak wielu publicystom łatwo załamywać ręce nad takim zjawiskiem. Jednak tylko tak powstaje równowaga informacyjna.

Poglądy prawicowego elektoratu na dychotomię – media publiczne dla PiS, prywatne media za PO – jest realistyczny. Zauważają przerysowania publicystyki TVP czy „Wiadomości”, ale zauważają też stopień zaangażowania w spór polityczny wielu mediów prywatnych i doceniają równowagę informacyjną. Mniej rzuca się w oczy inna okoliczność obecnej sytuacji – niechęć Nowogrodzkiej do stworzenia dla prywatnych mediów z prawej jakichś szans na tak samo mocne podstawy stabilności biznesowej, jakie zbudowały sobie w latach 90. i dwutysięcznych „Polityka” czy TVN.

Jarosław Kaczyński zachowuje się tak, jakby jego ideałem był stan ręcznej kontroli nad mediami publicznymi, ale już los takich inicjatyw jak Telewizja Republika czy Radio Wnet niespecjalnie go interesował. Powoduje to sytuację, w której konserwatywne media niepubliczne w razie powrotu do władzy Platformy, Lewicy czy PSL znajdują się

w ciężkiej sytuacji. Będzie im wypominane, że dostawały reklamy np. od spółek Skarbu Państwa, ale finansowe podstawy ich działalności nadal będą tak samo słabe, jak były. Pod tym względem PiS chce narzucić w pełni kontrolowalnych. Po nas choćby potop.

LISY OBROŃCAMI KUR

Powrót opozycji do władzy raczej nie skończy się likwidacją mediów publicznych. W roli ich obrońców wystąpią lewica, PSL i część dzisiejszego obozu PO. Tyle że pod hasłem odbudowy prestiżu mediów publicznych do roli arbitrów dziennikarskiej bezstronności chętnie będą aspirować ludzie mediów, którzy dziś niezwykle agresywnie angażują się po stronie opozycji. Gdy ktoś im to wypomni, odezwie się chór oburzonych głosów – „jak można porównywać te oba rodzaje zaangażowania!”. Wiem, widywałem już podobne komedie.

Już dziś tworzy się dwie skale poprawności: osobną, znacznie surowszą dla dziennikarzy TVP, i drugą dla mediów prywatnych, która podkreśla ich rzekomą bezstronność i brak emocji przy relacjonowaniu wydarzeń.

I wtedy może powrócić sytuacja z epoki prezesa Jana Dworaka czy Juliusza Brauna. TVP będzie nieobiektywna, ale skoro większość mediów nie będzie z tego robiła problemu, to awanturować się będą tylko zepchnięte na margines media prawicowe. Gaszone na dodatek surowymi upomnieniami: Po tym, co się działo za waszych czasów, nie macie prawa do żadnej krytyki „odrodzonych” mediów publicznych.

Jaki z tego morał? Ano taki, że dopóki ostrość wojny PiS kontra antypis nie zelżeje, dopóty wszelkie efektowne wezwania do „wspólnej” odbudowy wiarygodności mediów publicznych nie mają silnych podstaw. Od 1989 r. prawa strona już nieraz widziała, jak pod hasłem odbudowy standardów wraca stara, dobra dominacja jednej strony.

I to dlatego pokrzykiwania kandydata prezydenckiego na temat likwidacji programów politycznych w TVP przyjmowane są wzruszeniem ramion. W Platformie zawsze znajdą się obrońcy obecności polityki w mediach publicznych, ale postrzeganej jako atrakcyjny łup. „Obietnica Trzaskowskiego w sprawie mediów publicznych brzmi jak przyrzeczenia wampira, że zostanie krwiodawcą” – zauważył jeden z publicystów. Trafił w dziesiątkę.



Łukasz Warzecha

Nic od wielu lat tak nie naruszyło wizerunku policji jak jej zachowanie podczas epidemii

Protect and Serve” („Chronić i służyć” – policja Los Angeles), „Pomáhat a chránit” („Pomagać i chronić” – Czechy), „Semper Aequus” („Zawsze sprawiedliwi” – policja stanu Maine), „Pro Patria Vigilant” („Czuwają dla ojczyzny” – Francja) – takie motta patronują różnym siłom policyjnym na świecie. Polska policja nie ma oficjalnego motta, choć kiedyś ogłoszono na nie konkurs i miało się pojawić na radiowozach. Ma za to ogromny kłopot z własnym wizerunkiem. Może to i lepiej, że na policyjnych samochodach nie znalazło się coś w rodzaju „Pomagamy i chronimy”, bo w zestawieniu z działaniami policji w ciągu ostatnich trzech miesięcy mogłoby jedynie drażnić.

Chwalenie się zaufaniem społecznym do policji zawsze było metodą uciszenia pytań niewygodnych dla tej służby przez kolejnych ministrów spraw wewnętrznych. Komunikatami o zaufaniu wymachiwali na konferencjach prasowych Bartłomiej Sienkiewicz z Mariuszem Sokołowskim (ówczesnym rzecznikiem Komendy Głównej) oraz komendantami Andrzejem Matejukiem i Markiem Działoszyńskim. Identycznie zachowuje się dziś minister Mariusz Kamiński, pisząc list wspierający policjantów i przywołując w nim, a jakże, wysokie zaufanie społeczne do policji.

W 2012 r., za rządów Platformy Obywatelskiej, policja (według CBOS) cieszyła się zaufaniem 65 proc. badanych, przy czym zdecydowane zaufanie deklarowało 8 proc. Stawiało ją to na siódmym miejscu spośród badanych instytucji. Wyprzedzały ją m.in. WOŚP, Caritas, wojsko i Kościół. Nie ufało policji 28 proc. obywateli.

Kwietniowy komunikat CBOS z tego roku pokazuje zaufanie do policji na poziomie 71 proc., z 11 proc. deklarującymi zaufanie zdecydowane, ale w rankingu nastąpił spadek – teraz policja jest na dziewiątym miejscu. Nieufność deklarowało 21 proc. Wydaje się zatem, że faktycznie jest lepiej niż osiem lat



temu, ale sprawa nie jest oczywista. Badanie ze stycznia 2016 r., a więc wkrótce po objęciu rządów przez PiS, pokazywało poziom zaufania do policji niemal niezmienny wobec tego z roku 2012. Natomiast ostatnie badanie CBOS przeprowadzał w lutym, a zatem przed wybuchem epidemii, zarządzeniem zamrożenia państwa i działaniami policji z tym związanymi oraz przed tzw. protestami przedsiębiorców.

W dodatku problem z badaniami zaufania do policji jest podobny jak z badaniami zaufania do sądów: większość respondentów nie ma z tymi instytucjami osobistego kontaktu, więc wyrabiają sobie zdanie na podstawie przekazu mediów i kierują się własnymi sympatiami politycznymi. Brak zaufania do policji w czasach rządów PO deklarowali głównie zwolennicy PiS; dzisiaj sytuacja się odwróciła. Przy czym jednak kontakt z policją jest częstszy niż kontakt z sądami. I to może być dla policji kłopot, wzięwszy pod uwagę częstotliwość tych kontaktów i ich naturę w ostatnim czasie.

Policja nie jest oczywiście od tworzenia prawa, ale od jego egzekwowania. Prawo regulujące życie ludzi w czasie epidemii nie tylko budziło mnóstwo wątpliwości prawnych, lecz także było bardzo uciążliwe. To była wina autorów rozporządzeń, nie funkcjonariuszy. Jednak już sposób, w jaki policjanci egzekwowali przepisy, był sprawą samej formacji.

ZA KRÓTKIE SZKOLENIA

Kto próbował kiedyś wniknąć w sposób działania policji, ten wie, jakie mechanizmy tam działają. Teoretycznie

rzecz biorąc policjant, spotykający osobę idącą na spacer z dala od domu w czasie obowiązywania zakazu przemieszczania się, miał różne możliwości: mógł nie zareagować, mógł zareagować, ale poprzestać na pouczeniu, mógł wystawić mandat, a mógł wreszcie skierować do sanepidu wniosek o ukaranie karą administracyjną – skandalicznie nieproporcjonalną do przewinienia. Jednak tylko naiwny może sądzić, że decyzja zależała zawsze od nastawienia danego policjanta. To oczywiście też mogło mieć znaczenie – i tutaj od dawna zwraca się uwagę na bardzo niską jakość policyjnych kadr oraz dramatycznie krótki okres szkolenia podstawowego.

Pod tym względem niemal nic się nie zmieniło mimo obietnic obecnego komendanta głównego policji inspektora generalnego Jarosława Szymczyka. Gdy przeprowadzałem z nim wywiad wkrótce po objęciu przez niego funkcji, ówczesny nadinspektor Szymczyk mówił: „Mam natomiast świadomość, że wyszkolenie funkcjonariuszy jest dziś piętą achillesową policji. Przeciętny policjant kończy je na poziomie zaledwie półrocznego kursu podstawowego. Dla porównania – Węgrzy rozbudowali swój kurs podstawowy, który trwa teraz dwa lata. W Niemczech to aż trzy lata. Dopiero taki okres – dwa, trzy lata – daje szansę na odpowiednie przygotowanie”. Tymczasem szkolenie podstawowe w polskiej policji to dzisiaj... 146 dni. Z kursu wprost na ulice, także do radzenia sobie z demonstrantami, wychodzą ludzie najzwyczajniej nieprzygotowani do spotkań z ludźmi, nienauczzeni empatii, elastyczności (która zresztą nie jest mile



milicja

Ogromne wątpliwości wzbudziło zachowanie policji w czasie tzw. protestów przedsiębiorców FOT. ABACA/PAP

widziana), za to wyposażeni w ogromną władzę, która może zostać wkrótce jeszcze bardziej podbudowana, jeśli wzmocniona zostanie ochrona prawna funkcjonariuszy – co już zapowiadają rządzący. To trochę tak, jakby w ręce kogoś, kto nauczył się strzelać z procy, przekazać pistolet maszynowy i pozwolić mu zrobić z niego użytek. Skutki mogą być opłakane.

Jednak zachowania policjantów na ulicy w czasie epidemii, ich gwałtowne i absurdałne interwencje pokazywane w sieci – ze sprawą Pauliny Ilnickiej, młodej zawodniczki sportów walki z Olsztyna na czele – były przede wszystkim skutkiem nieformalnie przekazywanych oczekiwań i nacisków. Wbrew zapowiedziom Jarosława Szymczyka policja nie skończyła z fetyszem statystyk. Gdy te są dla danej komendy czy wydziału słabe, dowódca każe swoim ludziom wyrabiać na akord normę mandatową. Skutkiem tego są choćby polowania na kierowców z radarem na krzakach. W przypadku egzekwowania przepisów zakazujących przemieszczania się dowódcy również odczytywali oczekiwania – czy przekazywane z samej KGP, a może nawet z wyższego szczebla – możemy jedynie spekulować.

Skutek był dla wizerunku policji porażający – tak przynajmniej mogą świadczyć anegdotyczne dowody. Ludzie zaczęli się na ulicy ostrzegać przed policyjnymi patrolami, a w mediach społecznościowych podniosła się fala bezprecedensowego hejtu. Z punktu widzenia budowy zaufania między obywatelami a policją – które, jak wie każdy specjalista od policyjnej prewencji – jest absolutnie

niezbędnym warunkiem skutecznego działania tej formacji, była to katastrofa.

PARTYJNE MOTYWACJE

Gdy zakazy zostały złagodzone, zaczęły się nowe problemy. Ogromne wątpliwości wzbudziło zachowanie policji w czasie tzw. protestów przedsiębiorców. Czy zakaz zgromadzeń, wprowadzony rozporządzeniem, jest zgodny z konstytucją czy nie, nie ma tu większego znaczenia. Policja miała oczywiście prawo interweniować wobec faktu, że zgromadzenia były niezarejestrowane, a więc nielegalne. Tyle że jej interwencje w poprzednich latach, także wobec nielegalnych zgromadzeń czy blokad, były znacznie łagodniejsze. Gdy przypomnieć sobie niemal pieszczotliwie przenoszonych do radiowozów członków KOD i zestawień ten obraz z puszczaniem gazu na uczestników ostatnich protestów, widać, że coś działa inaczej.

Czy naprawdę były powody, aby spisywać – a w konsekwencji odwozić na posterunek – kobietę samotnie przejeżdżającą pod siedzibą Trójki na rowerze, obwieszonym plakatami? Dlaczego policja zaczęła spisywać uczestników protestu w Piasecznie, związanego z pogrzebem zamordowanej 16-letniej Kornelii, choć ci mieli na twarzach maski i zachowywali odstęp? Czy Paweł Tanajno faktycznie naruszył nietykalność cielesną funkcjonariusza (co na filmach z wydarzeń nie jest wyraźnie widoczne), czy po prostu trzeba osadzić kłopotliwego organizatora protestów?

Nieuchronne są porównania z przeszłością. Niektórzy wskazują, że za Platformy policja strzelała do demonstrantów – dziś tego nie robi. Chodzi o wydarzenia pod

gmachem Jastrzębskiej Spółki Węglowej z lutego 2015 r. Tyle że wtedy policjanci mieli do czynienia z bardzo agresywnym tłumem, palącym opony, rzucającym petardami i usiłującym się wdrzeć do budynku firmy. Nic takiego nie miało miejsca podczas protestów Tanajny.

Co ciekawe, gdy policja zachowywała się wprost prowokacyjnie podczas Marszów Niepodległości, obecny szef MSWiA jej bronił. Komentując wydarzenia z 11 listopada 2012 r., Mariusz Kamiński mówił w Polsat News, że nie wierzy w policyjną prowokację. I dodawał: „Policja musi działać w sposób zdecydowany, jeśli prawo jest łamane, natomiast nie może tego nadużywać”. W liście do policjantów, opublikowanym 21 maja, Kamiński stwierdza: „Policja jest instytucją będącą liderem rankingów społecznego zaufania, w ostatnich latach konsekwentnie coraz lepiej ocenianą przez Polaków. Wasza postawa w czasie epidemii jeszcze mocniej ugruntuwała ten wizerunek. [...] Za ten codzienny wysiłek i działania na rzecz bezpieczeństwa Polski i Polaków, za niezwykle profesjonalnie, z ogromnym poświęceniem i zaangażowaniem, wykonywane czynności, należą Wam się najwyższy szacunek i uznanie”. To zaklinanie rzeczywistości: nic od wielu lat tak nie naruszyło wizerunku policji jak jej zachowanie podczas epidemii. Podobny w tonie list skierował do policjantów komendant główny. Już samo to pokazuje, że szefostwo policji zdaje sobie sprawę z pogarszających się wokół tej formacji nastrojów – w przeciwnym wypadku nie byłoby tego typu gestów.

Policijni związkowcy, którzy oczywiście również mają swoje polityczne sympatie, widzą problem kojarzenia policji z działaniami o motywacjach ściśle partyjnych. Stąd niedawna petycja NSZZ Policjantów, aby pieniądze dla policji ustawić podobnie jak dla wojska – jako stały procent PKB – oraz aby stanowisko komendanta głównego było kadencyjne. Szanse na realizację tych postulatów są jednak małe.

Za czasów PiS policja zrobiła sobie faktycznie dobry PR. Każda komenda założyła profil na Twitterze, na którym co chwila pojawiały się łzawe opowieści o tym, jak to dzielni funkcjonariusze a to eskortowali rodzącą matkę do szpitala, a to pomogli starszemu przejść przez jezdnię, a to zapobiegli kradzieży „na wnuczka”. Okazało się niestety, że to emalia, którą wystarczyło przez kilka tygodni poskrobać, żeby spod spodu wylazła milicyjna rdza – ta sama od lat.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Łukasz Zboralski

W Europie, w tym w Polsce, płoną maszty telekomunikacyjne. Skąd wzięła się społeczna partyzantka anty-5G? I czy obawa przed promieniowaniem elektromagnetycznym jest zupełnie nieuzasadniona?

W Polsce ruszyła sieć 5G. Na razie w siedmiu miastach – w Warszawie, Gdańsku, Katowicach, Poznaniu, Szczecinie, Łodzi i we Wrocławiu. Nową technologię uruchomił Plus. Ma umożliwiać znacznie lepszą przepustowość łączy (600 Mb/s w porównaniu z LTE pozwalającym realnie na transfery ok. 25 Mb/s).

Jednak już w ubiegłym tygodniu w mediach społecznościowych opublikowano zdjęcia palącego się w Łodzi nadajnika jednego z operatorów telefonii komórkowej. Na swoim facebookowym profilu zamieścił je m.in. asystent posła Grzegorza Brauna – Piotr Jawornik, wiceprezes Ogólnopolskiego Stowarzyszenia Wiedzy o Szczepieniach STOP NOP. „Pożęga podświadomości. Niech maszty zapłoną i płoną. Warto kląć i intensywnie myśleć nad tym, co się dzieje, odbierane to jest jako modlitwa” – napisał.

Według nieoficjalnych informacji podpalono nadajnik sieci Play. Operator nie potwierdził, że chodziło o jego maszt, ale wydał w tej sprawie oświadczenie. Podkreślił w nim, że ataki na infrastrukturę telekomunikacyjną „noszą znamiona działalności przestępczej wymierzonej w bezpieczeństwo państwa i obywateli”. Porównał to do niszczenia torów, trakcji czy linii do przesyłu energii elektrycznej. I dodał: „Infrastruktura telekomunikacyjna pełni kluczową rolę w funkcjonowaniu społeczeństwa i gospodarki. Jej znaczenie jest szczególnie istotne w sytuacjach krytycznych, takich jak stan klęski żywiołowej czy stan epidemii, którego właśnie doświadczamy. Sprawna i wydajna infrastruktura telekomunikacyjna jest niezbędna w zgłoszeniach wypadków i wydarzeń zagrażających zdrowiu i życiu wszystkich osób znajdujących się na terytorium Polski”.

Ludzie kontra 5G

W ten sam ton – czyli narażania zdrowia i życia obywateli – uderzył reprezentant gospodarczych interesów firm, czyli Polska Izba Informatyki i Telekomunikacji. „Nielegalna próba zniszczenia masztu w Krakowie w minionym roku i podpalenia stacji bazowych operatorów w ostatnich dniach pokazują, że nie-

zbędna jest natychmiastowa reakcja. Te zdarzenia wskazują, że ludzie zaangażowani w te przestępstwa nie cofną się przed kolejnymi działaniami. To może oznaczać, że dojdzie w końcu do tragedii, w której zginie człowiek” – napisała PIIT. Zaapelowała też do rządu i samorządów o „zdecydowane działania”.

Przedstawiciele firm telekomunikacyjnych ataki na nadajniki wiążą z rozpowszechnianiem w Internecie teorii o związku technologii 5G z pandemią COVID-19. Izba uważa, że oznaczanie wątpliwych treści w mediach społecznościowych to za mało i chciałaby podjąć „skutecznych działań” oraz reakcji „natychmiastowych” i „zdecydowanych”. Chociaż to nie pada wprost, można odebrać to jako domaganie się cenzury prewencyjnej w sieci. PIIT uważa, że ataki na maszty inspiruje propaganda „ze strony Federacji Rosyjskiej”.

Także polskie służby specjalne twierdzą, że w rozsiewanie kłamstw w tej sprawie zaangażowane są rosyjskojęzyczne media internetowe. W komunikacie na rządowym portalu stwierdzono: „Jedną z najczęstszych teorii spiskowych promowanych obecnie w mediach są fake newsy łączące rozprzestrzenianie się koronawirusa z technologią 5G. Z doniesień medialnych wynika, że wirus jest rozsiewany za pomocą masztów 5G albo że epidemia została wymyślona w celu przykrycia szkodliwego działania nowej technologii”.

Tylko czy na pewno ruch sprzeciwu wobec instalacji gęstej sieci nowych nadajników ma związek wyłącznie z wyznawcami teorii spiskowych łączących pandemię z nowymi technologiami?

PAŃSTWO NIE KONTROLUJE

Maszty telefonii komórkowej niszczą się w kilku krajach Europy. W kwietniu w Wielkiej Brytanii co chwila donoszono o podpaleniach. W sumie od początku kwietnia do początku maja zaatakowano na Wyspach 77 nadajników. Jak relacjonowała Mobile UK, organizacja reprezentująca czterech brytyjskich operatorów telefonii komórkowej, większość atakowanych wież nie obsługiwała 5G. Celem ataków nie jest tam zresztą wyłącznie infrastruktura. – Mielśmy 40 incydentów, w których ludzie fizycznie lub werbalnie atakowali nasz personel – przyznał na filmie dostępnym w serwisie YouTube Philip Jansen, CEO brytyjskiej firmy telekomunikacyjnej BT. Jeden z inżynierów został dźgnięty nożem i trafił do szpitala.

Ataki na wieże telekomunikacyjne odnotowano też m.in. w Holandii czy Belgii. Maszty płoną w Kanadzie oraz Nowej Zelandii.

Trudno nie zauważyć, że niszczenie tak strategicznej infrastruktury może być

korzystne dla państw, którym sprzyja zwiększanie chaosu w wielu krajach. Nie można też jednak nie zauważyć, że nie wszystkie obawy związane z siecią 5G są z gruntu nierozsądne.

Po pierwsze, jest oczywiste, że tak wysoka częstotliwość jak ta używana w sieciach 5G powoduje, iż maszty mają niewielkie zasięgi. Propagacja takich fal jest trudniejsza. W związku z tym ich sieć będzie dużo gęstsza niż tych, z którymi do tej pory mieliśmy do czynienia – w praktyce mogą to być nawet odległości 20-30 m.

A w Polsce nie bardzo udawało się do tej pory kontrolować, jak swoje instalacje stawiają operatorzy. Już w 2014 r. NIK po kontroli w Warszawie, Lublinie i Krakowie wskazywała w raporcie, że stacje bazowe telefonii komórkowej budowano niesłusznie z pominięciem prawa budowlanego. Badano wpływ stacji na sąsiednie nieruchomości jedynie w momencie jej powstawania, ale już przy dołączaniu anten czy podwyższaniu mocy stacji – w niektórych przypadkach nawet o 800 proc. – takich analiz nie prowadzono. W rzeczywistości nie kontrolowano więc tego, jak nadajniki wpływają na środowisko, w tym na zdrowie i warunki życia ludzi.

Podczas eksperckiego panelu dyskusyjnego w NIK w 2018 r. eksperci wskazywali, że infrastruktura sieci komórkowych często instalowana jest np. na dachach budynków wielorodzinnych. Tymczasem w wielu sprawozdaniach brakuje informacji o wynikach pomiarów wewnątrz mieszkań, są za to zdania mówiące o tym, iż „w żadnym punkcie wokół obiektu i w miejscu przebywania ludzi nie zostały przekroczone wartości dopuszczalne”. Uznano to za rodzaj poświadczania nieprawdy.

FALE WPŁYWAJĄ NA CZŁOWIEKA, ALE NIE WIEMY JAK

Po drugie, wiadomo na pewno, że pole elektromagnetyczne wpływa na ludzki organizm. W przypadku sieci wysokich częstotliwości – takich jak 5G – wiedza ta jest dziś niepełna. I wyciągać to możemy m.in. z raportu publikowanego na stronach Ministerstwa Cyfryzacji opracowanego w ramach Narodowego Programu Zdrowia („Oddziaływanie elektromagnetycznych fal milimetrowych na zdrowie pracowników projektowanych sieci 5G i populacji generalnej”). W wielkim skrócie – ten

rodzaj promieniowania wnika w organizm ludzki płycej niż poprzednie (4G, 3G, 2G) i ewentualne zagrożenie dotyczy głównie ludzkiej skóry, ale także m.in. oczu. Wpływ termiczny, czyli podgrzewania przy ekspozycji na silne pole, jest znany. Jednak inny wpływ na organizm, ogólnoustrojowy, nie jest dobrze rozpoznany.

W dodatku – jak wskazano w raporcie – „Nie ma również opisów skutków biologicznych i zdrowotnych związanych z długotrwałą ekspozycją na EFM [elektromagnetyczne fale milimetrowe – przyp. red.], w tym także ekspozycją osób szczególnie wrażliwych (dzieci, kobiet w ciąży, osób z chorobami przewlekłymi)”.

Oczywiście – jak widać po publicznym raporcie – tych danych nikt nie ukrywa. Są wskazywane jako przyczyny ostrożnego podejścia do projektowania instalacji 5G i ograniczania mocy takich nadajników do poziomów, które nie powinny szkodliwie oddziaływać. Kluczowe jest słowo „nie powinny”. Jak bowiem czytamy w polskim raporcie, dziś nie ma dowodów na negatywne skutki zdrowotne ekspozycji na EFM o wartościach technicznych, jakie spodziewane są do wykorzystywania w kraju. Jednak „[...] ze względu na dane wskazujące istnienie mechanizmów biofizycznych, mogących do takich skutków prowadzić, konieczne wydaje się stosowanie przy planowanej eksploatacji takich systemów zasady ostrożności i zasady ALARA (najmniejszej dawki realnie możliwej), przynajmniej do czasu uzyskania wyników badań, które pozwolą na bardziej obiektywne ustosunkowanie się do tego problemu”.

Właśnie to, jaka ostatecznie będzie kontrola nad nową technologią w Polsce, powinno budzić największe obawy. I budzi. – Ze zdumieniem obserwuję, jak z „tarczy” na „tarczę” inwestorzy sieci 5G zyskują w Polsce status niemal boski, bo ich wola wieje, kędy chce – wskazywała w ubiegłym tygodniu w Sejmie Hanna Gil-Piątek, posłanka Lewicy. – Mogą już budować, co chcą i gdzie chcą. Dziś także – kiedy chcą, bo budowa masztu ma zacząć się trzy dni od zgłoszenia, choć na sprzeciw jest 14 dni. A co, jeśli sprzeciw będzie słuszny? Rozbiórka? Już poprzednio usunęliśmy konieczność uzyskania decyzji środowiskowej, teraz odbieracie samorządom możliwość dbania o ład przestrzenny na własnym terenie. O nikogo nie dbacie, tylko o inwestorów 5G – zarzuciła rządowi. © © Wszelkie prawa zastrzeżone



Radosław Wojtas

Trwa rozbiórka Chatki Puchatka – najpopularniejszego schroniska w Bieszczadach. Co zastaniemy na Połoninie Wetlińskiej, gdy znów będzie można wrócić pod wierzchołek Hasiakowej Skały?

Nie ma takiego przewodnika po polskiej części Bieszczad, w którym Chatka Puchatka nie znalazłaby się w ścisłej czołówce miejsc, które – będąc w tych górach – koniecznie trzeba zobaczyć. Najkrótsza i najmniej wymagająca droga do Chatki (żółty szlak, który pokonują samodzielnie już kilkuletnie dzieci) to częsty wybór osób stawiających na bieszczadzskich ścieżkach pierwsze kroki i od lat najpopularniejsza piesza trasa na terenie całego Bieszczadzkiego Parku Narodowego. Między kwietniem a listopadem 2019 r. wyszło na nią ponad 113 tys. turystów (przy ok. 571,6 tys. wejść na wszystkie monitorowane szlaki BdPN). Dłuższa droga do schroniska od strony Przełęczy Orłowicza to z kolei jedna z najpiękniejszych tras w polskich Bieszczadach, na którą chętnie wracają ci, którzy przyjeżdżają w te góry od lat. Oba szlaki zbiegają się przy Chatce Puchatka.

W schronie zawsze panowały spartańskie warunki. Nie było bieżącej wody, toalet (po zamknięciu z powodów sanitarnych zewnętrznej wygodki turyści korzystali z toalet w miejscowościach), kanalizacji, energii elektrycznej (kilka lat temu park zainstalował panele fotowoltaiczne, był też agregat prądotwórczy). Mało było miejsca dla turystów chcących się posilić, niewiele przestrzeni, by przespać noc. Oferta gastronomiczna – bardzo podstawowa. To wszystko sprawiało, że Chatka będąca z jednej strony bieszczadzkim must see, znajdowała się także w zestawieniach polskich schronisk górskich oferujących najgorsze warunki. Ta surowość w oczach wielu turystów tworzyła jednak klimat Chatki Puchatka. Schron stał się kultowym miejscem. Sam poczułem lekkie ukłucie, gdy ostatniej zimy schodziłem stamtąd ze świadomością, że to miejsce, które od

lat odwiedzam niemal każdego roku, już na wiosnę zamieni się w regularny plac budowy.

LUTEK I POŁONINY

Rozbierany właśnie schron niewiele ma wspólnego ze swoim pierwowzorem. Po drugiej wojnie światowej powstała tu drewniana chata, która służyła wojsku jako punkt obserwacyjny. W 1956 r. obiekt został przekazany rzeszowskiemu oddziałowi PTTK, ale przez kilka lat stał opustoszały. Bieszczady były wtedy

w całości, gdyby nie najpierw harcerze, a później studenci, którzy zainteresowali się budynkiem, zaczęli go zabezpieczać i naprawiać. Później remont przeprowadził samo PTTK.

W roku 1967 znaleziono pierwszego stałego opiekuna schronu – Ludwika Pińczuka. Przyjechał w Bieszczady skuszony jednym z tych prasowych ogłoszeń, którym próbujące zaludnić ten dziki kawałek kraju władze zachęcały do przeprowadzki i podjęcia pracy. Kiedy Ludwikowi Pińczukowi wpadła

Remont u Puchatka



miejszem niedostępnym, asfalt kończył się znacznie wcześniej niż dziś, a ruch turystyczny był nieporównywalnie mniejszy. W sytuacji, gdy nawet między bieszczadzkimi wioskami jeździło się, grzęznąc w błocie, nikt nie palił się do urządzania i remontowania chatki stojącej na wysokości 1228 m n.p.m. Dlatego przez pierwsze lata po opuszczeniu przez wojsko w chacie nocowali „na dziko” tylko przypadkowi turyści, którzy w chłodne noce potrafili się rozgrzewać, spalając deski z podłóg czy sufity. Być może spaliliby chatę niemal

w ręce gazeta z ogłoszeniem, odrabiał służbę wojskową w kopalni na Śląsku. Wziął 28 dni wolnego i przyjechał zbierać runo leśne. Został dłużej. Imał się różnych zajęć, ale to w chatce na Połoninie Wetlińskiej rozpoznał swoje miejsce. Został jej pierwszym agentem, zapisał się do bieszczadzkiego GOPR. – Wyjechałem na szczyt z moim koniem i pierwsze, co zrobiłem, to miejsce dla niego – wspominał w rozmowie z portalem Nowiny24plus. – Bez konia bym tam nie przetrwał. Wszystko, co wciągałem na połoninę, to koniem.

Tony drewna, cementu... – opowiadał. Przebudowa chatki trwała cztery lata. Później Lutek opuścił Bieszczady, ale powrócił i w góry, i do chatki w 1986 r. Pozostał na Połoninie Wetlińskiej przez 30 lat. W 2016 r. zszedł w doliny.

Przez trzy dekady Chatka Puchatka obrosła legendą, a Lutek razem z nią. O tym miejscu i jego gospodarzu, przemierzającym konno połoniny, siadającym z gitarą wśród turystów, zaczęto pisać wiersze i śpiewać piosenki. Zresztą sama nazwa schronu ma romantyczną etymolo-

rycznych napraw i rozbudów. Sytuacji nie ułatwiał stan prawny – od lat 90. trwał spór o własność między PTTK a Bieszczadzkim Parkiem Narodowym, rozstrzygnięty w 2015 r. na korzyść BdPN. – Nigdy nie zostały tu rozwiązane sprawy sanitarne, ścieki nie były w żaden sposób oczyszczane – mówi „Do Rzeczy” dr Ryszard Prędki, dyrektor Bieszczadzkiego Parku Narodowego.

– Teraz musimy zutilizować wszystkie nieczystości z połonin. Schronisko stoi na odpadkach stałych, śmieci znajdują się też w tarasie widokowym. Ich warstwy narastały latami – dodaje.

DLA KOGO TA CHATKA?

Historia przebudowy Chatki Puchatka zaczyna się w 2017 r., kiedy powstają projekt i kosztorys utworzenia czegoś, co w dokumentacji nazwano „Stacją bioróżnorodności Karpat Wschodnich”. – Nie zabierajcie nam Chatki Puchatka! – zaprotestowali natychmiast turyści, którzy (i słusznie, bo takie były początkowe plany) obawiali się zamiany ogólnodostępnego schronu na miejsce służące głównie edukacji. Obecna dyrekcja zapewnia, że turyści nadal będą korzystać ze schroniska. – Sama nazwa została trochę nieszczęśliwie zrehabilitowana, ale potwierdzam, że schron nie tylko nie zostanie zabrany turystom, ale ta funkcja nawet się poprawi, bo powierzchnia użytkowa zwiększy się mniej więcej o 30 proc. – mówi dr Ryszard Prędki.

Za starego schronu pozostanie niewiele, być może do budowy przyziemia i tarasu uda się wykorzystać kamienie, którymi Lutek obmurowywał budynek. Stara chatka zostanie więc rozebrana. Nowa, z drewna jodłowego i kryta blachą, będzie większa. W piwnicy znajdą się pomieszczenia gospodarcze. Na parterze dyżurka GOPR, pomieszczenia warsztatowe (z funkcji edukacyjnej nie zrezygnowano) i gospodarcze, toalety i co najważniejsze – główna sala dla turystów. Będzie tam można zasiąść za stołem i zamówić coś do picia i jedzenia. Druga sala dla wędrowców będzie na poddaszu, pewnie posłuży także do spania. – Chatka Puchatka nie jest schroniskiem wysokogórskim, ale wędrownym, nie będzie oddzielnych sal do spania dla turystów. Ale będzie tam można zostać na noc, np. z własnym śpiworem i karmatą – mówi dyrektor BdPN. Będzie też taras widokowy ze stołami. W perspektywie kilku najbliższych lat park planuje

utworzenie na grani kładki i odtworzenie roślinności, która wokół chatki jest zdegradowana. – Chcemy ten teren zrekultywować i najprawdopodobniej rozpoczniemy tam tworzenie kolekcji roślin górskich. Z powodu przesuszania terenu i presji turystyki postępują traworośla, a giną kwieciste połoniny, chcemy trochę tych roślin zachować – mówi dyrektor parku.

Schronisko będzie miało kanalizację i oczyszczalnię ścieków (osad będzie zwożony, oczyszczone ścieki płynne odprowadzane do gruntu) oraz prąd. Pierwsze plany zakładały fotowoltaikę i agregat, ale ostatecznie elektryczność będzie dostarczana przeprowadzonym pod ziemią kablem. Problemem pozostaje woda. Schron wykorzystywał źródło znajdujące się ok. 700 m poniżej chatki i tak też na razie pozostanie. Do celów sanitarnych posłuży z kolei zbierana z połaci dachowej deszczówka. Całość prac będzie kosztować 4 mln 225 tys. zł.

Niedaleko Chatki Puchatka już od jakiegoś czasu stoi drewniana baczówka. Park planował uruchomienie na Połoninie Wetlińskiej wypasu owiec, którego nie było tu od czasu drugiej wojny światowej. Miał zostać uruchomiony przy wsparciu środków unijnych, jednak dotacji ostatecznie nie udało się pozyskać. Na dzierżawę baczówki wraz z kilkoma hektarami połonin ogłoszono już drugi przetarg. Chętni na uruchomienie kulturowego wypasu owiec będą mogli tam sprzedawać wyroby serowarskie.

ZMIANY NA SZLAKACH

W związku z pracami zamknięta jest część żółtego szlaku, a fragment czerwonego ma na Połoninie Wetlińskiej zmieniony przebieg, tak aby turyści omijali plac budowy. Zamkniętym szlakiem zwożone są materiały rozbiórkowe, dostarczane będzie tędy zaopatrzenie budowy. Droga została nieco poszerzona i jest utwardzana miejscowym materiałem naturalnym. W perspektywie jest jednak utwardzenie szlaku na stałe. Czym? – Za najsensowniejsze uważam wybrukowanie fragmentów drogi materiałem piaskowcowym – mówi dr Prędki, zaznaczając, że nadal pozostanie to szlak pieszcy, a zaopatrzenie ma dojeżdżać do schronu i stacji meteo wczesnym rankiem, zanim turyści wyjdą w góry.

Ruch do chatki ma powrócić zimą 2021 r. Nazwa schronu pozostanie ta sama.



Sezon zimowy był ostatnim dla starej Chatki Puchatka. Na wiosnę ruszyła rozbiora. Nowy schron ma zostać otwarty zimą 2021 r. FOT. KRZYSZTOF KAPICA/EAST NEWS

gię. Leonid Teliga, oficer Wojska Polskiego II RP, dziennikarz i pisarz, żeglarz, pierwszy Polak, który samotnie opłynął Ziemię na drewnianym jachcie, napisał w jednym z reportaży: „Czuję się na swojej łajbie zagubionej na bezmiarze oceanu jak ta samotna Chatka Puchatka na Połoninie Wetlińskiej”. Nazwa się przyjęła.

Współczesny wygląd Chatki Puchatka to przede wszystkim dzieło pracy rąk Lutka. Trudno nie docenić harówki w trudnych warunkach, ale trzeba też przyznać, że obiekt od dawna potrzebował czegoś więcej niż dość prowizo-



Agnieszka Niewińska

Szkoła przed komputerem, w wolnym czasie Internet, gry na konsoli i oglądanie seriali. Do tego nieograniczony dostęp do lodówki. Lekarze obawiają się, że po koronawirusie przyjdzie epidemia otyłości

Krótko po tym, jak większość europejskich krajów w związku z epidemią zdecydowała się na wprowadzenie ograniczeń i zamknięcie obywateli w domach, w Internecie zaczął krążyć okolicznościowy mem. Na zdjęciu po lewej stronie jest słynna rzeźba Michała Anioła przedstawiająca biblijnego Dawida o nienagannej sylwetce, wspaniale wymodelowanych przez artystę mięśniach. Po prawej stronie twórca mema zamieścił postać, którą nazwał Covid. To jakby Dawid, tylko z nadwagą – wielkim wystającym brzuchem, potężnymi udami, mocno puczałowatymi policzkami.

KILOGRAMY SZYBKO NIE ZNIKNĄ

Nie wszystkim, którzy widzą tego mema, jest do śmiechu. Pozostanie w domu z powodu pandemii może odbić się zwłaszcza na wadze dzieci i młodzieży, które do popołudnia siedzą przed komputerami, uczestnicząc w lekcjach, a po południu przesiadają się na konsole do gier, chwytają za smartfony czy przed telewizorami śledzą kolejne sezony seriali udostępniane przez platformy streamingowe.

Amerykańscy lekarze na łamach czasopisma naukowego „Obesity” już biją na alarm, że epidemia nasili problem otyłości, a nabyte podczas lockdownu kilogramy szybko nie znikną. Doktor Andrew Rundle z Uniwersytetu Columbia zwrócił uwagę na dotychczasowe badania, z których wynika, że amerykańskie dzieci nabywają dodatkowych kilogramów zwłaszcza wtedy, kiedy szkoły są zamknięte, w czasie wakacji i wcale nie udaje się im ich pozbyć, kiedy wracają na lekcje. – Do kolejnego lata ta waga jeszcze narasta. Kiedy dziecko doświadcza otyłości w młodym wieku, jest zagrożone nadmierną wagą także w wieku średnim – podkreślił dr Rundle.



Wirus nadwagi

Doktor Michał Sutkowski, rzecznik prasowy Kolegium Lekarzy Rodzinnych w Polsce, przyznaje, że nasi lekarze też już myślą o tym, jakie skutki pozostawi po sobie pandemia. – O problemie nadwagi i otyłości rozmawiamy w kategoriach troski o zdrowie publiczne. Pacjentom, którzy się z nami kontaktują – zwłaszcza rodzicom i opiekunom dzieci – zwracamy uwagę na to, by w tym czasie nie rezygnować z aktywności fizycznej. Jest ona ważnym elementem budowania odporności. Choć cukrzyca typu 1 nie bierze się z samej otyłości, to nadmierne kilogramy prowadzą do wielu poważnych problemów zdrowotnych zarówno u dzieci, jak i u dorosłych – podkreśla.

– Po tej pandemii wszyscy będziemy grubszy – mówi Alicja, mama pięcioro dzieci. – Choć nasze dzieci mogą korzystać z ogrodu, trampoliny, a teraz, kiedy już można wychodzić z domu, zabieramy je na wycieczki rowerowe czy spacerować z psami, to i tak strasznie się nudzą. Są pozbawione spotkań z kolegami, wyjść na zajęcia sportowe, place zabaw, w efekcie jedzą z nudów. Pytanie, które słyszę na okrągło, to to, czy w domu jest coś dobrego do jedzenia – opowiada. I dodaje, że zwykle coś dobrego jest, bo córka licealistka wyspecjalizowała się w pieczeniu bez i innych słodkości.

Doktor Katarzyna Wolnicka, kierownik Narodowego Centrum Edukacji Żywnościowej w Narodowym Instytucie Zdrowia



meracji, częściej chłopcy niż dziewczęta. Na Mazowszu nadwagę ma już co trzecie dziecko. Powodem jest zła dieta i brak aktywności fizycznej. Chociaż w ostatnich latach przybyło w szkołach zajęć wychowania fizycznego, to obserwujemy rosnącą liczbę dzieci zwolnionych z zajęć. Problemem jest też duża dostępność żywności wysokoenergetycznej, takiej jak słodczyce, słone przekąski, słodzone napoje. Dzieci stale coś przegryzają, nie mają przerwy w jedzeniu, która pozwoliłaby na obniżenie poziomu glukozy. W efekcie, kiedy podajemy im pełnowartościowy posiłek, nie są nim zainteresowane, bo po prostu nie są głodne – zwraca uwagę dr Katarzyna Wolnicka.

REFERAT Z WF

Lekcje WF w czasach szkoły on-line nie pomagają w tym, by dzieci były aktywne. Można znaleźć nauczycieli, którzy włożyli wiele energii w to, by ćwiczyć z dziećmi przed monitorem lub zmotywować je do samodzielnej aktywności. Nauczycielka wychowania fizycznego z Zespołu Szkół w Józefosławiu zorganizowała nawet bicie rekordu Guinnessa w liczbie uczniów ćwiczących on-line na WF.

Jednak w wielu szkołach WF w dobie pandemii to niestety fikcja. – U nas lekcje są on-line, ale to kolejna godzina wychowawcza. Nie jest obowiązkowa, więc raczej się nie łączy z nauczycielem. Każę nam się relaksować przed monitorem i jest to raczej nudne – opowiada 11-letnia Antonina, która chodzi do jednej z mazowieckich podstawówek. Jej mama dopowiada, że od nauczyciela przyszły plany treningowe, ale poszły w niepamięć. – Jak dzieci wrócą na WF, to dostaną wycisk – dodaje.

– Do moich dzieci e-mailem przychodzą jakieś zadania od nauczyciela WF, zestawy ćwiczeń do wylosowania, ale nikt tego nie egzekwuje. I całe szczęście, bo i tak ledwo dajemy sobie radę z tym, żeby przypilnować lekcje dzieci z innych przedmiotów, wydrukować zadania, zeskanować i porożysłać prace domowe do nauczycieli – opowiada Aleksandra, mama siedmioletki i 11-latka z Warszawy. – Widać, że syn się już zaokrąglił, choć staramy się co weekend wyjść na rower czy spacer. Wrócili już zajęcia na naszym orliku, więc liczę, że szybko zgubi nadmierne kilogramy, zwłaszcza że ciągle rośnie.

W liceach popularną formą WF on-line stały się referaty, bo dają szansę nauczycielowi na ocenienie ucznia. –

Na zaliczenie musiałam napisać pracę o historii olimpizmu – opowiada Marta, uczennica pierwszej klasy jednego z warszawskich liceów. Jej rówieśniczka, Maria, też już wysłała kilka prac pisemnych do nauczyciela WF. – Dostajemy tematy do wyboru. Trzeba było np. napisać o tym, co to jest tętno, jak się je mierzy, sprawdzić swoje tętno spoczynkowe i po wysiłku. Czasem proszeni jesteśmy o zrobienie zdjęcia, jak ćwiczymy. Wystarczy być w stroju sportowym. Prawdę mówiąc, większości prac zadawanych przez nauczyciela WF nie rozumiem, są dziwnie sformułowane – opowiada.

Doktor Michał Sutkowski podkreśla, że w sytuacji, w której się znaleźliśmy, kondycja dzieci zależy od tego, jak do sprawy podejść dorośli. – Pacjentów nie tylko zachęcamy do ćwiczeń z dziećmi, lecz także podajemy przykłady konkretnych aktywności. Wszyscy już mamy dość lockdownu, więc jeśli zaproponujemy dzieciom wycieczkę rowerową, to chętnie na nią przystaną. W promowaniu aktywności fizycznej w tym czasie ważna jest też rola mediów – zachęcanie do ruchu, podpowiadanie konkretnych aktywności – wylicza rzecznik Kolegium Lekarzy Rodzinnych w Polsce.

GODZINA ĆWICZEŃ TO MINIMUM

Doktor Katarzyna Wolnicka też radzi, by teraz, kiedy wiele obostrzeń zostało zniesionych, spędzać z dziećmi czas na świeżym powietrzu. – Zachęcam do najprostszych aktywności, takich jak spacer czy jazda na rowerze. Dzieci potrzebują co najmniej godziny aktywności dziennie. Każda okazja ku temu jest dobra. Zamiast wjeżdżać windą, idźmy schodami. Wsiądźmy z autobusu przystanek wcześniej i przejdźmy się. W Internecie mamy dostęp do treningów, zabaw ruchowych. Wykorzystajmy je, będąc w domu, ćwicząc czy tańcząc z dziećmi. One patrzą, jak zachowują się dorośli, naśladują ich – podkreśla ekspertka Narodowego Centrum Edukacji Żywnościowej.

Czas pandemii można też wykorzystać na zmianę nawyków żywieniowych. Narodowe Centrum Edukacji Żywnościowej na swojej stronie internetowej www.ncez.pl udostępnia porady żywieniowe. Do pobrania jest też 100 poradników dla dzieci i młodzieży w wieku szkolnym. Można również skorzystać z porad dietetyka on-line.

Publicznego – Państwowym Zakładzie Higieny, nie mam wątpliwości, że w czasie pandemii zmniejszyła się aktywność fizyczna dzieci i młodzieży ze względu na izolację, zakaz wychodzenia z domu obowiązujący przez kilka tygodni, zamknięte szkoły, place zabaw, obiekty sportowe. – Przebywając w domu, mamy stały dostęp do żywności, przekąsek. W takiej sytuacji sięgamy po jedzenie nie tyle z głodu, ile emocjonalnie. To może doprowadzić do powstawania nadmiernych kilogramów – mówi dr Wolnicka. Zwraca uwagę, że w ostatnich latach w Polsce dynamicznie wzrastał odsetek dzieci i młodzieży z nadwagą i otyłością.

Z przeprowadzonych badań wynika, że w Polsce problem nadwagi i otyłości dotyczy już ok. 10 proc. małych dzieci w wieku 1–3 lata (badanie PINTUS z 2016 r.). Nadwagę i otyłość ma już co trzeci ośmiolatek (badanie COSI, 2016 r.). Wstępne wyniki badania zachowań zdrowotnych młodzieży w wieku 11–15 lat (międzynarodowe badanie HBSC z 2018 r.) wskazują z kolei, że nadmierna masa ciała występuje w Polsce u 29,7 proc. chłopców i 14,3 proc. dziewcząt. To więcej o kilka procent niż w badaniu z poprzedniej edycji przeprowadzonym w 2014 r.

– Nieprawidłową masę ciała mają zwłaszcza dzieci i młodzież z dużych aglo-



Piotr Gociek

**Okulawia nas kultura, którą
wykreowaliśmy – przestrzega
Rushdie w powieści „Quichotte”.
Na jej kartach nasza cywilizacja
pęka pod ciężarem tandetnej fikcji**

Jeśli dyskutować o nowej książce Salmana Rushdiego w kategoriach opowieści, to dostajemy ich kilka, w dodatku komentujących się nawzajem. Ciekawiej jest dyskutować w kategorii metody – twórczej oraz rozpoznania rzeczywistości. Zwłaszcza że w pewnej chwili autor sam objaśnia: „Powstające w obecnych czasach dzieło może, ma do tego prawo, głosić, że okulawia nas kultura, którą wykreowaliśmy, przede wszystkim jej najbardziej popularne formy”.

Powieść „Quichotte” niesie i takie przesłanie, ale będąc oskarżeniem kultury popularnej, jest zarazem z niej utkana, przez co zamienia się w jej obronę – co nie jest ostatnim z paradoksów tej wymienienie napisanej książki, której językowa maestria zaślania to, że w gruncie rzeczy to historia dość prosta.

Żeby do tego prostego i oczywistego sedna dotrzeć, musimy najpierw zedrzyć kilka zasłon. Czytelnik zaczyna swą podróż wraz z osobnikiem zwącym się Ismail Smile, który postanawia jednak przybrać miano Quichotte’a. Rushdie nie kryje inspiracji, partie, w których wprowadza na scenę bohatera, to pastisz Cervantesa, a cała książka jest wielką wariacją na temat „Don Kichota”. Ismail Smile, indyjski dżentelmen w wieku zaawansowanym, jest podrzędnym komiwojażerem zarabiającym na życie z łaski bogatego krewnego.

Tak jak w przypadku oryginalnego Don Kichota ucieczką od nudnego zwykłego świata były romanse rycerskie, tak dla Ismaila/Quichotte’a jest to telewizja. „Raczył się nią w nadmiarze, skutkiem czego doznał specyficznej formy upośledzenia mózgu” – informuje Rushdie, objaśniając zaraz naturę choroby: „granica między prawdą a kłamstwem staje się rozmyta i niewyraźna, toteż niekiedy nie potrafił odróżnić jednego od drugiego, rzeczywistości od »rzeczywistości«”. Ismail „zaczął postrzegać siebie jako naturalnego obywatela

Labirynt Salmana



FOT. GILBERT CARRASQUILLO/GETTY IMAGES

tela (i potencjalnego mieszkańca) owego fikcyjnego świata za ekranem”. Konsekwencją tegoż było z kolei przekonanie, że kobietą jego życia jest medialna gwiazdka Salma R (tak nowy Don Kichot dostaje swą Dulcyneę), której przeznaczeniem jest zostać jego żoną, on jednak pierwszej musi na to zasłużyć, porzuca więc dom i wyrusza w podróż, by stać się lepszym człowiekiem.

Pomiędzy rozdziałami poświęconymi jego odysei dowiadujemy się jednak, że wszystko to tylko fikcja literacka. Ismail (i jego wymagany syn Sancho, który po prostu objawił się na siedzeniu jego samochodu „w postaci czarno-białej, jego naturalne kolory zostały przygaszone zgodnie z modą panującą we współczesnej kinematografii”) to bohater książki pisanej przez Sama DuChampa, który na co dzień specjalizuje się w umiarkowanie oryginalnej i poczytnej fikcji szpiegowskiej, a tym razem wymyśla książkę szaloną. Uwaga! Następny paradoks: orgia popkulturowych celuloidowych i cyfrowych kłamstw, zwidów, fikcyjnych postaci, stereotypów fabularnych itp. to forma, którą DuChamp wybrał (wybrała mu się?), by... dociekać prawdy o życiu, gdyż świat oszustw szpiegowskich wielce go zmęczył.

ALTER EGO RUSHDIEGO

Mamy jednak jeszcze jedną warstwę fikcji, bo jedną i drugą opowieść komentuje od czasu do czasu wszechwiedzący narrator. Czy tak objawia się już autor, czyli sam Rushdie? I tak, i nie, rzekłbym, że to alter ego Rushdiego oddelegowane do tej roli, autor właściwy to tymczasem i właściwy, drugi, prawdziwy („prawdziwy”?) Rushdie pozostający już poza ramami książki. Mamy tu więc trzy poziomy fikcji, nie wspominając o tym, że wewnątrz nich mnożą się niezliczone fikcje popkulturowych produktów, z których wszystkie te historie są uszyte. Odwołanie do Cervantesa, „Don Kichota” i tradycji pikarejskiej staje się czymś więcej niż materiałem do skonstruowania losów bohaterów, staje się objaśnieniem, bo, jak czytamy, „poszczególne epizody takiego dzieła mogą reprezentować wiele stylów, wysoki i niski, fabulistyczny i realistyczny, że może być ono jednocześnie parodystyczne i oryginalne, ażeby poprzez metamorficzne hultajstwo zademonstrować i próbować ukazać różnorodność ludzkiej egzystencji”. Tak rzeczy Rushdie ustami jednej ze swych kreacji.

Skoro tak, to w owym uniwersum wszystko jest możliwe i akcja gna naprzód spinana rozmaitymi konceptami zaczerp-

niętymi ze świata popkulturowych fikcji oraz – jak czytelnicy zobaczą – staje się coraz bardziej niewiarygodna oraz szalona, bo Rushdie w wybranej dla „Quichotte’a” metodzie jest konsekwentny do bólu, do finału wyjętego już wprost z powiastek science fiction (finału, który zresztą przypominał mi motto użyte przez Janusza Zajdla w powieści „Limes inferior” – „na szukanie lepszego świata nigdy nie jest za późno”).

Kiedy jednak rozsuniemy już wszystkie zastłony i przejrzymy na wylot wszelkie fabularne sztuczki, docieramy do potrójnego sedna nowej powieści Rushdiego. Najlepsza jest tam, gdzie zbliżamy się do kłopotów trapiących dusze bohaterów. Relacja ojciec-syn jest tu najważniejsza – zaraz obok tęsknoty za miłością niemożliwą. Jest to również przypowieść o wpływie, jaki na życie człowieka ma niepowstrzymana inwazja tandetnej fikcji, czyli o „pogłębiającej się dehumanizacji człowieka, o tym, że my, jako gatunek, a przynajmniej niektórzy z nas, tracimy być może wewnętrzny kompas moralny i stajemy się jednocześnie stworzeniami z barbarzyńskiej, przedczłowieczej, długozębnej przeszłości oraz potworami nawiedzającymi ludzką teraźniejszość”. Ludzkość wyprodukowała tak wielkie pokłady fikcji, że pod jej ciężarem sama zaczyna się uginać, zmieniać, pękać, gubić. To, co wymyślone dla zabawy, staje się naraz światem realnym, w którym „wszystko jest możliwe”, ale jednocześnie nic nie jest możliwe, nic nie jest prawdziwym rozwiązaniem prawdziwych problemów, bo to fikcja właśnie.

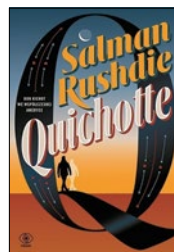
Zarazem Rushdie wraca do swoich ulubionych tematów: samotności przybysza w obcym świecie, niepokoju imigranta, który dawną ojczyznę bezpowrotnie utracił, a nowej znaleźć nie może. Jest więc ofiarą dwóch fikcji – tęsknoty za tym, co było kiedyś (tamten świat już nie istnieje, więc jest wymagany), i poszukiwania tego, co teraz i co miało być lepsze, spokojnej przystani i lepszej przyszłości (która także okazuje się imaginacją).

PASTISZ POPKULTURY

Tak długo, jak Rushdie snuje te rozważania na poziomie szerszym, losu człowieka, po prostu są one zajmujące i wzruszające. Tam, gdzie próbuje przejść do konkretnego, robią się mniej cieka-

we i papierowe. Wysłał bowiem swego Don Kichota w wędrowkę przez Amerykę Donalda Trumpa, a Ameryka owa jest krainą, w której rządzą „głupota, niewiedza i nietolerancja”. Rushdie napisał więc książkę modną, zgodną z przekonaniem swoich liberalnych, wysoce wykształconych i zaczytanych w „The New York Times” czytelników. I tam, gdzie serwuje nam komentarz polityczny, robi się najmniej wiarygodny, bo diagnoza nie wykracza poza rytualne joiczenie o „tamtych”, którzy zabrali „naszą” Amerykę. „Quichotte” to także książka modna, bo wykorzystująca modny schemat współczesnego postmodernizmu, literatury wyczerpania – gdy oryginalnych fabuł i konceptów brak, dalejże tworzyć wariacje na temat klasyki literatury, pastisze, retellingi itd. Tym razem padło na Cervantesa, ojca współczesnej powieści, ale mogło na Flauberta, na Diderota, na Dickensa.

Salman Rushdie jest pisarzem wybitnym, lecz swoje najlepsze książki stworzył jeszcze w poprzednim stuleciu. Do jego arcydzieł zaliczyłbym przede wszystkim powieści: „Dzieci północy”, „Wstyd” oraz „Ziemia pod jej stopami”. Najśłynniejsza, czyli „Szatańskie wersele”, za którą pisarz obłożony był fatwą przez ajatollaha Chomeiniego, z coraz większym trudem przechodzi próbę czasu. Jego ostatnie dokonania to wciąż książki doskonale napisane, bo jest jednym z największych żyjących stylistów języka angielskiego i prawdziwym czarodziejem opowieści, ale nie mają już w sobie żaru, oryginalności ani intensywności tamtych dokonań. Zaczynałem lekturę „Quichotte’a” z wielką przyjemnością, bo gdy siadam do książek Rushdiego, zawsze słyszę w głowie melodie, którymi są napisane. Kończyłem, zastanawiając się mocno nad wybraną przez autora metodą: pastiszem popkultury i wejściem do świata zwielokrotnionych fikcji jako jedyne sposoby zdolnego oddać pomieszanie współczesnego świata. Dotknęła mnie bowiem wątpliwość, czy swoim kolorowym, ekstrawaganckim labiryntem Rushdie ten świat rzeczywiście objaśnia, czy może tylko powiększa jego chaos kolejnym fajerwerkim. A może jest jeszcze inaczej, może przypomina nam, że bez tego, co wymagane, to, co realne, jest niepełne. Dlatego tak ważne jest to, co i jak sobie imaginujemy.



★★★★★
SALMAN RUSHDIE
„QUICHOTTE”
REBIS 2020

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



„Księżniczka Mononoke” to opowieść o katastrofie cywilizacji – skomplikowany dramat o problemie koegzystencji ludzi i zwierząt FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Maria Kądzilska

Na Netflixie pojawiły się produkcje legendarnego studia Ghibli. Ten, kto jeszcze nie posmakował mistrzostwa Hayao Miyazakiego, powinien to zrobić

Bajki mamy oglądać? – może zapytać część czytelników. Tak, bajki, bo to małe dzieła sztuki, będące dumą japońskiej kinematografii. Docenione na całym świecie, z oscarowymi produkcjami, a Hayao Miyazaki to wzór mistrzostwa reżyserii.

Studio Ghibli – którego produkcje systematycznie trafiają właśnie do serwisu streamingowego – istnieje od 1985 r. Założyli je reżyserzy Hayao Miyazaki i Isao Takahata oraz producent Toshio Suzuki. Nazwa – Ghibli – nawiązuje do arabskiego słowa „sirocco”, oznaczającego wiatr

Historia z pięknej kreski

ze Wschodu. Zdaniem twórców ten wiatr miał stanowić metaforę zmian, które zajądą za ich sprawą w filmie animowanym. To się z pewnością udało. Dwadzieścia trzy produkcje na zawsze zmieniły obraz japońskiego anime i z rozrywki wyniosły go do miana dzieła sztuki. Obecnie studio dysponuje majątkiem ponad 154 mln dol., choć ich ostatni film „Czerwony żółw” powstał w 2016 r.

Jeśli ktoś nigdy wcześniej nie miał kontaktu z anime lub oceniał je jedynie przez pryzmat kreskówek dla dzieci, to dobrze, by zaczął od niepodważalnej wisienki na torcie – „Spirited Away: W krainie bogów”. Przechodząc przez tajemniczą bramę, Chihiro wraz z rodzicami trafia do krainy duchów. Tam, na wielkiej pagodzie, w tradycyjnej japońskiej łaźni, prowadzonej przez wiedźmę, przychodzą bogowie na chwilę relaksu. Rodzice głównej bohaterki w wyniku obżarstwa zostają zamienieni w świnię, a ona zmuszona do pracy w łaźni traci swoje prawdziwe imię. To wielki hołd Hayao Miyazakiego złożony japońskim wierzeniom oraz tradycji, ale też opowieść o odwadze, miłości i sile przyjaźni. Produkcja osiągnęła komercyjny sukces, zwłaszcza w Japonii, gdzie stała się najczęściej oglądanym filmem w kinach wszech czasów, zarabiając 30,8 mld jenów. Została również nagrodzona Złotym Niedźwiedziem, Oscarem, nagrodą Annie oraz Saturnem. Jury ostatnich dwóch nagród doceniło wybitne kompozycje muzyczne autorstwa Joe Hisaishiego. Ten pianista i kompozytor jest bliżej znany polskiemu czytelnikowi z uwagi na swoją częstą obecność na Festiwalu Muzyki Filmowej w Krakowie. Stworzył ścieżkę dźwiękową m.in. do trzech największych produkcji studia: wspomnianego „Spirited Away”, „Księżniczka Mononoke” oraz „Ruchomego zamku Hauru”. Walc skomponowany do ostatniego z nich trafił na listę najczęściej wykonywanych utworów tego gatunku i jest grany m.in. przez Wiedeńską Orkiestrę Symfoniczną obok utworów Straussa czy Szostakowicza.

MITOLOGIA

Nie bez przyczyny Hisaishi wplótł rytm walca w główny temat muzyczny z „Ruchomym Zamku hauru”, który z pewnością jest najbardziej romantyczną z produkcji studia Ghibli. Oparty na powieści brytyjskiej autorki Diany Wynne Jones, ukazuje królestwo ogarnięte wojną przez pryzmat historii młodej dziewczyny

szyjącej kapelusze. W wyniku zazdrości zostaje ona zamieniona w starszą kobietę. Klątwę może cofnąć jedynie czarnoksiężnik z ruchomego zamku, który jednak oddał swoje serce demonowi.

To historia, w której przeplatają się realia wojenne, racja stanu z przyjaźnią, odwagą i miłością. Każdy detal tych wybitnych rysunków okazuje się ważny: od bombowców w pierwszej scenie udających ptaki do zmieniającego się wieku głównej bohaterki wraz z budzącą się w niej odwagą. To chyba najbardziej „zachodnie” ze wszystkich dzieł japońskiego studia, dlatego dla nas najłatwiejsze w odbiorze.

Adekwatnym na czasy zarazy filmem jest „Księżniczka Mononoke”, ukazująca katastrofę cywilizacji. Akcja dzieła rozgrywa się w Japonii w okresie Muromachi, który przypada na lata 1336–1537. W mitologii japońskiej termin „mononoke” odnosi się do szerokiej grupy istot, takich jak duchy leśne, zjawy, widma i demony. Historia ukazuje konflikt między takimi strażnikami lasu a ludźmi niszczącymi przyrodę. Przy czym wszyscy, którzy spodziewają się prostego podziału na dobrych i złych, zostają zaskoczeni. To nie propagandowa historia o złych ludziach i dobrych zwierzętach, ale skomplikowany dramat o problemie koegzystencji, w którym nienawiść i chęć zemsty zaślepią obydwie strony. Film został stworzony w 1997 r., ale pozostaje aktualny do dziś, kiedy jeszcze częściej zadajemy sobie pytanie, jak rozwój technologiczny pogodzić z ochroną natury. W końcu nikt z nas nie chce żyć w betonowych dżunglach.

WOJNA W ANIMACJI

Największym wyciskaczem łez proponowanym przez japońskich mistrzów jest „Grobowiec świetlików” w reżyserii Isao Takahata. To portret drugiej wojny światowej widzianej oczami 14-letniego chłopaka, opiekującego się młodszą siostrą. Podczas nalotu na Kobe starają się dostać do schronu przeciwlotniczego, w którym już znajduje się ich matka. Schron zostaje jednak zbombardowany, a kobieta ciężko ranna. Rodzeństwo traktowane przez ciotkę jak piąte koło w wozu postanawia zamieszkać w niewielkim bunkrze niedaleko miasta. Oboje muszą się zmagać z horrorem wojny, ze śmiercią, z chorobami i głodem, a jedynym promieniem radości w rozpadającym się świecie są świetliki, które

dziewczynka zbiera do opakowania po cukierkach. Historyk animacji, Ernest Rister, porównuje „Grobowiec świetlików” do „Listy Schindlera” Stevena Spielberga, dodając, że jest to najbardziej ludzka animacja, którą kiedykolwiek widział. Z pewnością dziewczynkę z getta w czerwonym płaszczu łączą z czteroletnią Setsuko kruchosć i bezsilność w obliczu wojny. To również arcydzieło rysunku i muzyki, które umiejętnie połączone tworzą artystyczny przekaz, który wzrusza nawet największych twardzieli.

SILA PRZYJAŹNI

Na stałe w logo studia Ghibli wpisał się przyjazny miś Totoro, niespodziewanie zyskując ogromną popularność na całym świecie. „Mój sąsiad Totoro” to najzabawniejsza i najcieplejsza z opowieści japońskiej wytwórni.

Dwie siostry Mei i Satsuki wraz z ojcem przeprowadzają się do domu w lesie, aby być bliżej matki leżącej w szpitalu. Nudę codziennych obowiązków zaczyna rozjaśniać im przyjaźń z grubymi miśkami. Totoro to leśne duchy, które żyją w wielkich drzewach kamforowych. Mogą stać się niewidzialne, szybko się uczą, kochają muzykę i choć czasem się złością, są dokuczliwe, to cechują ich dobre maniere. Zostały one wymyślone przez Miyazakiego, ale zawierają w sobie elementy z folkloru różnych krajów. Film stanowi częściowo biografię samego reżysera, który też wychowywał się tylko z ojcem, podczas gdy jego matka walczyła z chorobą. „Mój sąsiad Totoro” to wiwisekcja różnych ludzkich postaw oraz pochwała ciężkiej pracy i uczciwości, w której niespodziewanie można dostrzec magiczną siłę.

Animacje studia Ghibli, w szczególności w reżyserii Miyazakiego, stanowią z pewnością moralitety. Często to historie dzieci, które muszą zmagać się z niespodziewanymi trudnościami losu. Świat, który otacza bohaterów, nie jest bezpieczny, jednak przyjaźń, często odnaleziona w zupełnie niespodziewanych miejscach, zmienia ich życie.

Dostępność tych filmów na platformie Netflixu to wspaniała okazja do wspólnego spędzenia czasu z rodziną. W zderzeniu z japońską obcością kulturą można odnaleźć uczucia, postawy i prawdy, które są wspólne nam wszystkim, a o których muszą nam przypominać artyści z drugiego końca świata.



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEĆ

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Zaginiony wirtuoz



★★★★★

REŻ. FRANÇOIS GIRARD

„PIEŚŃ IMION” („THE SONG OF NAMES”)

KANADA/WIELKA Brytania 2019, CINEMAX

wyst. Tim Roth, Clive Owen, Jonah Hauer-King

W dniu, który ma być początkiem jego światowej kariery, młody wirtuoz skrzypiec znika bez śladu. Za kulisami czeka i szaleje z niepokoju jego przybrana rodzina. Wreszcie koncert zostaje odwołany. Wiele lat później Martin (Tim Roth) trafia na ślad zaginionego Dovidla. Szlak poszukiwań wiedzie z Anglii do komunistycznej jeszcze Polski (lata 80.), a potem dużo dalej, choć w zupełnie innym kierunku.

Równoległe ze współczesnymi poszukiwaniami Martina poznajemy przeszłość skrzypka, cofając się aż do ostatnich lat przed drugą wojną światową. Wtedy to ten niesłychanie utalentowany chłopiec,

polski Żyd z Warszawy, przywieziony został przez ojca do Londynu. Skalę talentu potwierdzono, przyszłość zapowiadała się świetnie, ale rodziny Dovidla nie było stać na finansowanie nauki syna za granicą. Z pomocą przyszedł ojciec Martina, który przyjął przybysza pod swój dach. Chłopcy z początku do zgody dojść nie umieli, jednak w miarę upływu lat poszerzona rodzina okrzepła. Tymczasem świat pogrążał się w chaosie. Niemcy napadły na Polskę, potem zaczęły się bombardowania Anglii. Dovidl stracił kontakt z rodziną, potem dowiedział się, że jego bliscy trafili do Trebinki.

„Pieśń imion” (ekranizacja powieści Normana Lebrechta

wydanej w Polsce w 2012 r.) jest zatem spojrzeniem na dramat Holokaustu oczami tego, który ocalał i którego prześladowają z tego powodu wyrzuty sumienia. Dovidl wadzi się z Bogiem, szarpie się sam ze sobą, historia jego zagubienia (i odnalezienia – lecz zobaczcie sami, w jak nietypowy sposób) jest traktatem i o religii, i o sztuce, i o pamięci. Przesłanie całości okazuje się skrajnie niemożliwe w dzisiejszych czasach relatywizmu i ateizmu, tym mocniej więc wybrzmiewa z ekranu. Sztuka bez religii to tylko sztuczki, artysta bez Boga to jedynie wyniosły, bezczelny kuglarz, sztuka i religia zaś pospołu wiodą ku pojednaniu, odkupieniu i wyzwoleniu. Znakomitą kreację dorosłego Dovidla tworzy Clive Owen – zapewniam, że takim go jeszcze nie widzieliście. Wątek polski potraktowany został z wielkim taktem. Scenarzyści nie ulegają modzie na rytualne potępienie rzekomego polskiego współsprawstwa Zagłady, zgodnie z prawdą przypominają, że była to zbrodnia dokonana na polskiej ziemi przez Niemców. ©©

CINEMAX



NOWE SERIALE: „TROPICIELE”

Hit telewizyjny M-Net (południowoafrykański potentat rynku premium TV) trafia do Polski opłotkami, bo przez kanał Cinemax, mniej popularny od stacji matki, czyli HBO. A warto zwrócić na niego uwagę, bo to stworzona przez samego autora ekranizacja powieści świetnego twórcy kryminałów Deona Meyera (wy-

wiad z nim zamieściliśmy w „Do Rzeczy” 45/2015). „Tropicele” to ekranizacja powieści o ochroniarzu Lemmerze, który pojawił się po raz pierwszy w wydanym i w Polsce „Krwawym safari”. Szmuglerzy diamentów, wojna z terrorem, handlarze dzikimi zwierzętami, CIA i mafia – dzieje się! ©©

CINEMAX

Piotr Gocieć

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- reż. David Lynch „Dzikość serca” („Wild at Heart”), USA 1990, klasyka kina, Netflix
- sezon 1 „Snowpiercer”, USA 2020, science fiction, Netflix
- „Mogę cię zniszczyć” („I May Destroy You”), dramat obyczajowy, USA 2020, HBO

Ujarzmić niedźwiedzia



Zachodni filmowcy znów składają hołd carycy Katarzynie II, ale Rosjanom serial „Wielka” raczej nie przypadnie do gustu. Zostali w nim bowiem pokazani jako stado zamroczonych wódką prostaków i sadomasochistów, wznoszących przy każdej okazji okrzyk: „Hura!”. Z początkowych napisów dowiadujemy się, że fabuła jest „miejscami prawdziwa”. Rzeczywiście, Australijczyk Tony McNamara fakty historyczne potraktował z bezczelną dezynwolturą. Pierwszy odcinek powinien nosić tytuł: „Jak hartowała się stal”, gdyż 16-letnia szwajcarska dziewczynka, zanim sięgnie po koronę, musi znieść ciąg upokorzeń. Głowę ma nabić marzeniami o zmieniającym świat na lepsze

i wielkiej, odwzajemnionej miłości. Niestety, małżonek okazuje się psychopatą. Dwór w Petersburgu hołduje paryskiej modzie, lecz trudno jest dyskutować o ideałach oświecenia ogarniających Europę z analfabetami. „Kobiety są do zapładniania, nie do czytania” – wyrokuje car-anty-feminista, wspierany przez fanatyków z prawosławnej Cerkwi. Wiadomo, że niedźwiedź – symbol silnej oraz bezrozumnej Rosji – zostanie w końcu okiełznany i będzie tańczył, jak mu ambitna Niemka zagra, ale i tak „Wielką” ogląda się z ukontentowaniem. Brawa dla duetu Elle Fanning, Nicholas Hoult. Boomerzy z Hollywood, uważajcie – oni idą po was! © ©

Wiesław Chełmniak



★★★★★
REŻ. TONY MCNAMARA
„WIELKA”
(„THE GREAT”)
USA 2010

wyst. Elle Fanning,
Nicholas Hoult,
Phoebe Fox



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PERFEKCYJNA PIASTUNKA

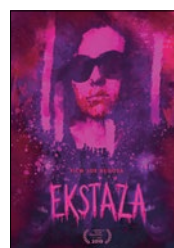


★★★★★
REŻ. LUCIE BORLETEAU
„KOŁYSANKA”
(„CHANSON DOUCE”)
FRANCJA 2019,
BEST FILM

wyst. Karin Viard, Leïla Bekhti, Antoine Reinartz

Młodym rodzicom ku przestrodze. Myriam i Paul, sprawiwszy sobie dwoje dzieci, ze zgrozą odkrywają, że ich życie stało na głowie. Chciałoby się robić karierę w wymarzonej branży, zaszaleć w gronie przyjaciół, a tu trzeba zmieniać pieluchy i babrać się w piaskownicy. Babcia mieszka daleko, w żłobku brak miejsc. Ale od czegoś są nianie? Casting na idealną opiekunkę wygrywa Louise, niewiarygodnie gorliwa i akuratna. Szkraby ją uwielbiają. Przychodzi do pracy przed świtem, wychodzi, gdy jest już ciemno. Staje się częścią rodziny, Myriam i Paul zabierają ją na wakacje do Hiszpanii. Nie widzą, że Louise jest psychicznie rozchwiana i zajmowanie się cudzymi dziećmi nadaje sens jej smutnemu życiu. Filmy o piastunkach – bombach zegarowych – często grzeszą efekciarstwem. „Kołysanka” ominęła tę rafę m.in. dlatego, że jest ekranizacją, wydanej także u nas, zgrabnej powieści. Kto pamięta Karin Viard z „Delicatessen”, ten trochę się zdziwi.

DIABEŁ NA HAJU



★★★★★
REŻ. JOE BEGOS
„EKSTAZA”
(„BLISS”)
USA 2019,
KINO ŚWIAT

wyst. Dora Madison, Tru Collins, Rhys Wakefield

Van Gogh chlął absynt, Basquiat był fanem heroiny, Witkacy znudzony morfiną zaczął eksperymentować z pejotlem. O roli używek w procesie twórczym można napisać książkę (niejedna już powstała). Joe Begos popełnił horror o artystce, która szukając natchnienia, szła się po melinach i nocnych klubach, gdzie wlewa w siebie oraz wciąga nosem, co popadnie, nie stroniąc od wyuzdanego seksu. Nawet amatorom stroboskopu, ciężkiego rocka i plugawego języka „Ekstaza” może się wydać monotonna. Reżyser koncentruje się bowiem na formie. Treść sprowadza się do mnożenia satanistycznych aluzji. Bohaterka paraduje w koszulce z napisem „Death”, zażywa „Diablo”, po czym spotyka faceta nazwiskiem Dante. Jej pracownię zdobiją trupa czaszka i odwrócony krzyż. Doceniam poświęcenie Dory Madison, ale chcąc zniechęcić młodzież do substancji, które ryją beret, nie trzeba kręcić 80-minutowego teledysku. © © **recenzuje Wiesław Chełmniak**

GRA TYGODNIA: „CRUCIBLE”

W czasach, w których branża gier komputerowych wykracza budżetami poza sport i kinematografię, największe firmy świata otwierają oddziały, mające przynosić zyski również na tym rynku. „Crucible”, dzieło amerykańskiego Amazona, to w pewnym sensie idealny produkt marketingowy, który

zbiera w jednym miejscu wszystkie cechy popularnych sieciowych strzelanek i gier RPG. Komiksową grafikę rodem z „Overwatcha”, ulepszenie bohatera niczym w „LoL-u”, świat obcej planety i jej monstrów rodem z „Anthem” oraz klimat rywalizacji jak we „Fortnite”. W efekcie powstaje dobry, ale wtórny



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

produkt. Na tyle bezpieczny, aby na inwestycji nie stracić. © ©

Marcin Makowski

- **Gatunek:** TPP/Akcja
- **Platforma:** PC
- **Producent, dystrybutor:** Amazon Game Studios/Amazon
- **Klasyfikacja PEGI:** 12+

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Skrzydła Dedala

Jeśli można było mieć wątpliwości, po co powołany został Instytut Literatury pod światłym przewodnictwem Józefa Ryszara (ukłony!), to sytuacja się wyjaśniła. Otóż, placówka ta powstała choćby po to, by przypomnieć teksty Andrzeja Kijowskiego, jeżeli nie najwybitniejszego, to jednego z najznakomitszych powojennych krytyków. Właśnie ukazał się dwutomowy wybór z twórczości krytycznej autora „Krypty świętego Leonarda”, dokonany przez jego syna Andrzeja Tadeusza Kijowskiego; wybór wzbogacony przez Martę Kwaśnicką wnikliwym omówieniem życia i dzieła „Dedala”, bo takim pseudonimem podpisywał Andrzej Kijowski swoje kroniki w iwaszkiewiczowskiej „Twórczości”.

Dokładnie 60 lat temu w „Przeglądzie Kulturalnym” (było takie pismo, było) Kijowski skomentował: „Pokolenie za pokoleniem przechodzi w stan starości z przeświadczeniem, że nie wypowiadało się do końca, że starość jego nastąpiła zbyt wcześnie, a następcy dojrżeli przed czasem i niezasłużenie. Wobec tego ujmują w ręce los młodzieży, czynią się za nią odpowiedzialni w tym właśnie momencie, kiedy winni zdawać rachunek z tego, co sami działali. Od wieku młodzież jest uprzywilejowanym bohaterem polskiej literatury i nie jest to ani przypadek, ani zła dystrybucja tematów, ale stała zasada: od wieku dorośli Polacy nie lubią sobie nawzajem patrzeć w oczy i mówić sobie: tacy to jesteśmy, tacy przeminiemy. [...] W naszej literaturze jest się młodym pisarzem aż do pięćdziesiątki, potem jest się oldboyem. [...] Kto napisze wreszcie dorosłą książkę o dorosłych ludziach?”

Oczywiście Kijowski wołał na puszczy, tyle że w porównaniu z latami współcześnie nam danymi tamten czas wspominać



FOT. DANUTA B. KONARZEWSKA/FEST NEWS

wypada ze łzą w oku, ponieważ literatura była wtedy ważna, a nie stanowiła najmniej znaczącej części popkultury. Tak czy inaczej, „Dedal” domagał się literatury dla dorosłych, a nie dla główniarczy. Tu przypomina się jego głośny tekst w „Twórczości”, w którym tak podsumował pisarstwo Leopolda Tyrmanda, dziś uchodzącego za największy literacki autorytet, opokę antykomunizmu, proroka i lichowiego kogo jeszcze, ale pewnie się dowiemy, bo mamy uroczyste przez Sejm ogłoszone rok autora „Filipa”. A Kijowski, zbulwersowany zapewne dokonaniem przez Kisiela porównaniem Tyrmanda do Balzaka, tak zrecenzował tę właśnie powieść (okazuje się, że nie chodziło o „Złego”, a byłem o tym przekonany, podobnie jak syn pisarza, który też podążył tym samym tropem): „Bohater Tyrmanda ma duszę, tyle że jest to infantylna dusza żygolaka. Bohater Tyrmanda ma bogate życie wewnętrzne, tylko materia tego życia jest owo wielkie g..., w którym tkwi. Tyrmand stawia przed swoim bohaterem problemy do rozstrzygnięcia, tyle że są

to problemy główniarskie. [...] Tyrmand tworzy język literacki wyrostków. Jest ich Kochanowskim, jest ich Balzakiem. [...] Jest naprawdę wielkim pisarzem. Dla główniarczy”.

Że to niesprawiedliwa ocena? Być może, na pewno nie została napisana w odpowiednim czasie, autor „Złego” mógł ją bowiem odebrać (i odebrał) jako część kampanii wymierzonej przeciw niemu. Ale Andrzej Kijowski po trzykroć miał rację, domagając się od innych, a od siebie przede wszystkim, a kiedy trzeba, chlastał biczem krytyki. A – pożyczę to określenie od „Dedalogowego” syna – zabijał z uśmiechem, jak nikt. Co nie znaczy, że nie zdarzało mu się nachwalić pisarza, nawet ponad jego miarę, że wspomnę tylko nazwanie przez niego Marka Hłaski „Głosem pokolenia” i poświęcenie mu w „Twórczości” panegirycznego szkicu.

Od 1968 r. zajmował zdecydowanie opozycyjne stanowisko wobec władzy. Podpisywał listy protestacyjne, publikował w drugim obiegu, współtworzył Polskie Porozumienie Niepodległościowe, 13 grudnia 1981 r. został internowany. Nie był jednak żadnym antykomunistycznym monolitem; w latach młodzieńczych zdarzyło mu się złożyć podpis pod haniebnym listem potępiającym księży krakowskich (razem, przypomnę, z m.in. Szymborską i Mroźkiem).

Jako krytyk, eseista i felietonista miewał przebliski geniuszu, ale pisał też znakomite scenariusze filmowe (m.in. do „Wesela” i „Dyrygenta” Wajdy), interesujące opowiadania i powieści („Dziecko przez ptaka przyniesione”), prowadził miejscami arcyciekawą „Dziennik”. Zmarł w 1985 r. w wieku 57 lat. Literatury polskiej nie stać na to, by zapomnieć o nim. Publikacja Instytutu ukazała się w samą porę. ©©



★★★★★

ANDRZEJ
KIJOWSKI
„DZIEJE
LITERATURY
POZBAWIONEJ
SANKCJI, T. 1-2”
INSTYTUT
LITERATURY,
KRAKÓW 2020



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Zabawki dla dorosłych

Obiegowa opinia głosi, że komiksy to dziś domena superbohaterów Marvela (za sprawą sukcesów kinowych) oraz różnych typów fantastyki (zawsze w Polsce tak było), ale warto zwrócić uwagę na to, jak coraz bardziej umacnia się na naszym rynku komiks historyczny. W ramach grzesznych przyjemności przed Dniem Dziecka zanurzyłem się w dwie opowieści wydawane przez oficynę Scream Comics i nie żałuję. Pierwsza miała dodatkowy walor: wreszcie na dobre wypłynęła z mej pamięci propagandowe komiksy historyczne z czasów PRL.

„Ta maszyna zabija faszystów” to wprawdzie rzecz o słynnym sowieckim czołgu IS-2, ale ton opowieści jest diametralnie różny od obecnego w wychwalających Sowietów opowieściach o czterech pancernych, Hansie Klossie czy – któż jeszcze pamięta – laurce ku czci Armii Ludowej i komunistów, którą była seria zeszytów „Podziemny front”.

Scenarzysta Jean-Pierre Pécau pisze wprost, że jego album to „opowieść o historii narzędzia wykutego, by pokonać najgorszą dyktaturę, jaka zrodziła się na świecie, a które posłużyło umacnianiu potęgi jednego z najgorszych światowych

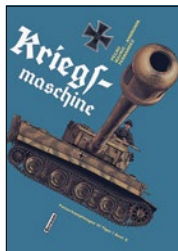
reżimów”. Rzadko słyszymy, by zachodni twórcy zdawali sobie sprawę, że Sowietci nie grali po stronie dobra. Pécau idzie dalej i dedykuje tom „ofiaram trzech wielkich totalitaryzmów XX w.: czerwonego, brunatnego i zielonego”. Dzieje śmierci nośnej maszyny poznajemy dzięki rozczarowanemu władzą sowiecką konstruktorowi. Wyciągnięty z gułagu weteran Stalingradu nie kryje antysystemowego nastawienia i pyskuje szarżom (nawet oficerom politycznym). Jeden z produkowanych czołgów staje się jego oczkiem w głowie. Po odznaczeniu się w szturmie

Berlina maszyna trafia na Węgry (rok 1956), Kubę, do Angoli i Afganistanu.

Jednocześnie ukazał się album „Kriegsmaschine” o najsłynniejszym niemieckim czołgu czasów drugiej wojny światowej – Tygrysie. Historia rozgrywa się w latach 1942–1945, a najciekawsza jest tam, gdzie twórcy dokumentują rozdźwięk w niemieckich szeregach pod koniec wojny. Oprócz tych, którzy zgodnie z rozkazem Führera chcą walczyć do samego końca, mamy i tych (szczególnie weteranów kampanii rosyjskiej), którzy chcieliby skończyć jak najszybciej wojenne szaleństwo. Obie publikacje są ponadprzeciętne. ©©



★★★★★
„TA MASZYNA
ZABIA
FASZYSTÓW”
SCREAM COMICS
2020



★★★★★
„KRIEGS-
MASCHINE”
SCREAM COMICS
2020

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Kolejny krok ku przedstawieniu pełnej spuścizny znakomitej pisarki. Tom (zestawiony już pośmiertnie) zawiera jedyny zbiór, który ukazał się za jej życia, plus teksty rozproszone po periodykach – łącznie ponad 40 opowiadań.



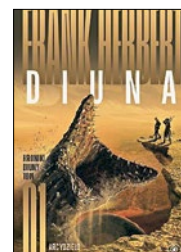
VIRGINIA WOOLF
„NAWIEDZONY
DOM”
WYDAWNICTWO
LITERACKIE

Obszerny wybór tekstów, które w ciągu ostatnich czterech dekad ukazywały się w kwartalniku „Akcent”. Kryterium doboru arcykawy: diagnozy i spory wokół tożsamości środkowo-europejskiej oraz relacji Polska–Europa.



ANTOLOGIA
„NA POGRANICZU
NARODÓW
I KULTUR”
CZYTELNIK

Wznowienie jednej z najlepszych powieści SF, tym razem w miękkiej oprawie. W tej formie ukaże się kanoniczny sześcioksięg Herberta o pustynnej planecie Arrakis, niezwykle miks filozofii, religii, przygody i ekologii.



FRANK HERBERT
„DIUNA”
REBIS

Piąty tom cyklu po-znańskich kryminałów retro o komisarzu Antonim Fischerze. Tym razem akcja rozgrywa się w roku 1922. Pierwsza zagadka dotyczy zniknięcia ośmioletniej dziewczynki. Druga to nietypowe morderstwo. ©©

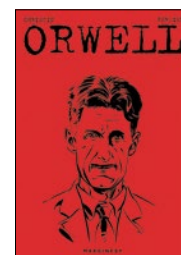
poleca Piotr Gociek



RYSZARD ĆWIRLEJ
„ZASPIJ MI
KOŁYSANKĘ”
CZWARTA STRONA

KOMIKS TYGODNIA: „ORWELL”

Komiks stworzony przez wybitnego francuskiego scenarzystę Pierre’a Christina (seria „Valerian”, współpraca z Enki Bilalem). Za stronę graficzną odpowiada nie tylko Sébastien Verdier, lecz także grono zaproszonych twórców (m.in. Balez, Guarnido czy wspomniany Bilal). Powstała imponująca obrazkowa opowieść o życiu twórcy „Roku 1984” i „Folwarku zwierzęcego”, godne uczczenie roku,



PIERRE
CHRISTIN,
SÉBASTIEN
VERDIER
„ORWELL”
MARGINESY
2020

w którym przypada 70. rocznica śmierci znakomitego pisarza i publicysty, Anglika do szpiku kości, a zarazem wroga imperializmu i torysowskiego anarchizmu, który został socjalistą zwalczającym komunizm. ©©

poleca Piotr Gociek

Beskidzki duch



FOT. MATERIAŁ PRASOWE

Inspirują ją: kultura wczesnośredniowieczna, literatura fantasy, poeci romantyczni, wierzenia Słowian, wikingów i Celtów oraz góralszczyzna. Dziewanna, właściwie Agnieszka Anna Suchy, to poetka, wokalistka i kompozytorka tworząca fantasy folk, folk metal i muzykę dawną. Sama opisuje swoją twórczość jako mistyczny folk. Taki jest też jej wydany

pod koniec 2019 r. album „Widziadło”, który zwyciężył w internetowym plebiscycie na folkową płytę roku Virtualne Gęśle. „Beskidzkiego ducha [artystka pochodzi z Ustronia – przyp. R.W.] wyczuwa się tu doskonale, ponieważ nasz folklor jest mi bardzo bliski. Staram się go »przemycać« zarówno do twórczości muzycznej, jak i poetyckiej. Nie chcę jednak

robić tego w sposób najbardziej oczywisty, chociaż na płycie znalazł się jeden utwór tradycyjny, czyli »Doliny«, który pochodzi z bliskich mi terenów Beskidu Śląskiego. To taki ukłon w stronę kultury beskidzkiej. Bardziej mi jednak zależy na uzyskaniu pewnej esencji ducha, stworzeniu klimatu, który by przywołał na myśl te góry” – pisze Dziewanna.

Agnieszka Suchy słyszymy na płycie nie tylko w roli wokalistki. Zagrała na gitarze akustycznej, skrzypcach i klawiszach. Do współpracy zaprosiła kilkoro instrumentalistów, którzy zagrali m.in. na fletach, wiolonczeli, perkusji, gitarze elektrycznej i basie.

Jako solistka folkowa Agnieszka Suchy działa od 2016 r. Komponować zaczęła już jako nastolatka. Ma za sobą musicalowy epizod, brała udział w festiwalowych konkursach. Zaangażowana jest w dwa projekty muzyczne – Saga oraz Othalan. Z tym drugim zespołem wydała w 2017 r. płytę „Po krańce gór”. Zainspirowana sagą Andrzeja Sapkowskiego oraz grą stworzoną na jej podstawie, nagrała z grupą przyjaciół w 2016 r. „wiedźmińską kołysankę”. Utwór „Pod znakiem Wilka” odtworzono na YouTube do dziś ponad 1,2 mln razy. ©©

Radosław Wojtas



GRZEGORZ BRZozowicz

NA SŁUCH

Swój największy wróg

Minęło 40 lat od samobójczej śmierci Iana Curtisa, charyzmatycznego wokalisty Joy Division. Zespołu, którego mroczne wizje ukształtowały brytyjską scenę alternatywną lat 80. i miały wielki wpływ na naszych muzyków związanych z festiwalem w Jarocinie.

To już trzecia książka Johna Savage’a przetłumaczona na język polski. Ten 66-letni angielski dziennikarz słynie z umiejscawiania historii w kontekście społecznym i kulturowym. W ten sposób w „England’s Dreaming” opisał zjawisko punk rocka, a w „1966” – czas swingującego Londynu. W historii zespołu Joy Division odszedł od własnej narracji i wykorzystał tylko wypowiedzi uczestników zdarzeń. Dzięki temu poznajemy

innych aktorów manchesterskiej sceny (m.in. producenta Martina Hannetta, wydawcę Tony’ego Wilsona czy grafika Petera Saville’a), która będzie nadawała ton brytyjskiej muzyce lat 80. i 90.

Losy Iana Curtisa nie są szczególnie eksponowane na tle opowieści pozostałych członków zespołu. Jednak jego przeistaczanie się, pod wpływem choroby, z miłego, wrażliwego chłopaka w neurotyczną, agresywną osobę stanowi najbardziej dramatyczny wątek historii. „Stał się kosmarem” – opowiada basista Peter Hook. „Nie chciał zwolnić, chciał zostać supergwiazdą rock and rolla”. „W wielu sprawach był swoim najgorszym wrogiem” – dodaje perkusista Stephen Morris. ©©



★★★★★
JON SAVAGE
„JOY DIVISION
W USTNYCH
RELACJACH”
KOSMOS KOSMOS



★★★★★
NO LIMITS
„NO MOVIE
SOUNDTRACKS”
GAD

Dziesięcioosobowy trójmiejski band nagrał w 1990 r. album będący rodzimą odpowiedzią na acid jazz – nowatorski nurt muzyki tanecznej. Nasze radio tego nie grało, szczególnie z angielskimi tekstami. Trzydzieści lat później płyty słucha się w pamięć. Na DVD są programy telewizyjne i teledyski.



★★★★★
**BRIGID DAWSON
& THE MOTHERS
NETWORK**
„BALLET OF APES”
CASTLEFACE

Solowy debiut wokalistki grupy Oh Sees zawiera psychodeliczne, jazzujące, a momentami wręcz pastorałne piosenki o nieprzewidywalnych strukturach. Magnetyczny nastrój tej abstrakcyjnej podróży przywołuje transcendentalno-jazzowe płyty Alice Coltrane. Frapujące. ©©

POLAKOM CHOLERNIE BRAK DZIŚ POCZUCIA GODNOŚCI.



Jesteśmy tu od tysiąca lat. Stworzyliśmy państwo, do którego ze wszystkich stron świata, z zachodu, wschodu i południa, ciągnęli ludzie jak do ziemi obiecanej. A teraz byle łajza z Holandii czy Luksemburga pozwala sobie traktować nas jak małpy, które ledwo co zlażyły z drzewa?! Stawiać nas do pionu, pouczać, wychowywać obietnicami szklanych paciorków i straszaniem „sankcjami”?

I nasze tak zwane elity płaszcą się przed każdą taką łajzą z obrzydliwym służalstwem, prosząc, żeby Europa zechciała łaskawie jakoś przywołać do porządku tę polską hołotę, bo im się ona wyrwała spod kontroli i nie chce słuchać?

Czas, kiedy mogliśmy sobie pozwolić na leżenie i rekonwalescencję, mija, kończą się światowe koniunktury, zaczynają prawdziwe schody, coraz bardziej strome. Trzeba ruszyć tyłek, przypomnieć sobie „czym tobie być, o czym tobie marzyć, śnić”.

O tym jest ta książka.



Patroni medialni



#ZgadamsięZziemkiewiczem

Fundacja Batorego jest finansowana przez George'a Sorosa
FOT. OLIVIER HOSLET/EPA/PAP

Neomarksizm istnieje

W ostatnich tygodniach zmagam się niestrudzenie z raportem przygotowanym przez Fundację Batorego, finansowaną, co chyba warto podkreślić, przez znanego i (nie)lubianego finansistę George'a Sorosa. Z trudną do ukrycia satysfakcją przyjąłem do wiadomości fakt, że w blisko 30-stronicowym materiale zostałem zaliczony do trójki polskich głosicieli teorii spiskowej. I to nie byle jakiej teorii, bo prawicowej i populistycznej, ściągniętej od amerykańskich neonazistów i kremlowskich ideologów, a tak naprawdę wymyślonej w gabinecie dr. Josepha Goebbelsa. Większej nobilitacji trudno doświadczyć.

Bądźmy jednak poważni – jakkolwiek by oceniać poziom kadr intelektualnych lewicy, to jednak nie mamy tu do czynienia z jakimiś tam antifiarzami na jednym czy drugim ulicznym marszu. Środowiskiem popularyzującym wiedzę o neomarksizmie zajęła się przecież poważna instytucja, do tego pompowana ogromnymi transferami z zagranicy. Innymi słowy, należy przyznać, że „problem” nie tylko został dostrzeżony, lecz także uznany za niebezpieczny. Niebezpieczny na tyle, że



Jakub Zgierski

We wstępie, który tradycyjnie ustawia autora na określonej pozycji, wbrew pozorom nie zamierzam „atakować” Fundacji Batorego ani różnych lewicowych intelektualistów. Chciałbym za to serdecznie podziękować za docenienie mojej pracy i potwierdzenie prezentowanego przeze mnie stanowiska. Dla red. Anny Mierzyńskiej piękne kwiaty, dla prof. Jana Hartmana – bombonierka, może nawet z likierem

w medialną kampanię włączyły się również dwa poczytne portale: OKO.press.pl oraz Wyborcza.pl. A to już coś oznacza.

Postawienie mnie, Krzysztofa Karonia czy Dariusza Rozwadowskiego obok zwolenników białej supremacji, Dugina, faszystów czy masowego mordercy Breivika oczywiście jest przykre i stanowi w tej sytuacji drugą stronę medalu (obok wspomnianej satysfakcji). Niemniej jednak nie ma co się skupiać na tego typu epitetach i ideologicznych pałkach, a lepiej przejść do istoty sporu. Otóż należy odpowiedzieć wprost na pytanie: Czy mamy

we współczesnym świecie do czynienia z neomarksizmem, czy też nie?

MARKSIZM KULTUROWY

W historii marksizmu – i to wcale nie jakiejś ukrytej, zamieszczanej na podejrzanych stronach internetowych – przyjęto dosyć prosty schemat rozwoju tej ideologii. Tego naucza się normalnie na uczelniach, więc trudno tu mówić o wiedzy nienaukowej czy manipulacji na użytek politycznej propagandy. Zasadniczo marksizm po Marksie i Engelsie rozdzielił się na trzy główne nurty: rewolucyjny, czyli leninow-

ski, znany nam doskonale ze Związku Sowieckiego, reformistyczny, a więc socjaldemokratyczny, oraz właśnie neomarksistowski. Ten ostatni, nazywany różnie, bo nowym marksizmem, marksizmem kulturowym czy też antykulturą, stanowi najważniejszy przedmiot moich badań. Tyle że – zdaniem niektórych – on nie istnieje. Innymi słowy, tematu nie ma. A jeżeli tematu nie ma, to i rozmowa wydaje się bezzasadna. Doprawdy?

W odpowiedzi przygotowanej przez zespół skupiony wokół mojego projektu (odsylam na www.mlotnamarksizm.pl) wykazaliśmy na konkretnych źródłach oraz cytatach, jak bałamutne i niemiające pokrycia w rzeczywistości tezy przedstawiono w raporcie Fundacji Batorego. W opublikowanych artykułach punkt po punkcie wytknęliśmy manipulacje, błędy merytoryczne i uchybienia autorki. Jednak – aby nie być gołosłownym – pokrótce omówię najważniejsze kwestie.

Po pierwsze, nieprawdą jest, jakoby termin „marksizm kulturowy” został przejęty wprost z propagandy nazistowskiej i stanowił współczesną wersję tzw. bolszewizmu kulturowego. Usilne propagowanie takiej tezy świadczy albo o zwykłej niewiedzy, a przypominam, że mówimy o przedstawicielach elity intelektualnej lewicy, albo celowej manipulacji w myśl zasady: kłamstwo powtórzone tysiąc razy staje się prawdą. W takich sytuacjach trudno mi wskazać, co byłoby gorsze – żalosna ignorancja czy brutalna konsekwencja. Co do faktografii, to sprawa wygląda zgoła inaczej. Otóż sformułowanie „marksizm kulturowy” pojawiło się po raz pierwszy w książce „The Critique of Domination. The Origins and Development of Critical Theory” z 1973 r. Jej autorem był amerykański filozof i teoretyk marksizmu Trent Schroyer, wieloletni wykładowca teorii krytycznej w nowojorskiej The New School – kolebce neomarksizmu w USA. To odrobinę zmienia postać rzeczy, prawda?

Po drugie, i podkreślę to z całą stanowczością, umieszczanie w marksistowskim worku takich zjawisk jak gender, LGBT, feminizm czy ekologizm nie jest wcale oznaką prawicowej teorii spiskowej tudzież pospolitego szurymy. Najprostsze wytłumaczenie, jakie znajdujemy w raporcie, zdaje się sugerować, że rozmaite mniejszości nie lubiane przez większość społeczeństwa zostały obrane za cel programowej nagonki dla zbijania kapitału politycznego. Oczywiście w tej koncepcji

nie przewidziano miejsca na zasadne pytanie, czy przypadkiem owe grupy rzeczywiście nie stały się przedmiotem rozgrywki ideologów, podobnie jak proletariackie masy w XIX w. W końcu te ruchy wykwitły spontanicznie, same z siebie, bo „przecież mamy XXI w.”, czyż nie?

ZREWIDOWANA IDEOLOGIA MARKSA

Po trzecie, wielu światowej sławy naukowców i akademików o mocno lewicowych poglądach nie odżegnuje się w żaden sposób od etykietek typu „neomarksizm” lub „marksizm kulturowy”, a wręcz przeciwnie – wyraźnie się z nimi utożsamia. Moje trzy ulubione przykłady to: prof. Jürgen Habermas, prof. Harry Cleaver oraz prof. Douglas Kellner. Celowo powołuję się na profesorów, do tego mogących pochwalić się niesłabnącym autorytetem, bo jednak polemizowanie z ich opiniami może okazać się nie lada wyzwaniem... przynajmniej dla niektórych.

Pierwszy z nich potwierdza, że szkoła frankfurcka rzeczywiście była odpowiedzialna za krytyczne rozwinięcie marksizmu w XX w. Ponadto wyjawia, jakie czynniki wymusiły rewizję programu ideologicznego Marksa. Habermas wyraził się w tej kwestii jasno w „Filozoficznym dyskursie nowoczesności” z 1985 r.: „Teoria krytyczna, rozwijana w kręgu skupionym wokół Horkheimera, miała uporać się z politycznymi rozczarowaniami niedosłłą rewolucją na Zachodzie, stalinizmem w Rosji i zwycięstwem faszyzmu w Niemczech; miała wyjaśnić nietrafność marksistowskich prognoz, nie zrywając z marksistowskimi intencjami”.

Drugi z kolei wyprowadza z błędnego przekonania, jakoby współczesny marksizm całkiem porzucił tematy ekonomiczne na rzecz wojny kulturowej. Cleaver w pracy „Polityczne czytanie »Kapitału«” z 1979 r. w następujący sposób zinterpretował dorobek frankfurczyków: „To pomaga zrozumieć, dlaczego teoria krytyczna zwróciła się w stronę analizy »świata kultury«. Przyjęła ona, że w fabryce kapitalista ma pełną kontrolę, a państwo autorytarne uważała za rozciąganie tej hegemonii na resztę społeczeństwa, czego oczywistą konsekwencją były badania nowych form dominacji, pojawiających się w tym procesie. W związku z tym powinno być jasne, iż zainteresowanie zachodniego marksizmu

i teorii krytycznej tematami »kulturowymi« było zasadniczo polityczne, nie będąc, przynajmniej w najbardziej owocnym okresie (latach 30.), wycofaniem się do »czysto filozoficznego« świata spekulacji, jak twierdzą niektórzy”.

Ostatni natomiast zwraca uwagę na kategorie, o które rozszerzyło się spektrum zainteresowania marksistowskich teoretyków. Kellner w piękny sposób wyłożył tę myśl w artykule „Cultural Marxism and Cultural Studies”: „Krytyczne badania kulturowe podkreślały, że polityka reprezentacji musi angażować klasę, płeć, rasę i seksualność, korygując tym samym luki we wcześniejszych formach marksizmu kulturowego. Brytyjskie kulturoznawstwo sukcesywnie przechodziło od koncentrowania się na klasie i kulturze do uwzględniania w swoich analizach płci, rasy, pochodzenia etnicznego, seksualności, narodu i innych składników tożsamości”.

Na koniec wyvodu chciałbym jeszcze odnieść się do drugiego bohatera tytułu niniejszego felietonu. Kwiaty dla Anny Mierzyńskiej wydają się uzasadnione – raport nie tylko umożliwił naszej stronie wyprowadzenie kontrofensywy, lecz także ze względu na swoją mierność obnażył słabość lewicowych kadr. Co natomiast z prof. Hartmanem? Otóż w ostatnim czasie był gościem w programie Moniki Jaruzelskiej, gdzie przy okazji tego tematu wprost przyznał się do bycia „neomarksistą” oraz „zwolennikiem uśrednionej koncepcji szkoły frankfurckiej”. Dodał do tego, że takie właśnie poglądy ma przeciętny, uśredniony inteligent na Zachodzie, np. w Niemczech czy we Francji. Innymi słowy, potwierdził, chcąc nie chcąc, że po pierwsze neomarksizm istnieje, a po drugie, że ma się dobrze. W końcu, jak sam przyznał, to podbudowa intelektualna tamtejszego świata akademickiego.

Nie wiem, czy mogłem życzyć sobie lepszego prezentu, więc trudno mi pozostać dłużnym. Myślę, że wirtualne kwiaty i bombonierka okażą się wystarczające. Anna Mierzyńska zresztą nie odpowiedziała na mój uprzejmy e-mail z propozycją debaty, więc nie mam nawet możliwości, aby wręczyć taki podarek. Co do prof. Hartmana, to czekam na sygnał zainteresowania, a przy okazji satysfakcjonującą replikę.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Teresa Stylińska

Eutanazja na odległość, prosta i nieskomplikowana, w zamyśle pomysłodawców jest rozwiązaniem na miarę czasów, jedyną formą dostępną dla tych, którzy nie chcą czekać na wygaśnięcie pandemii

Wypowiedzi holenderskiego ministra finansów Wopke Hoekstry, który sugerował zbadanie, czy kraje południa Europy w walce z koronawirusem nie marnotrawiły aby środków finansowych, przeciwnicy eutanazji dostrzegają czytelny podtekst: jeśli marnotrawiły, to dlatego, że wydawały pieniądze na leczenie tych, których w ogóle nie należało ratować. Czyli starych, słabych, niedołączonych i niepełnosprawnych.

Czy minister, który stał się uosobieniem oporu bogatszej części Europy przeciwko pomaganiu krajom najbardziej dotkniętym przez epidemię, to właśnie miał na myśli? Być może. Ale już same domniemania dobrze ilustrują różnice. Po jednej stronie są kraje Południa, w których – jakkolwiek banalnie by to brzmiało – starzy ludzie są leczeni, bo tak trzeba, nawet jeśli gdzie indziej uznano by, że nie ma to sensu. I nie chodzi tylko o chorych na COVID-19. Po drugiej np. właśnie Holandia, pierwszy kraj, gdzie ustawowo zezwolono na eutanazję.

W dobie pandemii tysiące lekarzy stają wobec arcytrudnego pytania, kogo ratować w pierwszej kolejności. Czy warto marnować środki, których jest z reguły za mało, na leczenie tych, których rokowania są słabe bądź perspektywa życia krótka? Czy praktykowanie eutanazji ułatwia podejmowanie takich decyzji? Mówiąc brutalnie i wprost: Czy lekarz stale dokonujący eutanazji oswaja się ze śmiercią, obojętniejąc na dylematy moralne?

GODNOŚĆ JEDYNIIE WERBALNA

Czas epidemii dla zwolenników eutanazji może stanowić okazję, by pchnąć naprzód sprawę, której służą. Skoro chorzy na COVID-19 umierają w cierpieniach, może uświadomi to innym, że cierpienie można skrócić, i to w zgodzie



Śmierć zdalnie sterowana

z prawem? A może przeciwnie – aktywiści zrewidowali swoje podejście?

„Dostrzegliśmy, że COVID-19 może poszerzyć pole dyskusji o opiece pod koniec życia, kilka tygodni temu, gdy nasza pracownica Elia zwróciła uwagę, że w miarę, jak pandemia ogarnia świat, zwraca się do niej coraz więcej ludzi. Ci, którzy dzwonią, podnoszą nowe tematy, takie jak wpływ COVID-19 na sprawy związane z zakończeniem życia i z testamentem życia”.

To jedna z ostatnich wiadomości, które zostały zamieszczone na stronie internetowej amerykańskiej organizacji Death with Dignity (Śmierć z godnością), która wspiera ideę upowszechnienia eutanazji i intensywnie ją promuje. Tu dygresja: zwolennicy eutanazji, nie tylko w USA, używają specyficznego języka. Unikają słowa „eutanazja”, bo źle się ono kojarzy. Eufemistyczne określenia, takie jak „godna śmierć”, „samobójstwo wspomagane” czy „pomoc medyczna w umieraniu” (medical assistance in dying, MAiD, oficjalny termin zawarty w prawie Kanady) brzmią lepiej, bo łagodniej. W stałym użyciu jest też „opieka na czas umierania” albo „troska o koniec życia”, choć trzeba niemałej wyobraźni,

by zadawanie śmierci ujmować w kategoriach opieki.

Death with Dignity nie podaje informacji, czy zabiegi eutanazji są na bieżąco przeprowadzane w ośmiu amerykańskich stanach, w których wolno to robić, oraz w Dystrykcie Kolumbii, gdzie też takie pozwolenie istnieje. To Kalifornia, Kolorado, Vermont, Oregon, Waszyngton, New Jersey, Hawaje i Montana. Ponieważ jednak intensywnie patronuje wprowadzaniu eutanazji w kolejnych stanach, jej aktywiści, choć z obowiązku pracują zdalnie, nawet podczas epidemii monitorują, co się dzieje na tym polu. Chodzi przede wszystkim o kilka stanów, takich jak Maryland, Massachusetts i Nowy Jork, w których nie ustają zabiegi o zalegalizowanie eutanazji. Jest co obserwować i co wspierać, bo w części z nich wcześniejsze podejścia do wprowadzenia eutanazji zakończyły się porażką.

Ale właśnie w tej trudnej chwili Death with Dignity ma powód do radości, bo zyskała sojusznika w stanie Nowy Jork. To organizacja The Arc New York, która od kilkudziesięciu lat wspiera osoby niepełnosprawne. W środowisku ludzi niepełnosprawnych, obwieszczone, jest więc poparcie dla godnej śmierci.

Informacja wywołała zrozumiałe poruszenie, ale, przynajmniej jeśli chodzi o Francję, nie została potwierdzona. Winien rozpowszechnienia błędnego newsa okazał się pewien francuski eurodeputowany, który źle zinterpretował decyzję rządu dotyczącą zmiany zasad stosowania Rivotrilu, silnego leku uspokajającego. Z francuskiej służby zdrowia zdjęto więc odium. Dementi nie doczekała się natomiast zamieszczona w tym samym artykule informacja pochodząca od eksdeputowanego do parlamentu Katalonii, Alfonsa Lópeza Teny, według którego zgodnie z zarządzeniem władz katalońskich szpitale mają nie przyjmować tych, których stan i wiek nie dają nadziei na wyzdrowienie.

Na czas epidemii niektóre placówki zawiesiły działalność. „Zrobiliśmy to z bólem serca, bo pracujemy przecież na rzecz ludzi potrzebujących pomocy – na rzecz pacjentów i ich rodzin” – tłumaczyła Andrea Frolic, dyrektor biura etyki w kanadyjskim Hamilton Health Sciences. Poza tą placówką podwoje zamknęły jeszcze jeden szpital w Ontario i holenderskie Expertisecentrum Euthanasie w Hadze.

W zamkniętych placówkach wstrzymano przyjmowanie wniosków, przerwano przygotowania do zabiegów, a już uruchomiona procedura uśmiercania ma być kontynuowana tylko tam, gdzie ze względu na stan pacjentów jest to absolutnie konieczne. Bo, jak mówi oświadczenie wydane przez ośrodek w Hadze: „Trudno to przyznać, ale trzeba: w opiece zdrowotnej eutanazja nie jest działaniem priorytetowym”.

Przeciwnicy ironizują: Jak można zawiesić działalność, którą zawsze reklamowano jako podstawową, wręcz nieodzowną? W Kanadzie eutanazja jest konstytucyjnym prawem obywatela, w Holandii jest traktowana jako zabieg dyktowany względami etycznymi. Zacytujmy szokującą opinię Stephena Pleitera, dyrektora placówki w Hadze: „Jeżeli stan pacjenta jest nie do zniesienia, nie ma widoków na poprawę, a eutanazja jest możliwa, to lekarz, który by jej odmówił, sprzeniewierzyłby się właściwie zasadom etyki”!

NA MIARĘ CZASÓW

Zawieszenie działalności wynika z dwóch przyczyn. Pierwsza to brak personelu – bo pracowników skierowano do pracy przy leczeniu chorych na COVID-19. Druga to konieczność

zachowywania dystansu: pracownicy, uśmiercając innych, sami mogliby zarazić się wirusem. Istny paradoks rodem ze świata absurdu.

Potrzeba jest jednak matką wynalazków. Skoro obowiązkowy dystans uniemożliwia eutanazję na miejscu, bo narażałoby to zdrowie pracowników medycznych (czy można ich tak nazywać?), czemuż by nie robić jej na odległość? Potencjalny pacjent powinien skontaktować się z lekarzem – zdalnie – telefonicznie lub e-mailem – uzyskać informację, które środki ma zażyć. Problem w tym, że lekarz ma ocenić jego stan i podjąć decyzję bez badania, bo w takich okolicznościach jest to po prostu niemożliwe. Propagatorom teleśmierci wcale to jednak nie przeszkadza.

Kim Callinan, przewodnicząca Compassion & Choices, amerykańskiej organizacji proeutanazyjnej, nie kryje się z opinią, że epidemia to doskonała okazja, by sprawę eutanazji posunąć naprzód, poszerzając możliwości jej dokonywania. Według Alexa Schadenberga, szefa Euthanasia Prevention Coalition (Koalicji przeciw Eutanazji), tak pisze ona w e-mailu rozesłanym do potencjalnych sponsorów: „W czasie, gdy ludzie zmagają się z pandemią, medycyna zdalna nabiera znaczenia jako istotny sposób sprawowania opieki medycznej. To wyjątkowa okazja, by z tej drogi mogli korzystać również lekarze współpracujący z pacjentami, którzy chcą zakończyć życie. Powinno to ułatwić medyczne wspomaganie czasu końca życia teraz i w dalszej przyszłości”.

Eutanazja na odległość, prosta i nieskomplikowana, w zamyśle pomysłodawców jest rozwiązaniem na miarę czasów, jedyną formą dostępną dla tych, którzy nie chcą czekać na wygaśnięcie pandemii, by móc wreszcie umrzeć. Czy już ją wypróbowano? Nie wiadomo. Żadna z instytucji oferujących zakończenie życia nie pochwaliła się jak dotąd zdalnym zadaniem śmierci, milczą także rodziny. Być może z teleeutanazji nikt jeszcze nie skorzystał, ale może być i tak, że lepiej niczego nie ujawniać. Eutanazja wszędzie jest obwarowana licznymi, mniej lub bardziej surowymi, warunkami, choć są takie miejsca – Hawaje i Nowy Meksyk – gdzie podejmowane są próby wprowadzenia prawa do śmierci na odległość. Na razie jednak teleeutanazja jest po prostu bezprawna.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

W kościele pw. Przemienienia Pańskiego przy ul. Miodowej w Warszawie, zaraz obok kaplicy, w której spoczywa serce fundatora kościoła – króla Jana III Sobieskiego – widnieje epitafium Aleksandry z Pernettów Zajączek. Nic dziwnego, że zajmuje tak prestiżowe miejsce, swego czasu bowiem pani Zajączkówna jako żona gen. Józefa Zajączka – namiestnika Królestwa Polskiego – nazywana była wicekrólową. Córka zbiegłych z Francji hugenotów doszła do tak wielkich zaszczytów, ale to, z czego naprawdę słynęła w swoich czasach i z czego znana jest do dziś, to sekret młodości, który posiadała.

Jeżeli bowiem sam Honoré de Balzac, znawca kobiet, spotkawszy ją w 1836 r. – gdy Aleksandra przekroczyła już 80. rok życia – stwierdził, że wygląda najwyżej na 35 lat, to przyznać trzeba, że w jej postaci kryje się coś niezwykłego.

„ŻYWA WRÓŻKA”

Splot jej cech, urody i żelaznego charakteru sprawił, że jej życie nie poszło w zapomnienie. Gdy była młodą dziewczyną, występowała jako tancerka w teatrze na dworze hetmana Michała Kazimierza Ogińskiego. Już wtedy chwalono ją za lekkość, wdzięk, urodę i smukłą kibić. Wyszła za mąż za dr. Issaure – nadwornego lekarza Jana Klemensa Branickiego, hetmana wielkiego koronnego, z którym miała syna. Gdy chłopiec miał dziewięć lat, poznała przystojnego wojskowego Józefa Zajączka. Zakochała się w nim z wzajemnością, a ukochany dzięki swoim koneksjom w Rzymie załatwił stwierdzenie nieważności małżeństwa, po czym sam pojął piękną Aleksandrę za żonę.

Józef Zajączek jako generał brał udział w wojnach napoleońskich i choć walczył z Rosją w 1815 r., to został namiestnikiem Królestwa Polskiego, a urząd ten sprawował do 1826 r.

Mówiono, że to jego piękna żona, osoba miła i inteligentna, mogła się przyczynić do rozwoju kariery męża. Znając ówczesne realia, gdzie żony „załatwiały” poprzez łóżko posady swoim mężom, wydaje się to nawet prawdopodobne.

Aleksandra wyróżniała się smukłą postacią, urodą i wdziękiem, ale miała też coś jeszcze – mianowicie znała sekret tego, jak tę urodę utrzymać przez długie lata.

Jest takie powiedzenie: gdybyż młodość wiedziała, a starość mogła! Coś, co wydaje się oksymoronem, niemożliwością, w tym przypadku było faktem. Czy było to jakieś



Anna Popek

Aleksandra z Pernettów Zajączek
nawet w podeszłym wieku
zachwycała urodą. Stawiała
na chłód i odpowiednią dietę



FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

Sekret generałowej Zajączek

cudowne natchnienie, czy też sekretna wiedza przekazana przez francuskich przodków, a może to pierwszy mąż lekarz podzielił się z nią swoimi obserwacjami czy badaniami? Dość powiedzieć, że Aleksandra stosowała przez całe swoje życie zupełnie wówczas nieznane, a proste i niedrogie zasady, które tę upragnioną młodość dawały. Notabene do tych samych wniosków po wielu latach doszli naukowcy w różnych dziedzinach – od lekarzy medycyny estetycznej do biologów, dietetyków i lekarzy ogólnych. Przywoływany już wcześniej Balzac po spotkaniu z generałową napisał: „Podrwiwa ze śmierci, śmieje się z życia. Niegdyś zadziwiła Aleksandra [car Aleksander I – przyp. A.P.], dziś prześciga Mikołaja [car Mikołaj I – przyp. red.] wspaniałością przyjąć. Zaprawdę jest to bajka o wróżce, jeśli to nie jest w ogóle żywa wróżka z bajki, madame Zayoncsek”.

Inny opis znajdziemy w „Romansie prababki” Stanisława Wasylewskiego: „Z wejrzenia, z kibici, ze słówek strzelistych wydawała się dziewczęca tak jak 15-latką”.

I tutaj zwracają uwagę kolejne jej cechy – inteligencja i dowcip. Jakie mogły być te „strzeliste” słowa? Na pewno celne riposty, pewna zaczepność, pewnie też kokieteria były jej nieobce. Ale również żywy umysł, który w największym bodaj stopniu decyduje o naszym prawdziwym, czyli subiektywnym wieku. Otwartość na innych, ciekawość świata, bycie na czasie zarówno w sprawach postępu, jak i mody. Ponoć nosiła się w jasnych barwach i modnych strojach do późnych lat, a więc łamała zasady, które nakazywały kobietom w pewnym wieku rezygnować ze swojej kobiecości podkreślanej strojem.

Na portalu Opatowanie znalazłam taki oto opis: „Pamiętam panią Zajączkową w gazowej sukni z różą we włosach, wachlarzem w ręku na balach i wyznam, że jeśli nie zachwycony, to zdziwiony stanąłem na jej widok. Zachowała czerstwość, wdzięk i ubiór młodego wieku... Czuła i kochała jak piętnastoletnia panią – tak wspominał 65-letni Aleksandrę z domu Pernett Zajączkową jeden z bywalców jej salonów.

Gdy była już po sześćdziesiątce, wdała się w skandalizujący romans z Wojciechem Grzymałą, który był od niej młodszy o 40 lat! Niestety, młody kochanek zostawił ją dla George Sand.

Być może jej temperament erotyczny także w pewnym stopniu odpowiadał za legendarny wygląd? „Znaną była z róż-

nych zalotów, rozwiązłego życia i protegowania wszystkich intryg miłosnych” – pisał Julian Ursyn Niemcewicz.

W innych poza wiernością kwestiach była jednak przykładną żoną dla swojego generała. Wspierała go, troszczyła się o niego i jego pozycję i... wybaczała. Generał bowiem także miał urozmaicone życie erotyczne, więc tolerancja była w ówczesnych małżeństwach cnotą bardzo pożądaną.

KLUCZOWY CHŁÓD

Starożytni sekretu młodości upatrywali w spożywaniu ambrozji.

A jaki był modus vivendi pięknej generałowej?

Przede wszystkim zimno. Jej sojusznikiem i nieodłącznym towarzyszem było zimno. Można powiedzieć, że była prekursorką krioterapii. Spała zawsze przy otwartym oknie, nawet w zimie. Pod łóżkiem miała ustawione misy z lodem, aby jeszcze obniżyć temperaturę. Rano brała lodową kąpiel, co wówczas, gdy kąpiele w ogóle brano z rzadka, a co dopiero zimne, było dość nietypowe. Kobiety bały się przeciągów i nie narażały się niepotrzebnie na chłód, a generałowa postępowała wręcz odwrotnie! Codziennie maszerowała lub jeździła konno ok. 10 km. Temu pewnie zawdzięczała smukłą kibić, którą zachowała do końca życia.

No i dieta. Kto pomógł jej opracować zasady żywienia? A może instynktownie sięgała po to, co jej służyło? Jadała przede wszystkim zimne i surowe potrawy, na które składały się wyłącznie warzywa, owoce i nabiał. Ciekawe połączenie postu dr Dąbrowskiej z dietą bezmięsną. Teraz, po odkryciach genetyków i licznych badaniach, po wielu publikacjach, wiedza na temat wpływu jedzenia na stan zdrowia i urody jest spora. Ale wtedy? Pamiętajmy, że był to przełom XVIII i XIX w. Jadano wówczas inaczej.

Przykładowe menu uroczystego obiadu wydawanego np. u Lubomirskich 7 maja 1778 r.:

1. *Zupa rumiana z roladkami z farszem*
2. *Zupa biała z grzankami*
3. *Paszтет dobry francuski z kurczętami*
4. *Sztuka mięsa świeża, sos biały z kalarepy*
5. *Jarzyny [...] z wieprzowiną świeżą*
6. *Frykando cielęce spikowane ze szczawiem*
- Drugie danie*
1. *Pieczyste [...] cielęce*
2. *Ciasto biszkoptowe*
3. *Gołąbki 4 sos złoty z szampionem*
4. *Uszka cielęce z mleczkami [...], rumiane*

5. *Groch zielony z sałatą z chlebem umazanym*

6. *Roladki w opłatkach smażone.*

Przy takich jadłospisach samodyscyplina pani Aleksandry była rzeczywiście zdumiewająca. Widać wiedziała, o co toczy się gra.

W 1818 r. państwo Zajączkowie zostali parą książęcą – tytuł ten i herb Świnka nadał im car Mikołaj I. Aleksandra była też damą dworu cesarzowej Aleksandry

Spała zawsze przy otwartym oknie, nawet w zimie.

Pod łóżkiem miała ustawione misy z lodem, aby jeszcze obniżyć temperaturę

Fiodorowej, żony cara Mikołaja I (notabene rosyjska cesarzowa była Prusaczką, przyszła na świat jako Fryderyka Luisa Charlotta Wilhelmina Hohenzollern – znana też jako Charlotta Pruska).

Aleksandra musiała cieszyć się sympatią carskiego dworu, po śmierci męża bowiem, oprócz przysługującej jej wojskowej emerytury otrzymała od cara Mikołaja I także dodatkowe uposażenie, które było aż trzy razy wyższe niż kwota po mężu.

Zainspirowałam się postacią generałowej do tego stopnia, że postanowiłam zostać morsem. W grudniu zeszłego roku pojechałam na międzynarodowe zawody w pływaniu w zimnej wodzie do Gdańska i po raz pierwszy w życiu miałam płynąć w takich warunkach na czas. Wiedziałam, że woda w Motławie ma cztery stopnie, i pełna obaw rozmawiałam z organizatorem zawodów Lechem Bednarkiem, trzykrotnym mistrzem świata w zimowym pływaniu na czas, prezesem Polskiej Fundacji Morsów.

Powiedział mi, że wszystko jest w głowie – i strach, i akceptacja. Oczywiście uznałam to za zwykły chwyt psychologiczny, który miał mnie ośmielić, bym w ogóle wystartowała.

Ale kiedy stałam już na starcie z przepisowo zanurzonym jednym ramieniem w wodzie i czułam wyłącznie ekscytację przed startem, zrozumiałam, że miał rację. Wszystko jest w głowie.

Im szybciej odkrywamy, że to, co nas samych dotyczy, w tym kwestia wieku, zaczyna się w naszej głowie, tym dłużej będziemy młode.



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Ślepotą Hitlera

Historycy, publicyści i miłośnicy historii od 75 lat spierają się o przyczynę klęski Niemiec w wojnie z Sowietami. Część dyskutantów twierdzi, że wszystko spartaczył dyletant wojskowy Hitler, który nie słuchał swoich generałów. Inni twierdzą, że było odwrotnie. Klęska była winą zachowawczych generałów, którzy sabotowali śmiało posunięcia Führera.

Mnie bliski jest pogląd trzeci: źródeł klęski III Rzeszy należy szukać w przyczynach natury politycznej, a nie militarnej. Na początku kampanii 1941 r. na całej długości frontu ludność witała Niemców jak wyzwolicieci spod bolszewickiego jarzma. Żołnierze Armii Czerwonej milionami przechodzili na stronę Wehrmachtu. Skala nienawiści do systemu komunistycznego była powszechna i olbrzymia. Gdyby Hitler wykorzystał te nastroje, to zmiotłby bolszewizm z powierzchni ziemi. Zaślepiiony szaloną rasiistowską ideologią Hitler nie widział jednak we wschodnich Europejczykach partnerów, ale „*untermensców*”. W efekcie zamiast wyzwolenia przyniósł na wschód szubienice i plutony egzekucyjne. Mordy i grabieże. Ten obłąd musiał się skończyć klęską!

Wielu Niemców rozumiało, że polityka Hitlera jest samobójcza. Był to pogląd rozpowszechniony m.in. wśród oficerów Wehrmachtu. Jak jednak pokazują wstrząsające wspomnienia Ericha Stahla – tacy ludzie byli również w Waffen-SS. Stahl był żołnierzem tej formacji i korespondentem wojennym. „Pewnego dnia olśniło mnie – wspominał – i zrozumiałem, że Niemcom ani się śni wykorzystać wielką szansę, jaką otrzymali na wschodzie. Przeświadczenie o niższości rasowej Słowian było zbyt silne i triumfowało nad wszelkimi nakazami rozsądku i myśleniem o przyszłości. Nie byliśmy gotowi, by zapewnić zniewolonym i umęczonym narodom wolność i równość, na które zasługiwały. Świadomość tego mnie dręczyła. Przeszliśmy niczym pług przez bezkresne przestrzenie Rosji, napotykać powszechny entuzjazm mogąc przekształcić się w szeroką potężną rzekę. Zamiast tego, demonstrując tragiczną ślepotę, robiliśmy wszystko, co w naszej mocy, aby go powstrzymać”.

Tak, Niemcy przegrali wojnę z Sowietami na własne życzenie. ©©



★★★★★
ERICH STAHL
„PRZESZEDŁEM
PIEKŁO
Z WAFFEN-SS
NA FRONCIE
WSCHODNIM”
VESPER



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Kasyno w Sopocie

Liczący blisko 400 tys. mieszkańców Gdańsk był w latach 20. ubiegłego stulecia najważniejszym portem nad Bałtykiem. Zgodnie z ustaleniami traktatu wersalskiego miasto zostało zdemilitaryzowane, miało własny parlament, walutę, flagę, herb i hymn. Jego specyficzny status przyciągał ludzi robiących legalne i nielegalne interesy. Obywatele Gdańska nie potrzebowali wiz na wjazd do Polski czy Niemiec, toteż w mieście powstawały setki firm i spółek, z których wiele było przykrywkami dla działalności wywiadu. Specyficzny status Gdańska powodował, że krzyżowały się tutaj interesy polskie, niemieckie, sowieckie, litewskie, brytyjskie, francuskie.

Jednocześnie miasto chętnie odwiedzali turyści, a jedną z jego atrakcji było słynne kasyno w Sopocie, które zainaugurowało działalność 6 czerwca 1920 r. Było to konsekwencją polityki władz Wolnego Miasta, które uznały, że dobrą zachętą do przyjazdu nad Bałtyk będą nie tylko miejscowe plaże, lecz także emocje związane z hazardem. Tym bardziej że w tej części Europy nie było jeszcze żadnego działającego kasyna.

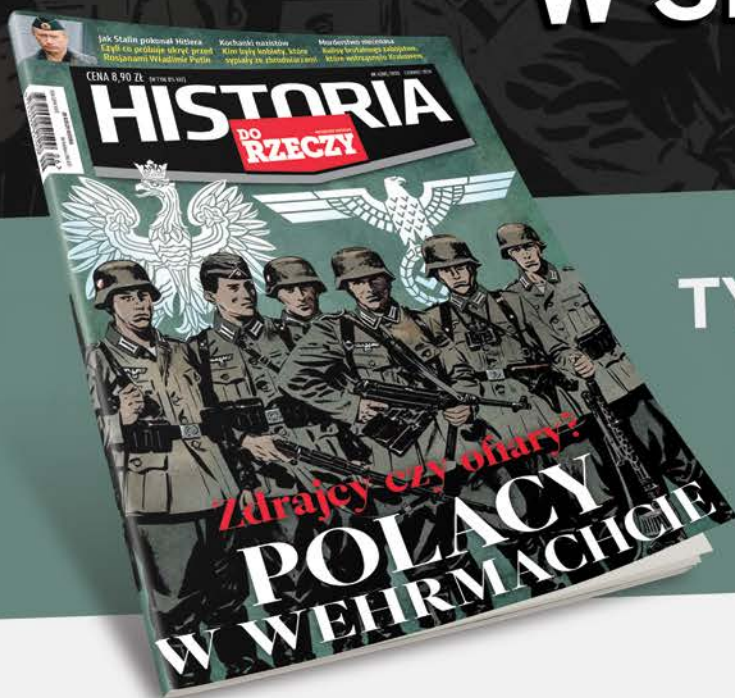
Początki były skromne, zaledwie dwa stoły z ruletką, szybko jednak interes zaczął się rozwijać. W sezonie letnim kasyno odwiedzało kilka tysięcy osób dziennie, a wielu ha-

zardzistów wybierało krótki wypad nad Bałtyk zamiast podróży do Monte Carlo. Tak jak wszędzie, gdzie tracono i wygrywano ogromne kwoty, zdarzały się też tragedie. Promenadę przed kasynem nazywano aleją wisielców, gdyż często znajdowano tam samobójców, którzy przy zielonym stoliku stracili cały majątek.

Oczywiście kasyno było miejscem monitorowanym przez wywiady różnych państw. Ludzie, którzy przegrali duże pieniądze, stanowili łatwy cel, zawsze można im było udzielić pożyczki, której łatwo nie potrafili spłacić. I zdesperowani bankruci podpisywali każde zobowiązanie, które im podsunęto.

W efekcie Wolne Miasto stało się idealnym miejscem do działalności wszelkiego rodzaju szpiegów i właściwie trudno zrozumieć, dlaczego polski wywiad początkowo nie odnosił większych sukcesów. Ustępował Abwehrze, inna sprawa, że Niemcy mieli poparcie władz Wolnego Miasta i większości mieszkańców. Sytuacja miała się zmienić po przybyciu nad Bałtyk kpt. Jana Henryka Żychonia. Zdolny oficer błyskawicznie zrozumiał, jaki jest potencjał Gdańska i kasyna w Sopocie dla pracy szpiega. Ale to temat na jeden z kolejnych felietonów, tym bardziej że sukcesy Żychonia miały swój tragiczny epilog, a zadecydowała o tym zawodowa zawiść jego kolegów z polskiego wywiadu... ©©

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



TYLKO U NAS!

**Jacek Bartosiak
o geopolitycznej
ekspansji Moskwy!**

Piotr Zychowicz – **Z Wehrmachtu do Andersa**

Ryszard Kaczmarek – **Polacy w armii Hitlera**

Tomasz Stańczyk – **Morderstwo krakowskiego mecenasa**

Sławomir Cenckiewicz – **Realiści kontra romantycy**

James Willey – **Lubieżne kochanki nazistów**

Tomasz Kornaś – **Nagonka na Józefa Mackiewicza**

Marian Zacharski – **Polacy w sieci Abwehry**

Nikołaj Iwanow – **Dlaczego Stalin pokonał Hitlera**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**



FOT. AP/EAST NEWS

Tusk uderza w Orbána



Maciej Szymanowski

Wprowadzenie na Węgrzech stanu zagrożenia podczas pandemii było dla Donalda Tuska i naczelnych organów UE pretekstem do uderzenia w Viktora Orbána. Kolejne ataki zdają się przynosić efekt odwrotny do zamierzonego, zwiększając determinację węgierskiego rządu w realizacji dotychczasowej polityki

Wubiegłym tygodniu węgierski rząd zwrócił się do parlamentu o zakończenie obowiązywania stanu zagrożenia wprowadzonego w kraju po wybuchu epidemii koronawirusa. Tym samym rząd straci możliwość wydawania dekretów z mocą ustawy, na co powoływał się Donald Tusk, domagając się niedawno definitywnego usunięcia Fideszu z szeregów Europejskiej

Partii Ludowej, samego premiera Viktora Orbána – prawnika z wykształcenia, porównując do cieszącego się ponurą sławą szefa Związku Prawników Narodowo-Socjalistycznych Carla Schmitta. Ponieważ już 16 maja węgierski premier nie tylko ogłosił opanowanie pandemii na Węgrzech i zbliżające się w ślad za nim odwołanie stanu zagrożenia, lecz także sformułował wyraźne oczekiwanie „przepraszania Węgier za bezpodstawne oskarżenia oraz uznania sukcesu, który węgierskie rozwiązania przyniosły w walce z koronawirusem”, ciąg dalszy wydarzeń zapowiada się intrygująco.

„KONIEC DEMOKRACJI”

Aby zrozumieć napięcie towarzyszące całej tej sytuacji na Węgrzech, warto cofnąć się do początków marca, kiedy w reakcji na pierwsze wykryte przypadki zakażenia COVID-19, na podstawie art. 53 konstytucji, węgierski rząd ogłosił na terytorium kraju stan zagrożenia (wyjątkowy), zamykając m.in. uniwersytety i szkoły. Ponieważ zgodnie z konstytucją rząd może ogłosić stan zagrożenia tylko na 15 dni, po czym może go przedłużyć jedynie parlament, gabinet Orbána od początku szukał

w tej sprawie porozumienia z opozycją. Jeśli wierzyć relacji lewicowego portalu Direkt 36, to do pierwszego poświęconego pandemii spotkania liderów wszystkich partii parlamentarnych doszło 13 marca w kancelarii premiera. Także poufne spotkanie z 18 marca „przebiegało w konstruktywnej i przyjacielskiej atmosferze – jak relacjonuje Direkt 36 – ale na liderów opozycji była wywierana jednocześnie coraz silniejsza presja ze strony organizacji pozarządowych i lewicowych intelektualistów”.

Stąd nazajutrz ujawniono, że prowadzone są rozmowy. Najpierw w postaci przecieku informacyjnego dla dziennika „Népszava”, potem potwierdzonego przez jednego z uczestników wspomnianych spotkań, posła László Györgyego Lukácsa ze skrajnie prawicowej partii Jobbik, który przy okazji ukuł hasło o przygotowywanej przez rząd „koronadyktaturze”. W reakcji rząd zerwał rozmowy, wprowadzając pod obrady parlamentu, gdzie dysponuje większością dwóch trzecich głosów, już bez dalszych konsultacji projekt specustawy.

Opozycja w odpowiedzi uderzyła w historyczne tony, ogłaszając koniec demokracji na Węgrzech, co niechętne

węgierskiemu rządowi środowiska polityczne oraz zagraniczne media natychmiast podchwyciły, dokładając to i owo jeszcze od siebie. Jak to uczyniła telewizja CNN, tworząc fake newsa o „wygaszonym parlamencie”.

W rzeczywistości węgierskie Zgromadzenie Narodowe dalej funkcjonowało, mogąc w każdej chwili odwołać też stan zagrożenia. Oczywiście, o ile większość posłów uznałaby to za wskazane. Przywoływany w tym kontekście kontrargument, że większość przecież stanowią posłowie rządzącej nad Dunajem koalicji Fidesz-KDNP, ma rację bytu tylko w takim stopniu, że także w pozostałych demokratycznych krajach rządy z natury rzeczy pracują w oparciu o posiadaną większość w parlamencie – stałą albo okresową. Inaczej upadają.

Inny często podnoszony argument, że stan zagrożenia na Węgrzech został wprowadzony na czas nieograniczony, co ponoć było spowodowane chęcią zablokowania przypadających na 2022 r. wyborów parlamentarnych, był podobnie niepoważny. Gdyby zresztą rząd Orbána chciał w jakikolwiek sposób wykorzystać na swoją korzyść czas pandemii, to raczej rozpiąłby przedterminowe wybory, które zgodnie z sondażami przyniosłyby koalicji rządzącej grubo powyżej posiadanych obecnie dwóch trzecich miejsc w parlamencie.

Trzeci argument – o możliwości karania wieloletnim więzieniem niechętnych rządowi dziennikarzy na podstawie wydanego zakazu kolportowania treści, których celem jest szerzenie paniki o epidemii – zweryfikowany został przez życie. Po dwóch miesiącach obowiązywania „cenzury” na Węgrzech policja zainteresowała się zaledwie kilkoma osobami, na których donieśli obywatele zaniepokojeni treściami publikowanymi głównie w mediach społecznościowych. Najgroźniejszy przypadek dotyczył Andrása Kusinszkyego, 64-letniego emeryta, który przed oblicze prokuratora trafił za wezwanie na Facebooku do antyrządowych protestów w reakcji na znoszone w kraju obostrzenia sanitarne, co ponoć miało doprowadzić do nadejścia kolejnej fali epidemii. Po przesłuchaniu, bez postawienia jakichkolwiek zarzutów, emeryt wrócił spokojnie do domu.

„Stan wyjątkowy lub stan zagrożenia muszą służyć rządowi w walce z wirusem, a nie wzmocnianiu władzy nad obywatelami. Wykorzystanie pandemii do zbudowania trwałego stanu wyjątkowego jest politycznie niebezpieczne

i moralnie niedopuszczalne” – czytamy w liście Donalda Tuska wystosowanym do członków Europejskiej Partii Ludowej z 1 kwietnia br. Kilka dni później użyty został przy okazji wywiadu dla „Spiegla” wspomniany już argument ad personam: „Jestem pewien, że Carl Schmitt byłby bardzo dumny z Viktora Orbána”. I jeszcze jeden cytat, tym razem autorstwa europosła Andrzeja Halickiego, który tak uzasadnił stanowisko zarządu Platformy Obywatelskiej, która wraz z 13 innymi partiami zażądała usunięcia Fideszu z szeregu EPL: „Z punktu widzenia PO fundamentalna jest kwestia zachowania konstytucyjnego porządku i nienadużywania pandemii do ograniczania swobód i wprowadzania nadzwyczajnych rozwiązań, które nie są ograniczone czasowo”.

Chociaż Fidesz jest zawieszony w prawach członka EPL za odmowę usunięcia wiosną ub.r. z węgierskich ulic plakatów łączących osobę byłego szefa Komisji Europejskiej Jeana-Claude’a Junckera z masowym napływem nielegalnych imigrantów do Europy, to powyższe słowa i stanowisko Platformy okazały się na Węgrzech prawdziwym szokiem. Co zresztą w pełni zrozumiałe w przypadku narodu, którego większość w badaniach opinii publicznej deklaruje chęć „dalszego zacieśniania stosunków z Polską”, a długoletni polski premier został zapamiętany jako miłośnik sportu (w domyśle: zasad fair play), bliski przyjaciel Viktora Orbána.

Ten ostatni, biorąc zapewne pod uwagę wywołane działaniami Donalda Tuska nastroje społeczne, które zaowocowały w węgierskich mediach drugą młodością casusu „dziadka z Wermachtu”, w odpowiedzi na atak wystosował list do... Annegret Kramp-Karrenbauer, szefowej niemieckiej CDU, w którym zawarł wezwanie: „Ci, którzy nie potrafią pomagać, powinni chociaż nie przeszkadzać [...]”. Proszę przekonać Tuska, by przestał się podziały w naszej politycznej rodzinie i skupił się na tym, co jest teraz najbardziej potrzebne”.

EWOLUCJA POSTAWY ORBÁNA

O czym będzie następny rozdział z dziejów Fideszu w EPL, dowiemy się zapewne w czerwcu, na kiedy zaplanowano posiedzenie europejskich ludowców w sprawach wewnętrznych. Na razie wiemy tyle, że Donald Tusk otrzymał nominację na stanowisko przewodniczącego EPL nie po to, aby wprowadzić Fidesz ponownie w jej szereg, ale aby jako Polak

lepiej legitymizował w oczach węgierskiej opinii publicznej argumenty stosowane przy presji wywieranej na Budapeszt. W Polsce też znamy ten mechanizm dzięki nominacji na komisarza ds. praworządności Věry Jourové, która jest Czeszką, a Czesi są od lat obdarzani nad Wisłą największą sympatią wśród narodów świata, co potwierdzają badania CBOS.

Wiemy też to, że wejście Platformy Obywatelskiej i kilku innych partii do montowanej przez Donalda Tuska koalicji antyfideszowskiej daje 18 ugrupowań, w liczącej w sumie 48 reprezentacji europejskich partii EPL. Chociaż oczywiście w polityce zdeterminowana mniejszość znaczy czasami więcej niż niezdecydowana większość.

Jak się wydaje, mamy też do czynienia z ewoluowaniem postawy premiera Orbána nie tylko wobec Donalda Tuska i EPL, lecz także w ogóle polityki prowadzonej przez naczelne organy unijne wobec Budapesztu. Przez lata Viktor Orbán przyzywał nas, że wręcz chętnie podejmuje polemikę ze swoimi brukselskimi adwersarzami. Podczas ostatniej debaty w Parlamencie Europejskim poświęconej nadzwyczajnym środkom wprowadzonym nad Dunajem w celu walki z epidemią koronawirusa, zabrakło jednak premiera Węgier, choć znalazł czas na inną podróż zagraniczną w tym czasie – udał się do Belgradu.

Wyrok TSUE z połowy maja, uznający umieszczanie przez Węgry osób ubiegających się o azyl w strefie tranzytowej na granicy z Serbią bez rozpatrzenia ich sprawy przez sąd jako sprzeczny z prawem unijnym, zgodnie z natychmiastową odpowiedzią premiera doprowadzi do zamknięcia stref, a nie odejścia od zasady rozpatrywania wniosków azylowych POZA granicami Węgier, co raczej nie ucieszy przeciwników węgierskiej polityki migracyjnej w Brukseli.

Kurs na konfrontację? Nie, raczej rosnąca determinacja w realizacji dotychczasowej polityki. Czy ta determinacja może ulec zmianie w przypadku, kiedy Węgry i premier doczekają się jakiegoś pojednawczego gestu, jeśli już nie samych przeprosin? Być może. Najsmutniejsze jest jednak to, że w politycznej obyczajowości Unii Europejskiej A.D. 2020 to jednak chyba najmniej prawdopodobny scenariusz dalszych wydarzeń.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest dyrektorem

Instytutu Współpracy Polsko-Węgierskiej im. Wacława Felczaka.



Piotr Włoczyk

Chińscy komuniści, wprowadzając nowe prawo o bezpieczeństwie narodowym, przygotowują się do zadania śmiertelnego ciosu demokracji – przekonuje hongkońska opozycja. Jak daleko posuną się USA, by powstrzymać zakusy Pekinu?

Maski przeciwgazowe, gogle, hełmy i nieodłączne parasolki, które stały się symbolem sprzeciwu wobec komunistycznego zamordyzmu. Mimo pandemii koronawirusa i zakazu organizowania zgromadzeń większych niż osiem osób, tysiące mieszkańców Hongkongu wyległo w ostatnią niedzielę na ulice tej metropolii, by protestować przeciw nowemu narzędziowi prawnemu Pekinu, który – jak przekonują – oznaczać będzie koniec autonomii ich regionu.

Trudno się dziwić, że policja działała wyjątkowo ostro, rzucając na demonstrantów potężne siły, a dowódca chińskiej armii w Hongkongu powiedział, że 10 tys. żołnierzy gotowych jest bronić „niepodległości Hongkongu” (czyli po prostu pełnej podległości Pekinowi). Chińskie władze otwarcie przyznają bowiem, że chcą jak najszybciej nałożyć na Hongkong prawny kaganiec, który w efekcie uczyni z tej metropolii kolejne chińskie megamiasto. Wygląda na to, że decydenci w Pekinie uznali, że teraz, gdy cały świat interesuje się przede wszystkim rozwojem pandemii, jest najlepszy moment na ostateczne starcie z niepokornym Hongkongiem.

„Przez kilka dekad obserwowałem to, co wyrabiała Komunistyczna Partia Chin. Uciekłem do Hongkongu 40 lat temu. Teraz doprowadzili do ruiny również Hongkong. Jestem tu, żeby bronić mego domu. To my jesteśmy prawdziwymi patriotami, a nie partia komunistyczna” – mówił reporterowi „The Guardian” pragnący zachować anonimowość 75-latek, który pojawił się na manifestacji. Protestujący wzywali Pekin do porzucenia planów wprowadzenia prawa o bezpieczeństwie narodowym, śpiewali



Zamach na Hongkong

„Chwała Hongkongowi”, nieoficjalny hymn protestów, ale pojawił się też zupełnie nowy element – wezwania do ogłoszenia niepodległości.

OBRAZA HYMNU

„Do niedawna wydawało się, że Chiny zachowują się zachowawczo i starają się oddziaływać swoją »soft power« na resztę świata. Te czasy przeminęły wraz

z pojawieniem się Xi Jinpinga” – powiedział w rozmowie z „The New York Times” prof. Jean-Pierre Cabestan, politolog z Baptist University w Hongkongu. I dodawał: „Partia komunistyczna nie przejmie się już reakcją świata, ponieważ walczy o przetrwanie, stabilność systemu jednopartyjnego. Nie chce powtórzyć losu Związku Sowieckiego. Hongkong coraz bardziej uważany jest

Protestujący przeciw zmianom chińskiego prawa dotyczącego „bezpieczeństwa narodowego”, Hongkong, 27 maja 2020 r. FOT. GETTY IMAGES



za bazę wywrotowców, za czynnik destabilizujący chińskie państwo”.

Demokratyczna opozycja zwołała początkowo niedzielny protest z zupełnie innego powodu. Chodziło o wyrażenie sprzeciwu wobec forsowanego przez Carrie Lam, w pełni uległą Pekinowi szefową administracji Hongkongu, prawa penalizującego nieposzanowanie chińskiego hymnu. Projekt tej ustawy to reakcja na naciski władz centralnych, którym bardzo nie podobają się sytuacje, gdy hongkończycy bucują podczas odgrywania hymnu państwowego. Cztery dni przed planowanym protestem Pekin ogłosił jednak plany, które kompletnie zmieniły sytuację, i „prawo o hymnie” przestało być największym problemem dla hongkończyków bojących się komunistycznej dominacji.

Ogłoszony przez Komunistyczną Partię Chin projekt zmian w prawie teoretycznie wymierzony jest w zdradę, terroryzm, separatyzm i „akty zagranicznej interwencji”. Pozwala jednak także komunistycznej bezpiece na nieograniczoną swobodę działania w Hongkongu, co do tej pory nie wchodziło w grę. Hongkońska opozycja

alarmuje, że nowe prawo o bezpieczeństwie narodowym, przyjęte w ubiegłym tygodniu, to narzędzie, które – poprzez drakońskie kary – ma zdusić wszelki opór w tej metropolii, a za „zdradę” czy „separatyzm” może być uznany każdy przejaw sprzeciwu wobec autorytaryzmu. Nowe regulacje mają wejść w życie do września.

Protesty przeciw deptaniu autonomii wybuchły na dobre w 2014 r., gdy młodzi mieszkańcy Hongkongu rozpoczęli organizowanie gigantycznych manifestacji, które paraliżowały życie w mieście. Ekipa Xi Jinpinga z ogromnym niepokojem przyglądała się rozwojowi wypadków – było to najpoważniejsze wrzenie społeczne w Chinach od czasów protestów na pl. Tian'anmen. Szczególnie burzliwe były protesty, które przetoczyły się przez Hongkong w zeszłym roku. Był to sprzeciw wobec zapowiedzi Pekinu w sprawie ekstradycji mieszkańców Hongkongu do Chin kontynentalnych. Te plany zostały przez komunistów odłożone, ale – jak pokazały ostatnie dni – zamiast nich pojawił się jeszcze groźniejszy projekt.

Strona demokratyczna ma argument, z którym trudno polemizować. Na mocy porozumienia, które Wielka Brytania zawarła z Chinami, przekazując im w 1997 r. swoją kolonię, ten obszar prawny leży w wyłącznej kompetencji lokalnej legislatury. Na tym właśnie m.in. miał polegać układ „jeden kraj, dwa systemy”, który na co najmniej 50 lat (do 2047 r.) miał charakteryzować relacje Hongkongu i Pekinu. Wygląda jednak na to, że Xi Jinping postanowił jednym aktem przesunąć w Hongkongu zegar o 27 lat do przodu. Chińskie władze nie przebiegają w słowach, podkreślając, że nic nie zmieni tego kursu.

GROŹBY GENERAŁA

„To, co dzieje się w Hongkongu, to wyłączna sprawa Chin. Nie będziemy tolerowali żadnych zagranicznych prób interwencji” – powiedział Wang Yi, minister spraw zagranicznych ChRL, komentując głosy protestu płynące z wielu zagranicznych stolic, m.in. z Londynu, Waszyngtonu i Canberry. Dodał, że prawo o bezpieczeństwie narodowym na pewno zostanie przyjęte. „Musimy zrobić to bez najmniejszej nawet zwłoki” – powiedział Wang Yi.

Z kolei gen. Chen Daoxiang zaznaczył w wywiadzie dla państwowej telewizji, że hongkoński garnizon Armii Ludowo-Wyzwoleńczej ma „determinację, pewność i zdolność obrony bezpieczeństwa narodowego”, co brzmi szczególnie złowrogo

w obliczu zbliżającej się rocznicy masakry na pl. Tian'anmen. Mimo to Joshua Wong, jeden z liderów protestów, zapowiada, że w czerwcu na ulice siedmiomilionowej metropolii wyjdzie milion ludzi.

Przywykliśmy już, że administracja Donalda Trumpa od początku nie szczędzi Chinom słów krytyki, ale ostatnie wypowiedzi wysoko postawionych przedstawicieli amerykańskiego rządu wyjątkowo rozżłościły chińskich decydentów.

„Nie wyobrażam sobie, jak Hongkong może pozostać centrum finansowym Azji, jeżeli chińska partia komunistyczna wprowadzi ustawę o bezpieczeństwie narodowym i przejmie Hongkong” – powiedział Robert O'Brien, doradca prezydenta USA ds. bezpieczeństwa narodowego. O'Brien zaznaczył, że pozbawienie Hongkongu autonomii może się skończyć nałożeniem przez USA sankcji na Chiny.

„Prezydent USA może nałożyć na Chiny sankcje ekonomiczne i wizowe” – powiedział David Stilwell, zastępca dyrektora ds. Azji w amerykańskim Departamencie Stanu. Mike Pompeo, sekretarz stanu USA, stwierdził z kolei, że prawo o bezpieczeństwie narodowym to „podzwonne” dla hongkońskiej autonomii.

„Czas już, żeby USA przestały się łudzić, że mogą zmienić Chiny” – odpowiedział mu szef dyplomacji ChRL.

Chińska cenzura wycina z zagranicznych mediów wszelkie krytyczne komentarze na temat protestów w Hongkongu, a tamtejsze media państwowe dwoją się i troją, by przedstawić protestujących jako marionetki w rękach Waszyngtonu.

„Hongkong należy do Chin, a nie do USA. Jeżeli najważniejsi amerykańscy politycy nie mają w tej sprawie wątpliwości, to może wnuczka prezydenta Trumpa wytłumaczy im ten oczywisty fakt” – napisała na Twitterze Hu Xijin, redaktor naczelny „Global Times”, jednej z najważniejszych tub propagandowych chińskich komunistów.

O powadze sytuacji świadczy to, że w sprawę zaangażował się nawet Tajwan, który dotychczas bardzo dyplomatycznie wypowiadał się w tych tematach.

Prezydent Tajwanu Tsai Ing-wen zaproponowała wręcz udzielenie Hongkongowi „niezbędnej pomocy”. Tsai Ing-wen stwierdziła, że nowe prawo to „poważne zagrożenie dla wolności Hongkongu i niezależności jego wymiaru sprawiedliwości”. Coraz ostrzejszy kurs Pekinu wobec Hongkongu każe się teraz poważnie zastanowić tajwańskim zwolennikom przyłączenia wyspy do kontynentu.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



FOT. MATTHEU LUCIOT/EP/AGF

Juan Fernando López Aguilar z urodzenia jest Kanaryjczykiem, z wykształcenia doktorem nauk prawnych, a z przekonania wiernym członkiem Hiszpańskiej Socjalistycznej Partii Robotniczej, i to od 1983 r. To z jej ramienia zasiada w Grupie Postępowego Sojuszu Socjalistów i Demokratów w PE i próbuje wszcząć wobec Polski procedurę artykułu 7 Traktatu o UE.

„Najgorszy minister sprawiedliwości w dziejach Hiszpanii, człowiek Zapatero, który zdewastował prawo, a Hiszpanię uczynił rajem dla małoletnich przestępców” – mówią o nim Hiszpanie. To Aguilar był promotorem prawa zezwalającego na małżeństwa homoseksualne, prawa „ekspresowych” rozwodów, nowej ustawy o nieletnich i wreszcie autorem najbardziej kontrowersyjnej ustawy „przeciw przemocy seksistowskiej”.

Znamy profesora prawa, który pragnie zachować anonimowość, wspomina uroczystą kolację w Barcelonie w 2004 r., na którą zaproszono wybitnych prawników konstytucjonalistów. Nowy minister sprawiedliwości López Aguilar oświadczył wówczas, że rząd Zapatero wcale nie przychodzi ulepszać prawa ani praworządności, ale przeprowadzić rewolucję: „Rewolucja w prawie ustanowi nowy porządek społeczny, którego prawica nigdy już nie zdoła cofnąć. Rządy przychodzą i odchodzą, ale transformacja społeczna, która dokona się z pomocą tych praw, zostanie na zawsze. Nikt nie odwróci faktów dokonanych, nikt nie zdoła cofnąć zmian w świadomości, nie można zatrzymać rewolucji”.

– My, którzy byliśmy świadkami tej bezprecedensowej deklaracji przeprowadzenia rewolucji obyczajowej na gruncie prawa, siedzieliśmy oszołomień – wspomina profesor.

Ten, który popsuł Hiszpanię



Małgorzata Wołczyńska

Kim jest szef Komisji Wolności Obywatelskich, który na forum europarlamentu nie ustaje w prześladowaniu Polski za rzekome pogwałcenie praworządności? To najlepiej wiedzą Hiszpanie

Byli deputowani Kongresu X kadencji, także chcący zachować anonimowość: – Znasz prawa, których Aguilar był ojcem? Jak sądzisz, komu zależało, żeby z katolickiej Hiszpanii nie został kamień na kamieniu? A jak uważasz, dlaczego wziął się na Polskę? To zasłużony mason hiszpańskiej Łoży Wielkiego Wschodu.

Sprawa przynależności eurodeputowanego do masonerii jest zresztą powszechnie znana i opisywana w prasie.

Tym, co boli najbardziej Hiszpanów, jest dziedzictwo praw, które po sobie zostawił López Aguilar, a które trwale zdewastowały Hiszpanię. To Aguilar jest odpowiedzialny za zniszczenie hiszpańskiej konstytucji, zwłaszcza słynnego artykułu 14 o równości wobec prawa niezależnie od płci. Hiszpania jest jedynym krajem na świecie, gdzie mężczyznę dyskryminuje się ze względu na płeć – prawo czyni go domniemanym przestępcą. Ocenia się, że 15 lat

funkcjonowania tej skrajnie zideologizowanej ustawy odbiło się znacząco na statystykach samobójstw mężczyzn, którzy z dnia na dzień zostali pozbawieni dobrego imienia, majątku i kontaktu z dziećmi.

Prawo „antyseksistowskie” okazało się przepustką do powstania wielu stowarzyszeń, fundacji, które otrzymują ogromne, także unijne, dotacje na walkę z „maczystowską przemocą”. Niestety, rzeczywiście ofiary przemocy, co wielokrotnie udowodniono, otrzymują mizerne kwoty, z przepływu zaś tych sum, będących najczęściej poza jakimkolwiek audytem, utrzymują się całe siatki pośredników, oczywiście z nadania socjalistów.

López Aguilar, jako ojciec ustawy „antyseksistowskiej”, wypowiedział znamienne zdanie: „Fałszywe doniesienia trzeba wpisać w koszty tego prawa”. Sam został oskarżony o znęcanie się nad żoną i jej pobicie, ale Sąd Najwyższy

oddalił oskarżenie, zasłaniając się brakiem dostatecznych dowodów.

Aguilar był ministrem sprawiedliwości w rządzie Zapatero w latach 2004–2007. Cieszy się opinią zręcznego oratora i pracowitego funkcjonariusza do zadań specjalnych. To za jego rządów zmieniono prawo o nieletnich, które przeobraziło życie wielu Hiszpanów w piekło.

Wysoko postawiony policjant z Madrytu wyjaśnił mi, co kryje się za tą ustawą. – To prawo zmieniło małoletnich przestępców w nietykalnych. Do 14. roku życia nie ma żadnej odpowiedzialności karnej za popełnione czyny. Ci starsi przestępcy, od 14. do 18. roku życia, przebywają w ośrodkach aż do zakończenia kary, stąd zdarzało mi się widzieć 25-letnich osiłków przetrzymywanych w tych samych ośrodkach z 14-latkami. – Można sobie wyobrazić, do czego tam dochodzi – opowiada. I wskazuje: – Przede wszystkim jednak te ośrodki, tak samo zresztą jak ośrodki schronienia dla imigrantów, to żyła złota. Za każdego podopiecznego, zależnie od regionu, wypłacane są od 4 tys. do 10 tys. euro miesięcznie. Dom z pięciorgiem dzieci może przynieść do 50 tys. euro miesięcznie. Oczywiście te zakłady poprawcze prowadzone są przez znajomych z klucza partyjnego. Jednym słowem – socjaliści zawsze uchwalają prawo, które umiejscowia przekształcić w biznes dla wszystkich swoich kolegów. Tak właśnie działa ta słynna praworządność spod znaku PSOE – wytyka.

Aguilar przygotował niesłychanie krytyczny projekt raportu o Polsce, który miałby się stać stanowiskiem całego PE. To oznacza, że człowiek, który zdemolował praworządność w Hiszpanii, wziął się do naprawy naszej demokracji. Na prośbę naszych europosłów.

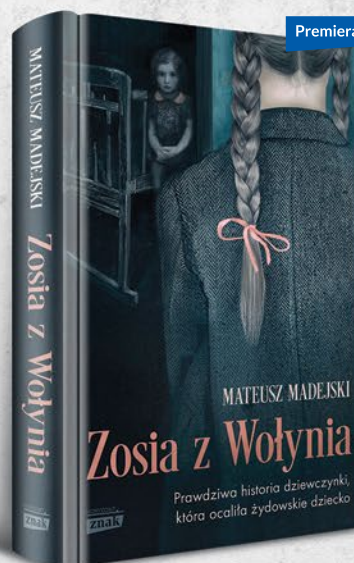
© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Wydawnictwo Znak Horyzont poleca:



Premiera 3 czerwca

Polskie dzieci, którym wydarto dzieciństwo, pamiętają wojnę inaczej niż dorośli. Lektura ich wspomnień porusza, budzi sprzeciw wobec sowieckiego zbydlęcenia i podziw dla heroizmu małych Polaków.



Premiera 1 lipca

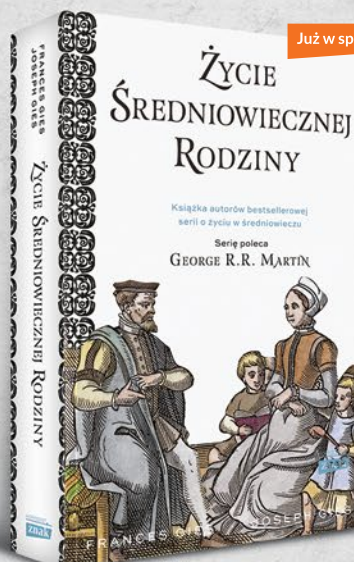
Ucieczka przed bandami UPA mordującymi Polaków na Wołyniu, uratowanie żydowskiego dziecka, uniknięcie transportu do Auschwitz, wyjazd na Ziemię Odzyskane i małżeństwo z Żołnierzem Wyklętym. Życie Zofii Hołub to historia XX-wiecznej Polski w pigułce.

Już w sprzedaży:



Już w sprzedaży

Wika Filipowicz ze swadą opowiada o tym, co gościło na królewskich stołach. Przedstawia kulinarne obyczaje władców. Kuchenne ewolucje i rewolucje. Od średniowiecza po dziś dzień.



Już w sprzedaży

To kolejna książka wybitnych badaczy, których książki zainspirowały George'a R.R. Martina do stworzenia fascynującego świata Pieśni lodu i ognia. Prawdziwa gratka dla fanów jego twórczości oraz miłośników historii średniowiecza.

HORYZONT.
znak



FOT. LEON NEAL / GETTY IMAGES

LOCKDOWN NIE DLA RZĄDU

W Wielkiej Brytanii afery. Okazało się, że zamknięcie, nakaz pozostawania w domach itd. to oczywiście ważne i słuszne rzeczy, tylko nie dla wszystkich obowiązkowe. Tabloidy wytropiły, że główny doradca premiera, Dominic Cummings, co najmniej dwa razy złamał zakaz przemieszczania się. Biuro rządu przyznało, że – owszem – pojechał sobie do żony i syna, ale pojechał, bo żona miała COVID-19 i musiał pomóc zajmować się synem. I czego tu ludzie nie rozumieją?

CHCESZ SIĘ SPOTKAĆ, POKAŻ SMS

W Danii zaczęło się luzowanie koronawirusowych restrykcji. Mogą wreszcie oficjalnie i bezkarnie spotkać się pary, które choroba rozdzieliła, bo mieszały w kraju sąsiadującym. Jest tylko jeden warunek. Trzeba jakoś – twierdzą władze – udowodnić ten związek. Można pokazać list miłosny albo SMS-y, no, ewentualnie jakieś zdjęcia. Funkcjonariusz na granicy sobie popatrzy i sam stwierdzi, czy ktoś kogoś kocha naprawdę, czy tylko oszukuje.

TRUMP ZJADA, WHO WYCOFUJE

Prezydent USA niedawno publicznie przyznawał, że podjada sobie cynk oraz bierze leki zawierające hydroksychlorochinę. Tymczasem WHO wstrzymało testy z użyciem tej substancji na pacjentach. Z ostatnich badań opublikowanych w „The Lancet” wynika bowiem, że chorzy z ciężką postacią COVID-19 umierają częściej, gdy stosuje się u nich terapię tym lekiem. Czy prezydent USA uwierzy jednak w cokolwiek ogłaszanego przez Światową Organizację Zdrowia?

BELLA CIAO Z MINARETU

W tureckim Izmirze od dawna z meczetu na modlitwę nie wzywa żywy muezin, tylko odtworzone nagrania. Wykorzystali to hakerzy – ich poszukiwania trwały, gdy zamykaliśmy ten numer „Do Rzeczy” – i podmienili nagranie. W ten sposób z meczetów w mieście na koniec ramadanu zamiast wezwania do modlitwy wierni usłyszeli pieśń antyfaszystowskich partyzantów z Włoch – „Bella Ciao”. Młodszemu pokoleniu piosenka kojarzy się głównie z najnowszym serialem Netflix, w którym ją wykorzystano, zatytułowanym „Dom z papieru”.

BURMISTRZ W TRUMNIE

Burmistrz peruwiańskiego miasta Tantará, które leży na południu kraju, nie przestrzegał ograniczeń wprowadzonych w związku z pandemią. Spotkał się ze znajomymi i pił z nimi alkohol. Gdy na imprezę wkroczyła policja, pan Jaime Rolando Urbina Torres schował się w trumnie i udawał martwego. Nie wiadomo, skąd biesiadnicy mieli trumnę. Wiadomo, że burmistrz udawał kiepsko – został aresztowany. © © **Łukasz Zboralski**



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Trump kontra Twitter

Zdawałoby się, że Twitter – serwis, który prezydentowi USA zastępuje konferencje prasowe, a czasem nawet oficjalne kanały dyplomatyczne – powinien być dozgonnie wdzięczny za to, że każdy dziennikarz, dyplomata, biznesmen, a także członek administracji rządowej USA, i nie tylko USA, chcąc wiedzieć, co chodzi po głowie najpotężniejszemu człowiekowi globu, musi w dzień i w nocy śledzić jego „ćwierki”.

Tymczasem Twitter oznaczył niedawno dwa wpisy Donalda Trumpa jako „potencjalnie wprowadzające w błąd”. W pierwszym z nich prezydent USA przekonywał,

że „nie ma szans (ŻADNYCH!), żeby głosowanie korespondencyjne nie prowadziło do oszustw wyborczych”. „Ćwierk” zaprzecza argumentom opozycyjnych demokratów, którzy uważają, że w czasach pandemii to najlepszy sposób na bezpieczne wybory. Twitter dodał zaś do tweeta link z informacją: „Poznaj fakty na temat głosowania korespondencyjnego”. Po kliknięciu w link otwierają się analizy dotyczące wyborów korespondencyjnych sporządzone przez „The Washington Post” oraz CNN, w których eksperci przekonują, że oszustwa w takich przypadkach zdarzają się bardzo rzadko.

Nie minęła godzina, a Trump oskarżył Twitter o naruszenie wolności słowa oraz „mieszanie się w wybory prezydenckie”, a także odsyłanie do „Fake News CNN” oraz „Washington Post” należącego do szefa Amazona. W obronę Trumpa wziął Fox News, przytaczając słowa innych ekspertów pełnych niepokoju dotyczących głosowania korespondencyjnego. Co ciekawe, wcześniej w tym samym sporze odrotnie zadziałały polskie media. Jedną telewizję promowała głosowanie korespondencyjne, a inną drżała przed fałszerstwami.

Cóż, od dawna wiadomo, że kto ma media, ten ma władzę. © ©



Bank młodych

PeoPay KIDS od Banku Pekao S.A. to przełomowe rozwiązanie, które pozwala zbierać pieniądze do wirtualnych skarbonki i uczy dzieci, jak zarządzać finansami. Na powitanie bank przekazuje najmłodszym klientom 50 zł kieszonkowego i dorzuca promocyjne oprocentowanie

pory oferowaliśmy Konto Przekorzystne i konto oszczędnościowe Mój Skarb od najmłodszych lat, a także kartę i aplikację PeoPay od 13. roku życia. Teraz uzupełniliśmy ofertę o kartę i aplikację PeoPay KIDS dla dzieci w wieku 6–13 lat, zapewniając rodzicom możliwość edukacji finansowej oraz kontrolę w Panelu Rodzica aplikacji dla dorosłych – mówi Remigiusz Hołdys, dyrektor Departamentu Zarządzania Ofertą i Segmentami Klientów Banku Pekao S.A. Do rachunku dla dzieci wydawana jest plastikowa karta płatnicza, która w oczach najmłodszych jest oznaką ich samodzielności. Sześć wizerunków kart wybrano za pomocą samych dzieci.

Dzięki karcie maluchy będą mogły dokonywać płatności w sklepach oraz wypłacać gotówkę – limit takich transakcji również ustala rodzic (min. 20 zł – max. 50 zł dziennie). Bank nie pobiera opłat za wydanie i obsługę karty. A dzięki udostępnieniu dzieciom płatności zbliżeniowych, Pekao wspiera bezpieczne zakupy bez dotykania gotówki.

Applikacja PeoPay KIDS ułatwia oszczędzanie na wymarzone cele, które bank wspiera specjalną ofertą 2 proc. na koncie oszczędnościowym Mój Skarb do 3 tys. zł przez cztery miesiące od otwarcia. – Na start na Konto Przekorzystne dziecka przygotowaliśmy też 50 zł kieszonkowego. Dodatkowo mama lub tata mogą założyć dziecku pakiet PeoPay KIDS w pełni zdalnie w Pekao24 lub aplikacji PeoPay w Panelu Rodzica – dodaje Remigiusz Hołdys.

WIRTUALNE SKARBONKI, REALNE KIESZONKOWE

Applikacja PeoPay KIDS może być zainstalowana na smartfonie dziecka, a jeśli go nie posiada, to na urządzeniu rodzica. Zasada jej działania jest bardzo prosta. Najmłodszy ma możliwość tworzenia skarbonki w ramach konta oszczędnościowego Mój Skarb, aby odkładać w nich pieniądze na wybrane przez siebie cele i sprządać postępy zbioru. Jeśli od babć, dziadków czy też wujków dostaną pieniądze w gotówkę, to rodzic może

te pieniądze wpłacić w oddziale bez ponoszenia żadnych kosztów.

Dzieci mogą też zrealizować przelew z bezpłatnego Konta Przekorzystnego lub doładować telefon – w tym przypadku prosba o autoryzację transakcji jest zawsze wysyłana rodzicowi.

Dzięki dostępowi do Panelu Rodzica w swojej aplikacji PeoPay i bankowości internetowej Pekao24 opiekunowie mają możliwość prowadzenia dyskretnego nadzoru nad wydatkami dziecka, kontrolowania salda konta, a także np. blokowania i odblokowywania aplikacji oraz konta, a także blokowania lub odblokowywania możliwości doładowywania za pomocą PeoPay KIDS telefonów na kartę. Rodzic ma także możliwość wykonania natychmiastowego przelewu na konto swojej pociechy albo zlecenia stałego kieszonkowego w postaci cyklicznej płatności.

Każdy rodzic może aktywować pakiet PeoPay KIDS bez wychodzenia z domu poprzez nową wersję aplikacji PeoPay lub bankowość internetową Pekao24. Do wypełnienia wniosku wystarczy numer PESEL i podstawowe dane, nie jest wymagane podawanie danych dokumentu tożsamości dziecka.



Bank Pekao S.A. zaprezentował w zeszłym tygodniu dzieło swojego Laboratorium Innowacji: ekosystem finansowo-edukacyjny PeoPay KIDS. Pionierskie rozwiązanie, za pomocą którego dzieci postawią pierwsze kroki w świecie mobilnych finansów, składa się z aplikacji mobilnej PeoPay KIDS oraz panelu dla rodziców.

– Aplikacja PeoPay KIDS to nowoczesne rozwiązanie, które pokazuje dzieciom, jak skutecznie budować prawidłowe postawy oszczędzania i zarządzania pieniędzmi. To przełomowe rozwiązanie jest kolejnym ważnym etapem transformacji cyfrowej Banku Pekao. Rozwiązanie, a w szczególności aplikacja, od początku do końca zostało zrealizowane całkowicie wewnętrznie przez pracowników Pekao – podkreśla na ubiegłotygodniowej telekonferencji prasowej Leszek Skiba, p.o. prezes Banku Pekao S.A. Bank z zębem ma się w tej dziedzinie czym pochwalić. Od IV kwartału 2017 r. do I kwartału 2020 r. liczba aktywnych klientów mobilne wzrosła z 0,95 mln do 1,74 mln, liczba aktywnych klientów aplikacji mobilnej potroiła się do 1,46 mln, a liczba płatności dokonywanych za pośrednictwem PeoPay wzrosła 20-krotnie do 16,5 mln. System PeoPay notuje obecnie tysiąc logowań na minutę, a klienci dokonują 15 tys. transakcji w ciągu godziny.

SILNA POZYCJA WŚRÓD RODZIN

– Zauważyliśmy, że w Polsce brakuje rozwiązań bankowych dla dzieci w wieku szkolnym. W odpowiedzi na potrzeby rodziców i samych dzieci stworzyliśmy PeoPay KIDS – najbardziej rozbudowaną na rynku, a zarazem prostą w obsłudze aplikację bankową dla najmłodszych. Dzięki niej dzieci będą zdobywały nowe umiejętności, które przydadzą im się w dorosłym życiu. Dostępni w aplikacji trenerzy – Lis, Żółtówka lub Żubr – nauczą ich podstawowych pojęć oraz pokażą, jak skutecznie oszczędzać i gospodarować swoimi pieniędzmi – mówi Marek Tomczuk, wiceprezes Banku Pekao S.A., nadzorujący Pion Bankowości Detalicznej.

– Bank Pekao już posiada silną pozycję wśród rodzin z dziećmi. Do tej



Cezary Gmyz

Niemcy myślą przede wszystkim o sobie. Nawet gdy oferują innym „pomoc”. Takiej „solidarności” gospodarczej powinniśmy się uczyć

Timeo Germanos et dona ferentes” – „Obawiam się Niemców, nawet kiedy przynoszą dary”. Tak chciałoby się sparafrazować słynne słowa z „Eneidy” przestrzegające przed podstępными Grekami, którzy u bram Troi porzucili drewnianego konia. Słowa te jak ulał pasują do propozycji uzgodnionej między kanclerz Niemiec Angelą Merkel a prezydentem Francji Emmanuelem Macronem. Owa propozycja dotyczy planu pomocy finansowej wartości – bagatela – pół biliona euro, dla krajów unijnych dotkniętych skutkami gospodarczymi pandemii koronawirusa.

Niestety przy okazji okazało się, że Polska jest w gorszej sytuacji niż Troja – nie trzeba nam wprowadzać żadnego drewnianego konia, ponieważ w mieście są Trojanie, którzy chcieliby Grekom/Germanom otworzyć wrota miasta na oścież.

SOLIDARNOŚĆ PO NIEMIECKU

Niemiecko-francuską propozycję z entuzjazmem powitał na Twitterze Bartłomiej Radziejewski, lider środowiska Nowej Konfederacji. „To jeszcze nie przełom, a propozycja przełomu. Ważna. Notabene, jeśli dobrze rozumiem, na podstawie dzisiejszych danych oznaczająca, że Europa Środkowa, a zwłaszcza Polska, byłaby tu płatnikiem netto. Jeśli nie ma tam jakichś pułapek, to uważam, że powinniśmy ją poprzeć” – entuzjazmował się Radziejewski. Powiedział, że osłupiałem po przeczytaniu tych słów, to nic nie powiedzieć. Owszem, od pewnego czasu byłem już przyzwyczajony do dziecięcego zachwyty Radziejewskiego samym sobą, uzalającego się, jak to jest zapracowany, że nie ma nawet czasu, by jeździć do tych wszystkich stacji telewizyjnych i radiowych, które nieomalże błagają go o komentarze na antenie. Od dłuższego czasu nie były dla mnie zaskoczeniem tyrady lidera Nowej Konfederacji pod adresem Polski: „Państwo z tektury, parapaństwo, kompromitacja państwa”. Podobnie jak uwielbienie dla głoszonej w wersji



Strzeż się

wyjątkowo prostackiej Realpolitik. Jednak poparcie propozycji ewidentnie dla Polski szkodliwej przy pełnej świadomości, że będzie ona nasz kraj drogo kosztować, było dla mnie czymś nowym.

Na efekty długo nie trzeba było czekać. Radziejewski od razu awansował do kręgu akceptowalnych w Niemczech ekspertów o profilu konserwatywnym. Stanowisko lidera Nowej Konfederacji wypatrzył natychmiast warszawski korespondent „Die Welt” Philipp Fritz. Słowa Radziejewskiego odebrał jako skłonność do ustępstwa całej Europy Środkowo-Wschodniej wobec Brukseli. „Solidarność działa w obu kierunkach. My również możemy wymagać solidarności w ważnych dla nas sprawach, takich jak transport czy energia” – cytuje niemiecki dziennik lidera NK.

Niestety trudno o większą naiwność, gdyż to właśnie sprawy tzw. dyrektywy transportowej o pracownikach delegowanych oraz negocjacje w sprawie tzw. zielonego ładu w pełni pokazały nieustępliwość, a nawet brutalność Niemców w realizacji własnych interesów gospodarczych kosztem innych. Nie ma się co łudzić, choć Niemcy innych określają jako „partnerów”, w rzeczywistości uważają ich za konkurentów. Są oczywiście zbyt inteligentni, by formułować otwarcie – wzorem Trumpa – hasło „Germany first”, jednak ich polityczna praktyka pokazuje, że tam, gdzie w grę wchodzi gospodarcze interesy Niemiec, tam nie ma miejsca na

sentymenty. A wszystko to przy zapewnieniach o europejskiej solidarności.

Jak owa solidarność wygląda, pokażę na przykładzie analiz nie polskich, lecz niemieckich, aby nie być podejrzanym o stronniczość. W cytowanym już wyżej tekście „Die Welt” autor zauważa, że kraje Grupy Wyszehradzkiej nie zostaną tak bardzo dotknięte skutkami pandemii, gdyż znacznie szybciej niż inne kraje zareagowały na pandemię i wprowadziły obostrzenia. W związku z tym uniknęły sytuacji takich jak państwa starej Unii. „Nikt w Unii nie był tak szybki i radykalny jak wschód” – pisze Fritz. Innymi słowy, Polska miałaby w takiej perspektywie wyłożyć pieniądze za niefrasobliwość państw starej Unii.

Jeszcze brutalniej to wygląda, kiedy spojrzymy na liczby. Podaje je w swojej analizie Europejskie Centrum Badań nad Gospodarką (ZEW) z Mannheim. Niemieccy eksperci wyliczyli, że gdyby jako kryterium rozdziału pieniędzy przyjąć wielkość recesji, to Polska wyłożyłaby ponad 10 mld euro więcej, niż otrzymałaby z lansowanego przez Niemcy i Francję funduszu. Nasz wkład wyniósłby prawie 2 proc. PKB, czyli tyle, ile Polska wydaje na politykę obronną. Na funduszu skorzystałaby przede wszystkim Francja oraz Włochy, czyli kraje od Polski nie tylko większe, lecz także znacznie bogatsze. Niemieccy specjaliści nie piszą, że skorzystałaby również Niemcy, ale jest oczywiste, iż ten zastrzyk pieniędzy dla Francji i południa Europy będzie ra-

Niemców

tował również niemiecki eksport. I nawet jeśli Niemcy więcej do funduszu wpłacą, niż z niego wyjmą, to i tak na tym zarobią. Niemożliwe? No to może przypomnijmy, jak wyglądała niemiecka łaskawość przy ratowaniu Grecji pogrążonej w kryzysie. Okazało się, że niemiecka pomoc Greków bardzo drogo kosztowała. Niemcy na owym pomaganiu zarobili 2,9 mld euro. Na czysto. I nie są to wyliczenia Greków, lecz samych Niemców. I żeby sprawa była jasna – nie piszę tego z zawiścią, ale z podziwem. Niemcy w tej materii powinny być dla Polski wzorem do naśladowania, jak dbać o własne interesy.

SPRZECZNE INTERESY

Chociaż od pomyślności Niemiec zależy pomyślność gospodarcza Polski, to w wielu obszarach nasze interesy są sprzeczne. Pandemia COVID-19 w pełni nam to uświadamia. Widać to chociażby przy sprawie robotników sezonowych, pracowników transgranicznych oraz tych rodaków, którzy w Niemczech żyją i pracują. Wprowadzenie kontroli granicznych i przymusowej kwarantanny dla przyjeżdżających z Niemiec do Polski doprowadziło Niemcy do rozpaczy. Pal sześć zbieraczy szparagów. Wprowadzenie „500+” już w ubiegłych latach spowodowało, że dla wielu Polaków praca „u bauera” przestała być opłacalna. Okazało się jednak, że Polacy dawno przestali być tylko niskopłatnymi robotnikami sezonowymi, ale stali się nie-

zbędni w wielu obszarach wymagających kwalifikacji. Aktywność arabskich klanów przestępczych sprawia, że mit polskiego złodzieja samochodów rozplynął się we mgle. Dzisiaj Polacy w Niemczech to nie tylko wysoko cenieni kierowcy czy robotnicy budowlani, lecz także inżynierowie, lekarze oraz informatycy. Ludzie, którzy ciężką pracą budują również dobrobyt Niemiec i nie generują gigantycznych kosztów socjalnych. Polacy, którzy żyją z socjału, w porównaniu z emigrantami z Bliskiego Wschodu, stanowią naprawdę znikomą obciążenie dla niemieckiego systemu socjalnego. Nasi rodacy raczej go wzmacniają swoimi podatkami i składkami.

Niestety w Polsce wciąż pokutuje przekonanie, że to my mamy Niemcom coś do zawdzięczenia, co powoduje, że sami siebie często widzimy jako petenta chwytającego się niemieckiej kłamki. Polska rządzona przez prawicę w Niemczech jest postrzegana jako zagrożenie, gdyż coraz śmielej formułuje swoje oczekiwania i coraz częściej potrafi powiedzieć „nie”. Oczywiście niemieccy politycy w warstwie retorycznej nigdy lub przynajmniej długo nie posuną się do takiej brutalności jak Donald Trump. Są jednak w tej materii skutecznie wyręczani przez niemieckie media, które z całą bezwzględnością zakłámują obraz Polski, wykazując się przy tym niebywałą wręcz hipokryzją. Najlepiej widać to na przykładzie sporu o sądownictwo.

Niemcy mają skrajnie upolityczniony wymiar sprawiedliwości. I to do tego stopnia, że sami – choć po cichu – przyznają, że nie spełniają w tej materii kryteriów, które Unia stawia państwom chcącym przystąpić do wspólnoty. Niemieccy sędziowie przy procesie powoływania sędziów nie mają nic do powiedzenia, bo proces jest stricte polityczny. Wystarczy przywołać przykład nowego prezesa Federalnego Trybunału Konstytucyjnego Stefana Harbartha, który wprost z ław Bundestagu, gdzie trząs klubem chadeków, przesiadł się do Trybunału. Na prezesa tego najważniejszego sądu został wybrany zaś przez Bundesrat – niemiecką izbę wyższą parlamentu, która nie pochodzi z wyboru, a jej skład jest tak dobrany, że największa partia opozycyjna nie ma w nim ani jednego przedstawiciela. Niemcy uważają, że im wolno więcej.

Jeszcze pięć lat temu Polska wobec Niemiec zachowywała się zupełnie inaczej. Nie będę przypominał o rzeczach powszechnie znanych. Wskażę tylko fakt zupełnie niezauważony. W ostatnich dniach swojego urzędowania rząd Ewy Kopacz przyjął skrajnie niekorzystną dla Polski umowę o Odrze granicznej. Została ona tak skonstruowana, że jej wypowiedzenie jest prawie niemożliwe. A pod pozorami współpracy transgranicznej w dokumencie znalazły się zapisy uniemożliwiające de facto opłacalną żeglugę na Odrze, pozwalającą tanio zaopatrywać port w Szczecinie. To sprawa, że konkurowanie z Rostokiem czy Hamburgiem jest niemożliwe.

Jeśli dziś Radziejewski wzywa, by Polska wypruwała sobie żyły, aby wspomagać bogatszych od siebie, to nie zdziwicie się, jeśli niebawem zobaczycie lidera NK na sympozjach niemieckich fundacji chwaleńczego niemiecką Realpolitik. Niemcy takich okazji nie przepagają.

Na szczęście ostatecznie pomysł, by Polska łożyła na bogatszych i mniej zapobiegliwych od siebie, się nie przebił. Propozycje lidera Nowej Konfederacji nie znalazły odbicia w najnowszej propozycji Komisji Europejskiej, a wiele wskazuje na to, że Polska obok Włoch i Francji będzie głównym beneficjentem unijnej pomocy. Wypada się więc cieszyć, że premier raczej nie śledzi Radziejewskiego na Twitterze, bo twarda postawa szefa polskiego rządu sprawiła, iż znów mamy sukces negocjacyjny. Niemcom to się może nie podobać, ale polski premier nie jest od podobania się Niemcom, tylko od dbania o nasze interesy.



Prezydent Białorusi Aleksander Łukaszenko (z lewej) i prezydent Rosji Władimir Putin

FOT. MIKHAIL METZEL/TASS/GETTY IMAGES

Pożegnanie z imperium



Karol Kaźmierczak

Rosja Władimira Putina nie jest ani drugim Związkiem Sowieckim, ani nowym imperium. Same strukturalne podstawy jej systemu nie pozwolą Rosji na odgrywanie takiej roli

15 maja minister spraw zagranicznych Białorusi Uładzimir Makiej poinformował, że jego państwo rozpoczęło import ropy naftowej z USA. Pierwsza partia amerykańskiego surowca dotrze w czerwcu do białoruskiej rafinerii w Nowopołocku. Tą samą drogą rafineria zaopatrzyła się na początku bieżącego roku w ropę z norweskiego złoża na Morzu Północnym. Były jeszcze zamówienia na ropę azerską i saudyjską. Wykorzystanie tych dostaw oraz własnych zapasów sprawiło, że ropa

importowana z Rosji stanowiła w tym roku tylko 64 proc. wkładu do białoruskich rafinerii. Surowiec ten ma dla władz w Mińsku fundamentalne znaczenie, bowiem na produkty ropopochodne przypada od lat około jednej czwartej wartości białoruskiego eksportu i jednej piątej wpływów do budżetu. W dodatku wielkie rafinerie odgrywają rolę w zapewnianiu płynności finansowej części państwowych zakładów przemysłowych zatrudniających wielkie załogi i odgrywających swoją rolę w tworzeniu gospodarki (prawie) pełnego zatrudnienia. Ropa płynąca z USA do białoruskiej rafinerii to wydarzenie znaczące nie tylko dla samej Białorusi, lecz także dla Rosji. Oto czołowy konkurent pojawił się na – wydawałoby się – w pełni kontrolowanym rynku najbliższego Rosji państwa.

Przez pryzmat Białorusi doskonale widzimy wszystkie sprzeczności polityki Kremla czyniące ją coraz mniej skuteczną. Białoruś była do tej pory najważniejszym sojusznikiem Moskwy, państwem niemal na każdej płaszczyźnie strukturalnie z nią związanym. Oczywiście są związki

na płaszczyźnie politycznej poprzez przynależność obu państw do Eurazjatyckiego Związku Gospodarczego i układy o Państwie Związkowym Rosji i Białorusi. W sferze strategicznej oba państwa przynależą do sojuszu wojskowego Organizacji Układu o Bezpieczeństwie Zbiorowym. Mają wspólny system obrony przeciwpowietrznej. Na poziomie ekonomicznym na Rosję przypadła w 2017 r. ponad połowa handlu zagranicznego Białorusi. W końcu, co być może najważniejsze, sami Białorusini nadal żyją w większości w kulturowej przestrzeni rosyjskiego mira. Zdecydowana większość mieszkańców Białorusi mówi na co dzień po rosyjsku. W roku szkolnym 2018/2019 naukę w języku białoruskim rozpoczęło tam tylko 10 proc. wszystkich pierwszoklasistów. Większość zwykłych Białorusinów ogląda przeważnie rosyjską telewizję, chodzi do kin na rosyjskie filmy i bawi się przy rosyjskiej muzyce.

PRZELICZANIE BRATERSTWA NA PIENIĄDZE

Strukturalne więzi między dwoma państwami zostały przez lata zakonser-

wowane z dwóch podstawowych powodów. W obu państwach nastąpił odwrót elit, a także społeczeństw od demokratyczno-liberalnego systemu politycznego, co oczywiście skomplikowało relacje z czołowymi państwami zachodnimi, szczególnie w przypadku słabej Białorusi, którą te ostatnie mogły izolować bez większych szkód dla swoich interesów. Po drugie, Moskwa dokładała początkowo finansowych starań, by ściśle więzi z Białorusią podtrzymać. Rosjanie latami sprzedawali zachodniemu sojusznikowi gaz i ropę po cenach znacznie poniżej cen na światowych rynkach. Tania energia z gazu dla przemysłu i pokaźna renta ze sprzedaży po wysokich cenach produktów ropopochodnych uzyskanych z taniego rosyjskiego surowca były główną podstawą przyzwoitego funkcjonowania białoruskiej gospodarki, na której bazie Łukaszenko mógł zbudować system zapewniający dobra publiczne i świadczenia społeczne na poziomie przekraczającym te, z których mogli korzystać zwykli obywatele Rosji. Skala faktycznego rosyjskiego subsydiowania Białorusi była ogromna i nawet w bieżącej dekadzie dochodziła do 10 proc. PKB.

Po objęciu władzy przez Putina jego obóz zaczął, z początku ostrożnie, ale konsekwentnie, podważać ten model relacji. Do pierwszego ostrego sporu o ceny surowców z Mińskiem doszło już w 2004 r. Gazprom wstrzymał wówczas dostawę gazu na 18 godzin. Potem dochodziło do nich regularnie i miały one coraz większe natężenie. Skalę konwersji braterstwa na pieniądze przez Rosjan ukazuje wzrost cen gazu dla Białorusi w latach 2006–2020 z 47 dol. do 127 dol. za 1 tys. m sześć. Także pod względem cen ropy Kreml komercjalizował swojej relacje z sojusznikiem, dochodząc do ceny sięgającej już 83 proc. cen na światowych rynkach. Taki był finał trwających rok, gorszących dla wszystkich partnerów Rosji, przepychanek o nowe zasady relacji po tym, gdy Dmitrij Miedwiediew zaproponował Łukaszenko „pogłębienie integracji”, czyli nadanie faktycznej treści politycznej Państwu Związkowemu. Rosjanie uzależniali preferencje w handlu kluczowymi dla Białorusi węglowodorami od jej zgody na oddanie istotnych kompetencji w ręce organów związkowych. Łukaszenko okazał się jednak twardszy i doczekał do światowej wojny cenowej na rynku ropy oraz pandemii koronawirusa, które

doprowadziły do tąpnięcia cen surowca. W tych warunkach Białorusi łatwiej zdewersyfikować swoje źródła surowców, choć niesie to dla niej koszty, bo ropa rosyjska jest nadal tańsza, a co ważne – czynić całą swoją politykę zagraniczną bardziej wielowektorową.

ZAPADNIK PUTIN

Sprzeczność w polityce zagranicznej obozu Putinowskiego, którą tak dobrze widać na przykładzie Białorusi, polega na próbie prowadzenia imperialnej polityki bez używania imperialnego mechanizmu. Imperium polega bowiem nie tylko na kumulacji w ręku imperialnej elity wielkich zasobów ściąganych z rozległych obszarów. Po przeprowadzeniu tej pierwotnej akumulacji imperium musi bowiem skierować część tych zasobów, ludzkich i materialnych, na utwierdzenie swojej kontroli, ale też lojalności na peryferiach. Marchie muszą być zawsze dobrze doinwestowane, a dodatkowo imperium musi też oferować ich mieszkańcom jakiś model co najmniej stabilnej egzystencji na podstawie jakiejś legitymacji ideologicznej. Pod władzą Putina i jego obozu Rosja przestała oferować większe dobra materialne komukolwiek poza moskiewską oligarchią.

W Polsce często używa się w stosunku do obecnego obozu władzy w Rosji określeń „neoliberalny” czy „neosowiecki”. Żadne z nich nie jest adekwatne. W istocie Putin jest swoistym typem rosyjskiego zapadnika i zmilitaryzowanego neoliberalisty. Zaczynał cywilną karierę w petersburskim ratuszu rządzonego przez sztandarowego rosyjskiego okcydentalistę Anatolija Sobczaka. Był jego zastępcą w 1993 r., gdy Sobczak wspierał Jelcyna, kiedy ten nakazał czołgowy ostrzał opanowanego przez lewicowych nacjonalistów parlamentu. Putin przejął w końcu pałeczkę z rąk jalcynowskiej „familii”. W polityce wewnętrznej putinowska Rosja z podatkiem liniowym, degradacją większości systemów usług publicznych i raczej restrykcyjną polityką banku centralnego stała się państwem powiększającego się rozwarstwienia majątkowego. Po nałożeniu sankcji przez USA i UE średni spadek dochodu realnego w Rosji wyniósł 6 proc., ale dochody kategorii najbogatszych tylko się zwiększyły. Rosja w ręku Putinowskiej oligarchii stała się spółką z ograniczoną odpowiedzialnością.

W polityce zagranicznej Władimir Władimirowicz wpisał rosyjską gospo-

darkę w globalny kapitalizm i przez wiele lat próbował uczynić ją junior-partnerem USA. Poszedł na generalne starcie dopiero po tym, gdy Waszyngton i Bruksela nie uznały nawet jego juniorskich aspiracji do kawałka tortu w Europie Wschodniej, czyli do Ukrainy. Całym przepisem na budowanie pozycji Rosji w relacjach z Europą miało być przywiązanie jej gazo- i ropociągami. Nietrudno jednak zauważyć, że tego rodzaju relacje, w których Rosja oferowała Zachodowi surowce i spokój w zamian za dolary i technologię, były dla niej bardziej uzależniające niż dla partnerów. Obóz putinowski świadomie uczynił Rosję ekonomicznymi peryferiami, w których urządził się właśnie jako peryferyjna elita tym tylko różniąc się od kompradorskich elit krajów postkolonialnych, że dysponująca głowicami jądrowymi i nowoczesną, choć coraz mniej liczną armią.

SWOICH NIE ZOSTAWIAMY, ALE EKSPLOATUJEMY

Jednak to za mało na imperium. Rosja, stając się strukturalnie peryferiami Zachodu, oligarchiczną spółką z o.o., przestała być zdolna do utrzymywania własnych peryferii. Wprost przeciwnie, nie mając przewag konkurencyjnych ani tak wielkiej siły, by narzucać swoje warunki relacji z państwami Zachodu w Europie, Moskwa przeszła do coraz bardziej bezwzględnej eksploatacji własnych sojuszników. Dotyczy to nie tylko Białorusi, lecz także Armenii, której w zeszłym roku podwyższono cenę za gaz o 10 proc., czy nawet separatystycznego Naddniestrza, które Moskwa dociska teraz w kierunku kompromisu z mołdawskimi władzami, by ktoś w końcu zapłacił za gaz tłoczony do Tyraspolu. Ani to imperialne, ani sowieckie. Polakom często bowiem umyka to, że w ramach ZSRS redystrybuowano na wielką skalę środki finansowe, by modernizować republiki środkowoeuropejskie, inwestować w odległe syberyjskie regiony Rosyjskiej FSRR czy czynić z Białorusi okno wystawowe „kraju rad”. Współczesna rosyjska elita, poza subsydiowaniem wiecznego wojenniczego Kaukazu, nie chce albo nie może już prowadzić takiej polityki. Nie skrzykuje nikogo pod sztandarem jakiegokolwiek misji, nikogo niczego nie uczy ani nie dokarmia. Dlatego będzie musiała żegnać się z imperium.



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Czy stać nas na drugi lockdown?

Zapytałem niedawno jednego z prominentnych polityków i zarazem urzędników rządowych, czy Polskę, czyli polskich podatników, bo to przecież oni za wszystko płacą, byłoby stać – w niedługim czasie – na zafundowanie im przez rząd kolejnego lockdownu; czy raczej – zmuszenie ich przez rząd do zafundowania sobie kolejnego lockdownu. Takiego lockdownu jak ten z marca, kwietnia i maja. Odpowiedź mojego rozmówcy była niezwykle zawiła, lecz szybko się zorientowałem, że nie brało się to stąd, iż nie wiedział on, co mi odpowiedzieć, bo choćby z racji sprawowanego urzędu był (i jest) poinformowany tak dobrze jak niewielu ludzi w Polsce. Jego odpowiedź po to była zawiła, żeby jasno nie wyrazić tego, co było z niej i tak nietrudne do odczytania: nie, Polski nie stać na drugi taki lockdown w krótkim czasie.

Inaczej mówiąc, gdybyśmy mieli – bo nie chcę napisać, żeby nie zapeszyć: gdy będziemy mieli – do czynienia z drugą falą ataku COVID-19, powinniśmy się poważnie liczyć z tym, że walka z chorobą będzie musiała przebiegać inaczej niż na początku, że będziemy musieli ją toczyć, nie rezygnując z aktywności zawodowej. Na pewno zatem obowiązywać będą surowe reżimy sanitarne, może lokalne lockdowny, wszelako wszystko to w warunkach normalnego – na ile tylko się da – funkcjonowania firm. A to dlatego, że podatnicy – czyli my sami – nie byłoby w stanie

udźwignąć w krótkim czasie drugiego takiego ciężaru, czyli – nie inaczej – kolejnego gigantycznego długu, podobnego do tego, który rząd zrzucił im na barki w marcu, kwietniu i maju 2020 r. I który będą – będziemy! – musieli spłacać przez wiele kolejnych lat.

A jeśli tak – jeśli się okaże, że da się tę walkę toczyć w bardziej wolnościowy sposób – to może błędem, a w każdym razie czymś niekoniecznym było zaordynowanie Polakom także pierwszego lockdownu? Nie cierpię na ahistoryzm i doskonale pamiętam ową ciężką, „epidemiczną” atmosferę pierwszych dni po pierwszym wzroście liczby przypadków COVID-19 w Polsce, pamiętam uczucie grozy, które rozdziły informacje napływające z Włoch, i oczywiście nie mam skłonności do zrzucania na kogoś winy za błędy, które wówczas wcale nie musiały za takie uchodzić (a i dziś nie muszą za nie uchodzić), ani tym bardziej do poszukiwania na siłę winnych. Nadto nie zapominam o ostrej walce politycznej toczącej się w Polsce i kampanii prezydenckiej, która ją wzmacnia i która utrudniałaby rządowi walkę z COVID-19 za pomocą mniej restrykcyjnych środków. Piszę o tym jedynie po to, by poddać pod rozważenie politykom – rządzącym i opozycyjnym – czy nie warto zachować w chwilach podejmowania decyzji o tak daleko idących konsekwencjach – w tym przypadku: o tak daleko idącym lockdownie – nieco więcej zimnej krwi. ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Po co przepłacać?

Było kiedyś niegłupie hasło reklamowe: „Jeśli nie widać różnicy, to po co przepłacać?”. Niegłupie, bo opisujące pewien ogólny problem: po co ponosić dodatkowy koszt, jeśli ten koszt nie tworzy żadnej jakościowej, odczuwalnej różnicy? I to właśnie pytanie należałoby zadać rządowi w miarę odmrażania kolejnych sektorów gospodarki.

Krzywa zachorowań w Polsce od końca marca tkwi na tym samym mniej więcej poziomie

To, że niemal wszystkie rodzaje firm będą mogły już wkrótce działać, z kinami i teatrami, a nawet basenami łącznie, to oczywiście bardzo dobrze. Pozostają tylko bardzo uciążliwe i utrudniające planowanie wakacji zamknięcie granic oraz absurdałne zawieszenie ruchu lotniczego (w Europie zrobiła to tylko Polska). Ale może i to zniknie szybciej, niż rząd zapowiada. Można zresztą rządzących pochwalić, że od pewnego momentu przyjęli szybkie tempo odmrażania, choć bywa, że zakładany reżim sanitarny jest dla firm uciążliwy. W wielu przypadkach jest jednak uzasadniony, a lepiej przecież

odmrozić się w reżimie niż w ogóle.

Jest jednak problem, który przejawia się w krzywej zdiagnozowanych zachorowań. Otóż ta krzywa od końca marca tkwi na tym samym mniej więcej poziomie. 28 marca mieliśmy pierwszy raz powyżej 200 zdiagnozowanych zakażeń – dokładnie 249. Dwa miesiące później, 26 maja, było ich 443. Pod koniec marca wszystko było głęboko zamrożone. Od tego czasu następowało stopniowe rozmrażanie, ale też ludzie coraz mniej chętnie stosowali się do wytycznych. Maseczki szybko stały się fikcją na ulicach, dwa metry odstępu to całkowicie martwy przepis. Od ostatniego dużego odmrożenia po majowym weekendzie minęło już więcej czasu, niż trwa czas od zakażenia do zachorowania – i nic. Żadnego efektu, negatywnego czy pozytywnego.

Innymi słowy – czy wszystko stało i nie działało, czy wszystko działa już niemal normalnie, wpływu na liczbę zakażeń nie widać. Profesor Robert Flisiak, prezes Polskiego Towarzystwa Epidemiologów i Lekarzy Chorób Zakaźnych, stwierdził w jednym z wywiadów: „Jeśli się okaże, że mimo iż odmrażamy, gdy jest stała liczba zachorowań, a te zachorowania nie wzrosną, to będzie to być może znaczyło, że te obostrzenia w ogóle nie były potrzebne”. A wtedy pojawiają się dwa ważne pytania: o to, jakie były podstawy decyzji o restrykcjach i o odpowiedzialność polityczną. ©©

Gdzie jest w tym wszystkim rzecznik MŚP?

Swiatło dzienne ujrzała właśnie czwarta wersja tzw. Tarczy Anty kryzysowej i wcale nie oznacza to przecież, że ostatnia. Bardzo możliwe, że rząd w tej sprawie nie powiedział jeszcze ostatniego słowa. Nie zmienia to faktu, że od samego początku tworzenia rozwiązań pomocowych dla przedsiębiorców – abstrahując na razie od skuteczności i sensowności tych rozwiązań – jedno się nie zmienia. Konsekwentne pomijanie Adama Abramowicza, czyli rzecznika małych i średnich przedsiębiorców, przy wszelkich



Krzysztof Budka, ekspert Rady Gospodarczej Strefy Wolnego Słowa

konsultacjach w ramach tych wszystkich tarcz. Doszło do tego, że rząd zaprosił do tych konsultacji chyba już wszystkich, łącznie z prezesem Urzędu Ochrony Konkurencji i Konsumentów. Ale rzecznika MŚP nie. Dlaczego?

Sytuacja kompletnie niezrozumiała. Na swój sposób byłaby pewnie nawet kuriozalna i lekko zabawna – biorąc pod uwagę to, że to właśnie ten rząd (znaczy PiS-owski) wymyślił to stanowisko i powołał na nie

Abramowicza – gdyby nie to, że w sytuacji zamrożenia gospodarki nikomu do śmiechu raczej nie jest. Tym bardziej że Abramowicz wraz z całą Radą Przedsiębiorców przy Biurze Rzecznika MŚP, którą sam „zbudował”, a która składa się już z 210 organizacji zrzeszających polskich przedsiębiorców, powinien być osobą nadającą ton w tworzeniu tych wszystkich pomocowych rozwiązań w ramach tarczy. I, jak sam mówi, wtedy niepotrzebne byłyby tarcze numer 2, 3, 4, bo porządnie zostałyby przygotowane już ta pierwsza.

W marcu, pytany przez mnie o to, czy brał udział w przygotowaniach pakietu antykryzysowego, dyplomatycznie odpowiedział: – Bardzo chętnie wziąłbym w nich udział, ale nie dostałem do konsultacji propozycji w tym pakiecie zawartych. Natomiast jak już pakiet został ogłoszony, od razu bardzo energicznie przystąpiliśmy do prac nad nim. Wspólnie z ponad 200 organizacjami, które zrzesza Rada Przedsiębiorców przy Rzeczniku MŚP.

W maju, gdy rozmawialiśmy przy okazji dyskusji o tym, czy 1 lipca to realny termin na całkowite odmrożenie gospodarki – o co notabene zaapelował w liście do premiera właśnie Abramowicz – już w dyplomacie się nie bawił. – Nie potrafię zrozumieć, dlaczego rząd nie korzysta z pomocy rzecznika MŚP, którego sam powołał! Ogromnie jestem zdziwiony tym, że ani razu nie zostałem zaproszony przez rząd do konsultacji związanych z tworzeniem rozwiązań pomocowych dla przedsiębiorców. Przecież to ten rząd zaproponował Konstytucję Biznesu i urząd Rzecznika MŚP. Gdyby posłuchano naszych propozycji, byłoby dużo mniej błędów w Tarczy Antykryzysowej i nie trzeba byłoby tworzyć jej kolejnych wersji – stwierdził.

I zwrócił uwagę na jeszcze jeden ciekawy aspekt – otóż wszystkie rozwiązania rząd konsultował z organizacjami wchodzącymi w skład Rady Dialogu Społecznego, którą – jak się wyraził – „wymyślił poprzedni prezydent”, natomiast z organizacjami zrzeszonymi przy rzeczniku MŚP już nie. Dlaczego?

Zdziwienie jest tym większe, że kryzys związany z koronawirusem i zamrożeniem gospodarki to chyba najlepszy moment na to, by Abramowicz mógł się wykazać i udowodnić, że w roli rzecznika MŚP jest potrzebny. Jeśli kiedykolwiek jego głos i głos przedsiębiorców, których jest reprezentantem i dla których jest łącznikiem z władzą, powinien być przez tę władzę słuchany, to właśnie teraz. Bo jeśli sprowadzimy to stanowisko wyłącznie do roli kogoś, kogo rząd nie traktuje poważnie i komu zostaje w zasadzie tylko pisanie listów i apeli do premiera czy poszczególnych ministrów, to istnienie Biura Rzecznika MŚP nie ma najmniejszego sensu. Kolejny urzędniczy kwiatek do kozucha nie jest nam do niczego potrzebny.

I jeszcze jedno – Abramowicz to przedsiębiorca z krwi i kości. Zna ten świat i jego problemy od podszewki. Próżno w gronie twórców i współtwórców kolejnych wersji Tarczy Antykryzysowych znaleźć kogoś z tak bogatym biznesowym doświadczeniem. Pełno tam urzędników, polityków i innych teoretyków. Tym bardziej choć jeden praktyk by się przydał.

**Autor jest ekspertem Rady
Gospodarczej Strefy Wolnego Słowa.
www.radagospodarcza-sws.pl
www.fpg24.pl**

**Rada Gospodarcza
STREFA WOLNEGO SŁOWA**

ŁUKASZ MAJCHRZYK: Co oznacza dla pana zwycięstwo nad Magnusem Carlsenem w turnieju szachów szybkich Lindores Abbey Rapid Challenge?

JAN-KRZYSZTOF DUDA, POLSKI ARCYMISTRZ SZACHOWY: O tym, żeby pokonać Carlsena w dowolnej partii, marzy każdy szachista na świecie. Dla mnie jest to po prostu ważny punkt w karierze. Zresztą bilans ostatnich trzech pojedynków między nami wypada na moją korzyść: remis w szachach klasycznych, remis w błyskawicznych i ostatnia wygrana w szybkich. Trzeba pamiętać, że wcześniej trzykrotnie z nim przegrałem. Na to, aby zmierzyć się z Magnusem, pracowałem całe życie, a to nie jest takie proste, bo on grywa tylko w elitarnych superturniejach. Wyjątek robi dla mistrzostw świata w szachach szybkich i błyskawicznych, więc żeby z nim grać, muszę albo się do takiego superturnieju dostać (a jest to zadanie ekstremalnie trudne), albo świetnie grać w MŚ w szachach szybkich i błyskawicznych, a to chyba równie trudne.

Czy to coś zmienia w pana karierze?

Myślę, że niewiele, bo ja mam dość jasny cel: zagrać w meczu o mistrzostwo świata i go wygrać. Natomiast ta wygrana jest kolejnym krokiem milowym, który wykonałem w tym kierunku. Na pewno nie jest to najważniejsze pojedyncze zwycięstwo. Wyżej stawiam choćby wygraną z byłym mistrzem świata Rosjaninem Władimirem Kramnikiem rok temu w Holandii w Wijk aan Zee czy też wygrane z Fabiano Caruaną, z Hindusem Viswanathanem Anandem – też byłym mistrzem świata – albo Maxime'em Vachierem-Lagrave'em podczas Grand Chess Tour w Paryżu. Zwycięstwo nad Carlsenem jest w pewnym sensie wyjątkowe, bo brakowało mi tylko tego jednego „skalpu”.

Jak pana zwycięstwo zostało odebrane w środowisku szachowym?

Polscy szachiści kibicują mi i na pewno się ucieszyli, bo rzadko Polacy mają szansę zagrać z mistrzem świata. Pięć lat temu Carlsena pokonał Radek Wojtaszek w partii klasycznej i to jest moim zdaniem jeszcze większe zwycięstwo. Natomiast zaskoczyło mnie zainteresowanie mediów. Pierwszy raz w życiu przeżyłem taką inwazję dziennikarzy. Trochę mnie to niestety zdeprymowało, bo zamiast utrzymać koncentrację, zacząłem udzielać wywiadów. Niestety



FOT. MAREK LISIŃSKI/REPORTER

Marzenie każdego szachisty



Z Janem-Krzysztofem Dudą, polskim arcymistrzem szachowym rozmawia Łukasz Majchrzyk

zapłaciłem za to następnego dnia. To jest dla mnie nauczka. Koniec końców bardzo się cieszę z tego zainteresowania, bo takiej promocji szachów w kraju dawno nie było. I to, że mi turniej nie wyszedł, jakoś przeboleję.

Jak to zwycięstwo może pomóc w walce o najwyższe cele?

W tej chwili dla mnie najważniejsze jest granie z elitą. To nie jest takie proste, bo sama dobra gra nie wystarczy. Turniejów jest mało i są obstawione przez zawodników z krajów, które je organizują. Oni się generalnie wymieniają zaproszeniami, a ja nie mam nic do zaoferowania, bo Polska nie organizuje żadnego ważnego turnieju. Mój sztab dwoi się i troi, walcząc o miejsce w superturniejach, ale jest to bardzo trudne. Na ten sam problem natknął się Radek Wojtaszek, co na pew-

no utrudniło mu karierę. Ja się jednak nie poddaję i będę po prostu robił wszystko, co w mojej mocy, abym przynajmniej sportowo nie odstawał od czołówki, i może, jeśli uda mi się wejść do czołowej dziesiątki światowego rankingu, to będę częściej z nimi grał. Generalnie zdany jestem sam na siebie. Polski Związek Szachowy dużo mi pomógł w czasach juniorskich – szczególnie Akademia Szachowa i jej dyrektor Agnieszka Fornal-Urban – jednak PZSzach teraz, kiedy jestem już na takim wysokim poziomie, nie jest w stanie nic zrobić. Ma mnóstwo swoich problemów, ponieważ szachy nie są sportem olimpijskim. To też był powód, dla którego nie zostałem powołany do programu Ministerstwa Sportu i Turystyki Team 100. Jest mi z tego powodu trochę przykro, ale rozumiem, że takie są decyzje ministerstwa.

MAM WIELE PROBLEMÓW, BO SZACHY NIE SĄ SPORTEM OLIMPIJSKIM

Czym różni się gra w szachach błyskawicznych od tych klasycznych?

Szachy klasyczne są najważniejszym typem szachów, jednak popularność szachów szybkich i błyskawicznych rośnie bardzo szybko. Dlatego wprowadzono dla nich oddzielne rankingi międzynarodowe FIDE. Grywamy też szachy superbłyskawiczne (jednominutowe), ale tu rankingu nie ma. Klasyki są na najwyższym poziomie jakościowym – na moim poziomie praktycznie jeden drobny błąd decyduje o wyniku. Za to w szachach szybkich i błyskawicznych liczy się intuicja. Jest też tam pewien margines błędu i przyzwolenie na zwiększone ryzyko. Po prostu nie da się wszystkiego policzyć i trzeba ufać instynktowi. Dodatkowo kluczowa jest inicjatywa, nawet kosztem gorszych posunięć. Ja jestem zawodnikiem uniwersalnym, ale w szachach błyskawicznych jestem na razie najwyżej notowany. Zajmuję szóstą pozycję na świecie. To już jest wierzchołek elity. Sprzyja mi chyba mój odważny i bezkompromisowy styl gry. Szczepnie mówiąc, na razie chcę być mistrzem świata w dowolnej odmianie szachów, ale docelowo marzę o tytule w klasykach. Jeden tytuł mistrza świata – juniorów – już mam, bo zdobyłem go w wieku 10 lat w Wietnamie.

Co powinien pan zmienić w swojej grze, żeby w szachach klasycznych wejść na poziom, który pozwoli grać w turnieju pretendentów?

Na tym poziomie już chodzi o detale. Pracuję ciężko nad początkami partii, bo to jest kluczowa sprawa, aby po debiucie [czyli otwarciu partii – przyp. red.] dostać pozycję do grania. Jak się nie zna debiutów, to niestety pozostaje gra w defensywie, czego ja akurat nie lubię. Siłę gry mam, w pozostałych fazach partii czuję się względnie dobrze. Ale te debiuty – to żmudna, nudna i niekończąca się praca... Czasami trwa to po kilkanaście godzin dziennie. Z reguły raz wykorzystana nowinka debiutowa staje się własnością publiczną, trzeba więc je szykować tylko na najważniejsze pojedynki. Drugą, moim zdaniem najważniejszą obecnie rzeczą jest stała możliwość rywalizacji z Carlsenem, Caruaną, Dingiem Lirenem czy Vachierem-Lagrave'em, o czym już mówiłem. Muszę być zapraszany na elitarne turnieje, a to już szachowa polityka, i to międzynarodowa. No i wreszcie najprostsze, czyli muszę się do turnieju pretendentów dostać – a te ścieżki są skomplikowane, ale nie nierealne.

Obecnie szachy są opanowane przez komputery. Jak wygląda pana zaplecze informatyczne?

To jest trochę tajemnica, bo konkurenci chcieliby to wiedzieć. Jeśli chodzi o sprzęt komputerowy, to wstydu nie ma. Pomógł mi polski oddział Intel'a i mam całkiem niezły sprzęt, ale bardzo chciałbym spróbować skorzystać z superkomputera, np. Prometeusza z krakowskiego Cyfronetu, o którym czytałem w „Dzienniku Polskim”.

Ma pan swój sztab?

Sztab mam – to parę osób z mamą na czele, które dbają o wszystko, co nie jest związane z treningiem i graniem w szachy. Szczególną rolę odgrywa moja uczelnia – krakowska AWF, z którą związany jestem od 15. roku życia. Wiele osób, zaczynając od rektora, dba o to, abym od strony fizycznej był w formie, a dodatkowo wspiera mnie wspaniała psycholog, pani profesor Małgorzata Siekańska.

Dbą pan o kondycję fizyczną?

Generalnie lubię sport jako taki i nie trzeba mnie do niego gonić, ale np. nie przepadałem za piłką nożną, w którą gra wielu szachistów – w tym Carlsen. Podczas studiów na AWF się zламаłem i zacząłem grać, może dlatego mi się spodobało, że robię to pod okiem doświadczanego profesora, też o nazwisku Duda (Śmiech).

W jakim stylu gry czuje się pan najlepiej?

Uważam się za zawodnika uniwersalnego, jednak preferuję partie dynamiczne, wymagające kreatywności i odwagi w podejmowaniu decyzji. To jest moja bardzo silna strona. Po finale Grand Prix FIDE mój pogromca Aleksander Griszczuk powiedział, że w grze środkowej jestem silny jak komputer. Jednak te debiuty... Partia składa się z trzech faz: debiut trzeba znać na pamięć czasami nawet do 20. posunięcia, potem jest gra środkowa, która jest czymś z reguły niepowtarzalnym i wtedy trzeba być kreatywnym, jednocześnie „widząc już końcówkę”, którą znowu trzeba znać na pamięć. Tak więc wszystko rozgrywa się w grze środkowej. Do tego dochodzi presja czasu, bo zegar nieustannie tyka i zabiera czas, którego jest zawsze za mało. Aby zrozumieć szachy, trzeba niestety znać zasady. Nie tylko ruchy, ale podstawy strategii i taktyki. To jest tak jak z matematyką. Bez podstaw algebry niczego się nie zrozumie. Dlatego trudno trochę opowiadać o szachowej partii osobom spoza tego sportu. Norwegowie

się tego nauczyli i u nich szachy są tak popularne jak sporty zimowe, a Carlsen potrafił wygrać plebiscyt na najlepszego sportowca roku przed narciarzami. U nas szachiści nawet nie są rozważani w takich plebiscytach. Wyjątek stanowi Małopolska, gdzie co roku jestem nominowany do tytułu Sportowca Roku „Dziennika Polskiego”. Kiedy zostałem wicemistrzem świata w szachach szybkich w Petersburgu, będąc jeszcze juniorem, to organizatorzy plebiscytu na najlepszego sportowca Polski w ogóle nie rozważali mojej kandydatury. Przykro mi się trochę zrobiło, bo to jest największe osiągnięcie w polskich szachach powojennych.

Mówią, że gra pan widowiskowo. Co to właściwie znaczy?

Za to kibice lubią moje szachy. Gram odważnie, zawsze o zwycięstwo, bez zahamowań, czasami nawet może i zbyt brawurowo, ale to się wspaniale ogląda, a w dodatku w moim przypadku jest to bardzo skuteczne. Większość szachistów gra zachowawczo i próbuje grać z kontrataku, czekając na atak przeciwnika. Dlatego jest tak dużo remisów. U Dudy ich aż tak dużo nie ma. Teraz nauczyłem się dobierać styl do rywala, ale dalej preferuję „ogień na szachownicy” i z tym dobrze się czuję. Poza tym wyrobiłem w sobie swego rodzaju „siłę spokoju” – co nie było takie proste, bo jako dziecko byłem bardzo emocjonalny. Dzisiaj niedoczas to moja broń i może dlatego tak dobrze idzie mi w szachach szybkich i błyskawicznych, gdzie odnoszę największe sukcesy. © Wszelkie prawa zastrzeżone

Jan-Krzysztof Duda ma 22 lata. Zajmuje 16. miejsce w rankingu szachowym FIDE i jest najwyżej sklasyfikowanym Polakiem. Już w wieku 10 lat został młodzieżowym mistrzem świata, a tytuł szachowego arcymistrza uzyskał w 2013 r., w wieku 15 lat i 21 dni. Był wtedy drugim najmłodszym szachistą tej rangi na świecie, po Chińczyku Wei Yi. W 2018 r. zdobył mistrzostwo Polski i wystąpił na olimpiadzie szachowej w Batumi, gdzie Polacy zajęli czwarte miejsce. W tym samym roku został wicemistrzem świata w szachach błyskawicznych podczas turnieju w Sankt Petersburgu. Złoty medal zdobył wtedy Magnus Carlsen – najlepszy i najbardziej utytułowany szachista ostatnich lat. Norweg jest mistrzem świata w szachach klasycznych, szybkich i błyskawicznych. W czasie pandemii COVID-19 zorganizował cykl turniejów internetowych – jedną z imprez było Lindores Abbey Rapid Challenge, podczas której pokonał go Jan-Krzysztof Duda.

KATARZYNA PINKOSZ: Polska była jedynym krajem na świecie, którego lekarze walczyli z koronawirusem nie tylko w swoim kraju, lecz także we Włoszech czy w USA. Dlaczego Wojskowy Instytut Medyczny zdecydował się na takie misje? Misja w Lombardii odbywała się, gdy był tam szczyt zachorowań.

GEN. PROF. GRZEGORZ GIELERAK: Była to misja humanitarna, chcieliśmy pomóc Włochom w najtrudniejszym okresie, a także uzyskać wartościowe informacje dotyczące sposobu organizacji systemu ochrony zdrowia w warunkach epidemii oraz poznać procedury medyczne: jak leczyć, jak izolować chorych.

Włosi bardzo szybko opracowali wiele metod postępowania z chorymi. U nich powstały pierwsze europejskie kompleksowe wytyczne dotyczące leczenia. Te informacje na bieżąco przesyłali nam uczestnicy misji. Mieliśmy informacje z pierwszej ręki, niezwłocznie je implementowaliśmy w praktyce klinicznej.

W Polsce nie było jeszcze wówczas żadnych wytycznych, jak leczyć COVID-19.

Leczenie to nie tylko farmakoterapia, lecz także wiele zaleceń, np. dotyczących diagnostyki, sposobu prowadzenia wentylacji: w tym przypadku sprawdzała się wentylacja prowadzona u pacjenta leżącego na brzuchu, ale też trzeba było wiedzieć, jak ją stosować. Misja włoska miała też na celu poznanie aspektu organizacyjnego. Włoska służba zdrowia w ciągu trzech dni została sparaliżowana, ponieważ tak dużo osób zakażonych napłynęło do szpitali. Dopiero na nowo podjęte działania organizacyjne opanowały sytuację. W szpitalach byli leczeni wyłącznie chorzy wymagający wspomagania oddychania, pozostali byli w domu, nadzorowani przez lekarzy rodzinnych. Włosi wypracowali wiele procedur służących ocenie stanu zdrowia pacjenta, pozwalających rozpoznać ewentualne ryzyko pojawienia się niewydolności oddechowej: np. krótki wywiad telemedyczny, prosty test liczenia na jednym wydechu do 20 już był jednym z kryteriów oceniających wydolność oddechową. Do tego dochodziła ocena saturacji oraz rewelacyjny model diagnostyczno-prognostyczny oparty na zdjęciu RTG klatki piersiowej.

My jeszcze wtedy nie wiedzieliśmy, jak bardzo podstępnie przebiega ta choroba. Gdy w naszym szpitalu zaczęli pojawiać się na SOR pacjenci z COVID-19, wszyscy lekarze mówili: „Nigdy w życiu czegoś takiego nie widziałem”. Widać



Z gen. prof. Grzegorzem Gielera-kiem, dyrektorem Wojskowego Instytutu Medycznego rozmawia Katarzyna Pinkosz

Nie można biernie czekać

było ogromną dysproporcję między samopoczuciem chorego – generalnie dobrym – a bardzo złymi wynikami badań, takich jak RTG klatki piersiowej czy ocena utlenowania krwi.

Chorzy nie czuli, w jak bardzo złym stanie byli?

Nie czuli, a w ciągu kilkunastu minut mogli znaleźć się pod respiratorem. Dzięki misji włoskiej wiedzieliśmy, że chory z określonym obrazem radiologicznym płuc jest pacjentem bardzo wysokiego ryzyka, trzeba go zostawić w szpitalu, najlepiej na oddziale intensywnej terapii. Dzięki tej wiedzy na pewno uratowaliśmy wiele osób. I własne sumienia, ponieważ nikt z naszych pacjentów nie został odesłany do domu z powodu tego zwodniczego obrazu choroby.

Jeszcze zanim pojawiły się zalecenia amerykańskie, pojawił się standard Brescii, czyli szpitala, w którym byliśmy podczas misji. Włosi zwrócili uwagę, że

pacjenci wychodzący z niewydolności oddechowej, zdrowiejący, nagle zaczęli umierać. Powodem była zatorowość płucna. Zaskakujące było to, że u wszystkich stosowano profilaktykę przeciwkrzepliwą. Stąd wniosek Włochów, który stosowaliśmy u nas, że chorzy wymagają nie profilaktycznych, tylko leczniczych dawek leków przeciwkrzepliwych. To zupełna nowość, w żadnej chorobie tak nie postępujemy.

Medycy z WIM byli też na podobnej misji w szpitalach amerykańskich.

Misja w Stanach miała charakter ekspercki, oparty na wzajemnej wymianie doświadczeń. Byliśmy dla Amerykanów cennym partnerem, ponieważ mieliśmy już doświadczenia z Włoch. Z naszej perspektywy podziw budziło podejście Amerykanów do zarządzania koronakryzysem. Byliśmy też na misji w Słowenii. Obejmowała zarządzanie epidemią na



poziomie strategicznym, w tym ocenę gotowości struktur państwa do reagowania kryzysowego. Słowenicy mieli ciekawe doświadczenia dotyczące m.in. zarządzania kryzysem w domach opieki społecznej. Jeśli pojawiały się tam masowe zachorowania, to zakażonych nie przenoszono do szpitala, tylko szpital organizowano w tym ośrodku. Już na starcie przygotowano zespoły medyczne pod kątem udzielania pomocy w tego typu miejscach.

Wydaje się, że jesteśmy po pierwszym kryzysie spowodowanym SARS-CoV-2, choć w Polsce krzywa zachorowań nie spada. Mamy się spodziewać kolejnej fali jesienią? Jak się do niej przygotować?

Niestety, mamy ogniska zakażeń i możemy liczyć się z tym, że nadal będą się pojawiać, a to oznacza, że stwarzamy wirusowi warunki do przetrwania do jesieni. Mam nadzieję, że uda nam się doprowadzić do takiej sytuacji, że będziemy skutecznie walczyć z epidemią: musimy zacząć eliminować ryzyko zakażeń ogniskowych.

Jak to zrobić?

Zmiany powinny dotyczyć miejsc najwyższego ryzyka, takich jak duże zakłady pracy. Gdy w takim miejscu pojawi się nawet tylko jedna osoba zakażona, wirus będzie szybko się rozprzestrzeniać. Te miejsca powinny być objęte szczególnym nadzorem. Po drugie, powinniśmy zacząć więcej korzystać z krajowego rejestru

Jeśli chodzi o walkę z epidemią, to z pozycji lidera bardzo szybko przesuwamy się na pozycję outsidera.

Zbyt wiele miejsca zostawiamy przypadkowi

pacjentów z COVID-19: już dziś może on dać cenne informacje na temat tego, gdzie mogą znajdować się potencjalne grupy ryzyka. Możemy też wykorzystywać nowe technologie – jeśli okaże się, że dana osoba ma rozpoznane zakażenie, to za pomocą mobilnych aplikacji jesteśmy w stanie szybko dotrzeć do osób, które miały z nią kontakt. Tak walczyli z epidemią Koreańczycy.

Kolejny etap strategii to prowadzenie masowych testów przesiewowych, ale w sposób ukierunkowany na grupy zwiększonego ryzyka zapadalności i rozprzestrzeniania się wirusa. Takie miejsca należy objąć bardziej szczegółowym nadzorem sanitarnym, w tym testować na obecność koronawirusa. W ten sposób mamy szansę ograniczyć ryzyko jego transmisji i reprodukcji.

Nie możemy biernie czekać na tzw. drugą falę jesienią?

Najgorszą rzeczą, którą możemy zrobić, to biernie czekać. Niestety, jeśli chodzi o walkę z epidemią, to z pozycji lidera – bo gdy podejmowaliśmy decyzję o zamknięciu granic, ograniczeniu mobilności, wprowadzeniu dystansowania się, wiele innych krajów w Europie jeszcze przyglądało się rozwojowi sytuacji, a niektóre wręcz nas krytykowały – dziś bardzo szybko przesuwamy się na pozycję outsidera. Zbyt wiele miejsca zostawiamy przypadkowi. Mamy obowiązek działać tu i teraz, wykorzystując wszystkie narzędzia, którymi dysponujemy. A jeśli nimi nie dysponujemy, to mamy jeszcze kilka miesięcy, by je stworzyć. Gdy wejdziemy w okres jesienno-zimowy, kiedy koronawirus może krzyżować się z grypą, to nie będziemy mieć już tak komfortowej sytuacji, która była w marcu, kiedy wychodziliśmy z okresu zimowego. Dlatego dziś powinniśmy zrobić wszystko, by wyeliminować wirusa z naszego otoczenia i stworzyć warunki do spokojnego wejścia w okres jesienno-zimowy.

Szwedzi, Niemcy idą inną drogą: w kierunku osiągnięcia jak najwyższego wskaźnika odporności populacyjnej. Szwedzi nie zabezpieczyli jednak głównych grup ryzyka, stąd mają blisko 30–50-procentową śmiertelność w domach spokojnej starości. Niemcy tego błędu nie popełnili. Oni już dziś mają nieporównywalnie wyższy niż my odsetek osób mających przeciwciała.

Możemy mieć sytuację, że w Niemczech pojawi się odporność zbiorowa, a my będziemy mieć wciąż pełzającą epidemię?

Tak, dlatego że poszliśmy ścieżką izolacji. Jest ona jedną z form walki, jednak ograniczamy w ten sposób szansę na nabycie odporności populacyjnej. Skoro tak, to musimy wykorzystać wszystkie sposoby eliminacji wirusa z naszego środowiska. Na pewno nie wolno nam czekać i mówić, że ogniska takie jak na Śląsku będą się zdarzać. Będą, jeśli nie będziemy nic robić. A to nie jest dobre, bo oznacza, że wirus jeszcze długo będzie dla nas – naszego zdrowia oraz bezpieczeństwa, stabilności państwa – stanowił poważne zagrożenie.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



gen. dyw. prof. dr hab. n. med. Grzegorz Gielera – jest specjalistą chorób wewnętrznych i kardiologiem, dyrektorem Wojskowego Instytutu Medycznego.

RYCERZE I WARCHOŁY

Paszport na drogę Morsztynowi



JACEK KOMUDA

Jan Andrzej Morsztyn, urodzony w 1621 r. w Raciborsku, znany jest dzisiaj bardziej z lekcji języka polskiego niż z pocztu zdrajców I Rzeczypospolitej. Rzadko kiedy wspomina się, że ten wspaniały barokowy poeta, autor zbiorów poezji „Lutnia” oraz „Kaniukuła albo Psia Gwiazda”, w których znalazło się wiele śmiałych erotyków, skończył na wygnaniu jako bohater afery politycznej z czasów Jana III Sobieskiego.

Morsztyn, syn arianina, w wieku dojrzałym przeszedł na katolicyzm, a wcześniej odebrał staranne wykształcenie na uniwersytecie w Lejdzie. Od młodości związany był z rodziną Lubomirskich; dzięki ich protekcji został dworzaninem królewskim, od 1656 r. sekretarzem Jana Kazimierza. Dwa lata później był już referendarzem koronnym, a od 1668 r. podskarbiem wielkim koronnym. Morsztyn był jednym z najaktywniejszych działaczy i zwolenników stronnictwa profrancuskiego. Pobierał zresztą znaczną pensję od ambasadora Ludwika XIV i w zamian popierał elekcję „vivente rege”, forsowaną przez króla, a odrzuconą ostatecznie przez sejm Rzeczypospolitej.

Morsztyn pozostał zwolennikiem Francji i po abdykacji Jana Kazimierza był w jednym obozie razem z hetmanem wielkim koronnym Janem Sobieskim, którego wybór na króla także poparł. Jednak przed 1680 r. drogi podskarbiego i władcy kompletnie się rozeszły. Jan III Sobieski, niegdyś filar stronnictwa francuskiego, na skutek zagrożenia tureckiego zbliżył się do Austrii, stając się wrogiem dotychczasowych sojuszników. Najpotężniejszą postacią reprezentującą interesy Ludwika XIV nad Wisłą został zatem podskarbi, a jego sprzeciw i intrygi mogły pokrzyżować antyturecką politykę króla, gdyż pamiętajmy, że Francja była największym wrogiem



FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Habsburgów i sprzymierzeńcem sułtanów. Nie chciała dopuścić do zawarcia przymierza między Rzeczpospolitą i Austrią, którego ostatecznym rezultatem stała się odsiecz wiedeńska w 1683 r.

Morsztyn prowadził bardzo niebezpieczną politykę, przyjmując pieniądze od francuskiego ambasadora markiza Francois de Vitry i uzgadniając z nim posunięcia wymierzone w dwór królewski. Już w 1679 r., podczas sprawowania poselstwa we Francji, kupił, jak podaje Zbigniew Wójcik, majątek w tym kraju, otrzymał również posadę sekretarza króla Ludwika XIV. Wywołało to burzę w Rzeczypospolitej, jako że niezwykajne było, aby podskarbi koronny otrzymywał urząd od obcego władcy, jednak zerwanie sejmu w 1681 r. pozwoliło Morsztynowi wyjść z opresji obronną ręką.

Sobieski jednak zamierzał pozbyć się stronnictwa francuskiego, uderzył więc w najważniejszą osobę – czyli w Morsztyna. Przez kilka lat dwór przechwytywał liczną korespondencję podskarbiego z Ludwikiem XIV i ambasadorem. Część z niej była szyfrowana, klucza nie udało się zdobyć, jednak pozostałe materiały wystarczyły, by oskarżyć Morsztyna o zdradę stanu,

nadużycia finansowe w skarbie koronnym, a także próbę detronizacji króla. Wezwany na przesłuchanie ambasador odpowiedział butnie, że może odpowiadać tylko przed swoim królem, i wyjechał do Francji. Morsztyn zaś sądzony był przez sąd sejmowy, gdzie jego sprawa wywołała ogromną wściekłość. Posłowie nie dali mu się wytłumaczyć, krzycząc: „milcz” i „crucifige”, co znaczy „ukrzyżuj”. Co gorsza, król zdołał pozyskać pozostałych członków stronnictwa, takich jak Stanisława Jabłonowskiego, Mikołaja Sieniawskiego i innych, dając im możliwość oczyszczenia się i przekupując urządami. Morsztyn pozostał sam, jako jedyny winny, miał jednak szczęście, bo procedura sejmowa była tak rozwlekła, że zanim doszło do osądzenia go, sejm w marcu 1683 r. odroczył jego proces do przyszłego sejmu z powodu niebezpieczeństwa tureckiego. Podskarbi nie zamierzał czekać na wyrok – spakował manatki i uciekł do Francji akurat wtedy, kiedy Jan III Sobieski maszerował pod Wiedeń, chociaż przed sejmem przysięgał wcześniej, że tego nie uczyni.

Do Polski nie wrócił, objął za to posadę sekretarza Ludwika XIV i zaczął pisać się jako Jean-André comte de Morstein. Nie odegrał już poważniejszej roli politycznej i zmarł w 1693 r., pozostawiając nam liczne frywolne i bardzo, ale to bardzo sprośne erotyki, jak „Paszport kurwom z Zamościa”, a także wiele wierszy, np. sonet miłosny „Do trupa”, znany chyba wszystkim z lekcji języka polskiego. Roli politycznej Morsztyn na szczęście już nie odegrał, pożegnajmy więc tego zdrajcę, szelmę i wybitnego poetę słowami z jego własnego wiersza pt. „Nagrobek Kusiowi”:

**Kuś umarł, kpy w sieroctwie. A cóż będą czynić
I któregoż o tę śmierć z bogów będą winić?** ©

KONIEC systemu

WTOREK 21:30

Zapraszam
Dorota Kania



www.telewizjarepublika.pl

eprasa.pl d29994aa61

ŚNIADANIE KULINARNEGO OLIMPIJCYKA

Nazywam się Maciej Pisarek, jestem srebrnym medalistą Olimpiady Zawodowej WorldSkills 2019 w Kazaniu. WorldSkills to olbrzymia światowa organizacja działająca już kilkadziesiąt lat, mająca za zadanie promować kształcenie zawodowe. W 2019 r. w Kazaniu odbyła się kolejna edycja tego konkursu, gdzie wystąpiło ponad 80 krajów z całego świata w 60 różnych konkurencjach. Ja miałem zaszczyt reprezentować Polskę w dziedzinie gotowania, gdzie konkurowałem z 45 innymi zawodnikami. W czasie mistrzostw jako kucharze musieliśmy zaprezentować nowoczesne techniki kulinarne, a także wykazać się znajomością klasycznych podstaw kuchni francuskiej.

Dzisiaj jednak polecam śniadanie z amerykańskiej kuchni – jajko po benedyktyńsku na angielskim muffinie własnego wypieku.

Jajko po benedyktyńsku:

- jajka w koszulce • sos holenderski • ser cheddar
- plastry boczku • pomidorki cherry • angielskie bułki • sos holenderski

Przygotowanie:

Jajko gotować bez skorupki w osolonej i zakwaszonej octem wodzie do ścięcia się białka. Na patelni grillować pomidorki z dodatkiem oliwy, pieprzu i soli. Na zgrillowanego angielskiego muffina zetrzeć ok. 30 g cheddara, nałożyć pieczony boczek, następnie jajko w koszulce i całość

przykryć puszystym sosem holenderskim. Podawać z pomidorkami.

Muffiny angielskie:

- 200 g mąki typ 720 • 50 g mleka • 60 g wody • 10 g cukru
- 5 g świeżych drożdży • 4 g soli

Przygotowanie:

Mąkę przesiać przez sito. Drożdże rozpuścić z cukrem w mleku i połączyć z resztą składników. Wyrabiać ciasto ok. 8 min, odłożyć do wyrastania i podwojenia objętości. Po odgazowaniu rozwałkować ciasto i powycinać krążki o średnicy ok. 8–10 cm. Odstawić na 30 min, do podwojenia objętości. Rozgrzać patelnię z powłoką nieprzywierającą i na wolnym ogniu opiekąć muffiny do całkowitego wypieczenia ciasta.

Sos holenderski:

- 4 żółtka • 50 ml wina białego
- 250 ml masła klarowanego
- sól • sok z cytryny

Przygotowanie:

Żółtko wbić do miski o szerokim dnie, dodać wino i szczyptę soli. Całość ubijać różgą w kąpieli wodnej. Następnie bardzo cienką strużką wlewać masło, cały czas mieszając, po dodaniu całego masła sos doprawić sokiem z cytryny oraz, jeśli jest to konieczne, dodać wodę do rozrzedzenia konsystencji.

© ©



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Truskawka narodowa

Kiedyś, czyli jeszcze nie tak dawno, wszystko

było prostsze. Jadło się warzywa, mięso, nabiał ze sklepu spożywczego. Wszystko było z Polski. Nikt nie zastanawiał się, czy przypadkiem nasze jedzenie nie przyleciało samolotem z Boliwii.

Trendy żywieniowe? Skąd, ostatecznie zalecenia wydawane przez Instytut Żywności i Żywienia. „Smacznie i zdrowo”, kompendium kuchni polskiej z lat 70., jedna z nielicznych książek kucharskich tamtego okresu, zawierało bardziej receptury niż przepisy. Jedzenie nie zajmowało czasu w prasie i telewizji. Internetu nie było.

W latach 90. i w nowym tysiącleciu czas przyspieszył. Marchewka ze spożywczego przestała wystarczać, pojawiły się: krewetki, awokado, słodkie i kolorowe płatki śniadaniowe.

W następnej dekadzie przebojem weszło latte na mleku sojowym, odkryciem (na nowo, gdyż wcześniej był znany głównie jako ozdoba grobów) okazał się jarmuż, a jedynie słusznym sposobem na życie została dieta wege.

Cieszymy się z granatów, mango i bananów, ale gdy przychodzi do truskawek, kartofli i pomidorów, doznajemy przyływu uczuć patriotycznych. Na zaimprovizowanych straganach przy mojej drodze do domu nad stołem łubianek zachęca klientów wielki napis: „Truskawki polskie”. Podobne napisy na targu.



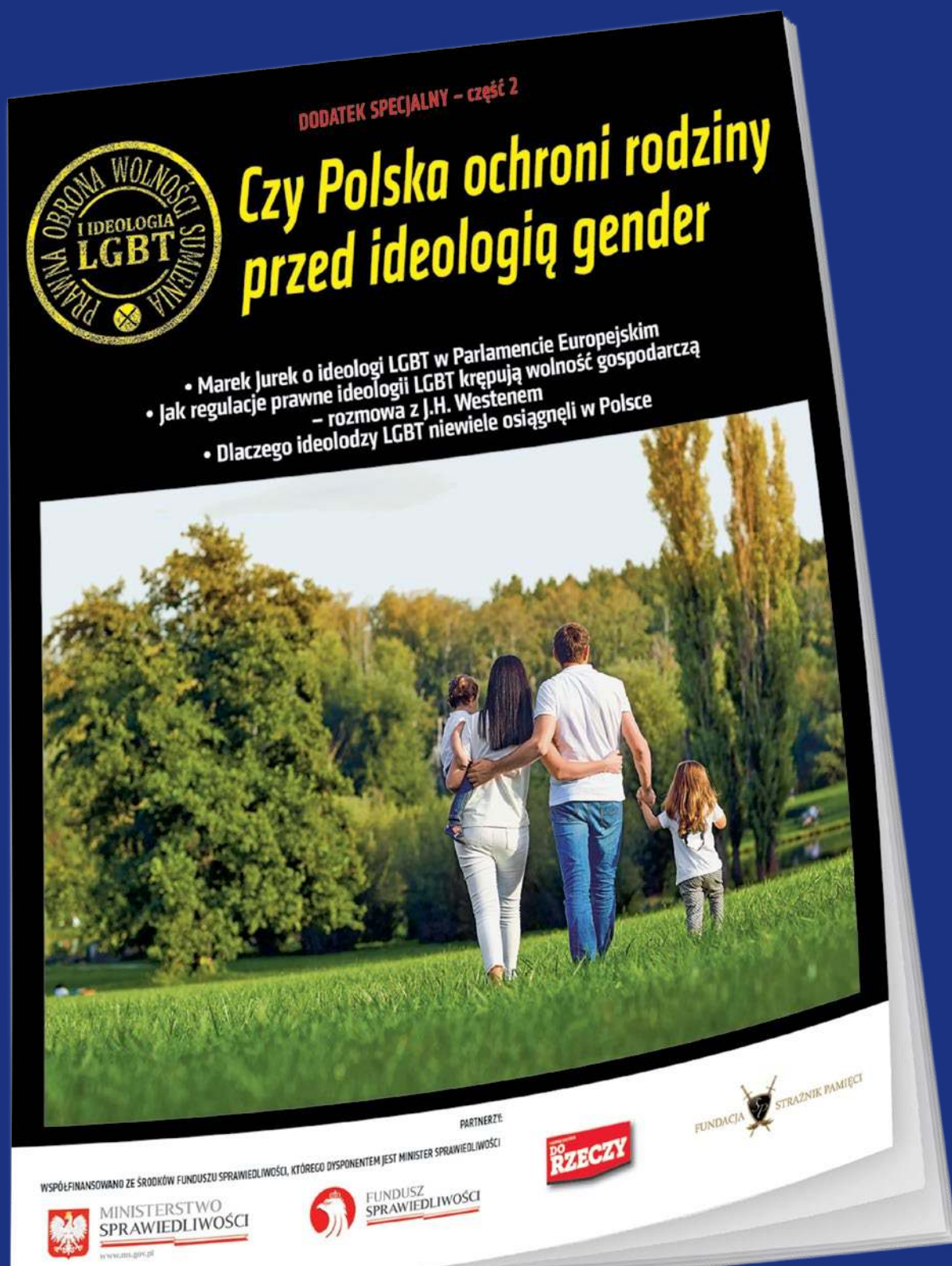
FOI ADRIAN SIOŁK

Nieufność jest uzasadniona. Gdy nasze stoły zaopatrzą supermarket, każdy na własną rękę musi sprawdzać, czy przypadkiem go nie kantują. „Na wywieszce przy stoisku marchwi widniała

»Polska«, w rzeczywistości warzywo pochodziło z Belgii i Holandii, ogórki szklarniowe wyrosły na Ukrainie, kapusta włoska przyjechała z Francji – donosi Urząd Ochrony Konsumentów i Konkurencji, instytucja, która stoi na straży uczciwych praktyk handlowych. Według badań UOKiK 10 proc. towarów w Biedronce jest źle oznakowanych. I zawsze idzie to w jedną stronę: towar zagraniczny podszywa się pod polski. Nigdy odwrotnie.

Widać, jak to się zmieniło. Od fascynacji zagraniczością przeszliśmy do obrony naszych interesów. Nie tylko ekonomicznych, lecz także smakowych. Wierzymy, że polskie jedzenie jest smaczniejsze i zdrowsze. Czy zdrowsze, nie wiadomo, ale wiadomo na pewno, że nie musiało przylecieć samolotem z drugiego końca globu. Badanie Ipsos „Moda na polskość” z 2016 r. pokazało, że 73 proc. Polaków stara się wspierać polską gospodarkę poprzez kupowanie produktów wyprodukowanych w naszym kraju. Kraj pochodzenia ma największe znaczenie przy wyborze żywności – aż 76 proc. ankietowanych wskazało, że wolałoby wybrać produkt polski niż zagraniczny. © ©

Już 8 czerwca w „Do Rzeczy” dodatek



WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPOONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI



MINISTERSTWO
SPRAWIEDLIWOŚCI
www.ms.gov.pl



FUNDUSZ
SPRAWIEDLIWOŚCI

TEST „DO RZECZY”: HUAWEI P40 PRO

Rewelacyjny aparat fotograficzny, elegancki design, niesamowicie wydajna bateria oraz ogromny zapas mocy – to największe zalety najnowszego smartfona chińskiej firmy Huawei. Pierwszego modelu, który pozbawiony jest dostępu do usług firmy Google. Design jest minimalistyczny i elegancki. Obudowa jest wodoodporna (zgodna z normą IP68), a producent w zestawie dołącza przezroczyste etui.

Bardzo dobry jest też wyświetlacz OLED o przekątnej aż 6,58 cala, rozdzielczości 2640 x 1200 pikseli i wysokiej częstotliwości odświeżania (90 Hz).

Największą zaletą testowanego modelu jest system poczwórny aparat Leica z największym sensorem na świecie, dzięki któremu śmiało można powiedzieć, że P40 Pro jest w ścisłej czołówce modeli dla miłośników smartfonowej fotografii. Aparat fotograficzny w testowanym smartfonie obejmuje podstawowy obiektyw Ultra Vision o rozdzielczości aż 50 Mpix, obiektyw Cine 40 Mpix, obiektyw z teleobiektywem SuperSensing SuperZoom 12 Mpix (pozwala on na 5-krotne przybliżenie optyczne i maksymalnie 50-krotne cyfrowe) oraz obiektyw 3D do pomiaru głębi ostrości. Bardzo dobra optyka połączona jest ze stabilizacją obrazu w technologii OIS i AIS. Efekt jest prosty do przewidzenia – rewelacyjna jakość fotografii. Zdjęcia są ostre i pełne detali nawet w bardzo kiepskich warunkach oświetleniowych.

Tak dobre rezultaty w redukcji szumów P40 Pro jest w stanie uzyskać m.in. dzięki ogromnej



mocy drzemącej w procesorze Kirin 990 5G SoC. Szybki procesor oraz 8 GB pamięci RAM uprzyjemniają też życie miłośnikom gier. Spodobać się mogą również bardzo dobrze działający czytnik linii papilarnych oraz opcja odblokowywania telefonu za pomocą systemu rozpoznawania twarzy użytkownika.

Ogromnym plusem jest też niesamowicie wydajna bateria o pojemności 4200 mAh z opcją ładowania szybkiego oraz bezprzewodowego. Zasób energii pozwala na korzystanie ze smartfona nawet przez dwa dni bez potrzeby doładowywania.

Wady? Najbardziej frustrujący jest brak dostępu do sklepu z aplikacjami Google, który wynika z zimnej wojny toczzonej między prezydentem Donaldem Trumpem a władzami w Pekinie. W ten sposób Amerykanom udało się znacząco ograniczyć możliwości konkurencyjnego flagowca.

Korzystanie z tego modelu wymaga wielu kompromisów, kombinowania z wyszukiwaniem odpowiednich apek lub porzucenia dotychczasowych aplikacji na rzecz ich odpowiedników ze sklepu Huawei. Można się do tego przyzwyczaić, ale życie bez dostępu do serwisów Google wciąż jest na tyle mało komfortowe – brakuje np. możliwości płacenia telefonem za pośrednictwem Google Pay, dostępu do kalendarza Google, dostępu do aplikacji wielu banków czy serwisów taksówkarskich etc. – że na razie trudno by mi było zarekomendować kupno tego modelu komuś, kto nie ma hopy na punkcie robienia zdjęć. Na szczęście Chińczy z Huawei zdają sobie z tego sprawę i w ich własnym sklepie z apkami szybko przybywa tych, których najbardziej brakowało w momencie debiutu (w tym np. aplikacje niektórych działających w Polsce banków, najnowsza apka Netflix, mapy HERE).

Druga wada to nie najlepszy jak na flagowca dźwięk. Brak głośników stereo trochę dziwi, nawet jeśli jeden głośniczek gra całkiem przyzwoicie.

Cena: ok. 4,2 tys. zł. ©© **Jacek Przybylski**

PRAWIE JAK MAGNETOFON

Pamiętacie kaprale i kasprzaki? A bardziej już wypasione stereo magnetofony typu Daria? Albo muzyczne boomboxy pierwszej połowy lat 90.? Tęsknicie? No to właśnie mogą wrócić za sprawą RepliTronics i jego projektu miniradiomagnetofonu VingateBoombox.

Sprzęt jest na tyle niewielki, że z łatwością mieści się w plecaku, koszu rowerowym lub torbie podróżnej. Wykonany jest ze stali nierdzewnej, gumy i plastiku. Wyposażono go w podwójne 2,5-calowe głośniki stereo, które zapewniają 16 W pełnego, niezakłóconego dźwięku, nawet przy pełnej mocy. Ale wiecie, co jest najfajniejsze? Cichy, charakterystyczny, kultowy trzask, z jakim wysuwają się – tak jak w dawnych radiomagnetofonach – szufladki na kasety. Jak słuchać muzyki, pamiętając, że to tylko replika magnetofonu? Cyfrowo oczywiście. Na przykład poprzez Bluetooth lub z pendrive'a, ale można też użyć tunera AM/FM, aby słuchać stacji radiowych. Wbudowany akumulator o pojemności 10 tys. mAh zapewnia ponad 60 godzin czasu odtwarzania.

Cena: ok. 90 zł, dostawa w grudniu. Zamawiać można na Kickstar-terze.



LEPIEJ SŁYSZEĆ

Zatkane uszy generalnie nie są złą koncepcją. Można udawać, że się nie słyszy marudnego szefa. Gorzej, że żony czy partnerki już nie bywają tak cierpliwe. Może więc warto pomyśleć np. o Bebird: Smart Visual Ear Cleaning Rod, czyli aparacie do czyszczenia uszu z najnowszą technologią i z kamerą HD pozwalającą na lepsze usuwanie woskowiny. Jak twierdzi producent, Bebird X17 zawiera 11 różnych akcesoriów, które oferują 72 różne sposoby czyszczenia uszu. Dzięki trzem różnym rozmiarom miękkich łyzeczek do uszu ma on czyścić bez ryzyka podrażnień. Profesjonalny otoskop douszny wyposażony jest w 3 mln pikseli i obiektyw o długości 3,5 mm, który pozwala na oglądanie w czasie rzeczywistym obrazów drobnych szczegółów wewnątrz kanału słuchowego. Endoskop poprawia przejrzystość obrazu podczas usuwania pozostałości woskowiny. Zwiększa on również dokładność eliminacji każdego osadu, oczywiście przy wykorzystaniu łączą Bluetooth i aplikacji smartfonowej. Gadżet, o którym może się nie rozmawiać, ale który może okazać się przydatny.

Cena: 600 zł, zamawiać można na portalu Indiegogo, dostawa w czerwcu. ©©



Wojciech Wybranowski



POD WĄS

Ratunek ze Wschodu

IGOR ZALEWSKI

Wstyd się przyznać, czego mi najbardziej brakowało podczas izolacji. To nie byli przyjaciele, siłownia, basen, kino czy biblioteka. Nie marzyłem także o wizycie w Muzeum Narodowym. Ale też – to już brzmi trochę lepiej – nie tęskniłem za knajpami i drinkami. Acz może dlatego, że whisky z Żabki było całkiem dobrą opcją zastępczą. I to w dodatku znacznie tańszą.

Najbardziej tęskniłem za panią Haliną. Pani Halina to przewspañała osoba. Ciepła, mądra, troskliwa. Napisałem „tęskniłem”? Wróć. Tęsknię nadal. Pani Halina wciąż jest u siebie, na Ukrainie. I nie mogę się doczekać, kiedy wróci. Tak, pani Halina u nas sprząta. Przychodzi, a raczej przychodziła, dwa razy w tygodniu. I bardzo, ale to bardzo nam jej brakuje.

Jeśli bowiem kiedyś, snując kombatanckie opowieści, będę wracał do czasów pandemii, to po prawdzie będzie mi się ona kojarzyć z dwiema rzeczami. Pierwsza to oglądanie seriali na Netflixie, którymi z czasem zaczęliśmy odmierzać czas – „Pamiętasz, to było na początku izolacji, oglądaliśmy wtedy tę serię o zdobyciu Konstantynopola”, „Nie, moim zdaniem to już było pod koniec ograniczeń, gdzieś przy szóstym albo siódmym sezonie »Doktora Martinak«”. Skądinąd czas pandemii to u nas moment małej rewolucji: tradycyjna telewizja została zupełnie

wyparta przez serwisy on demand. Nie wiem, czy oglądaliśmy tradycyjny kanał telewizyjny choćby przez minutę. Chyba nie.

Ale do rzeczy. Drugie wspomnienie czasów pandemii to ciągłe, nieustające, niekończące się sprzątanie. Pranie, suszenie, prasowanie, składanie, układanie w szafach, wypełnianie zmywarki, opróżnianie zmywarki, ale przede wszystkim walka z kurzem, którego inwazja nastąpiła w takim natężeniu, jakby była kierowana przez jakąś wyższą i to do tego złośliwą istotę. Walczyliśmy z kurzem aż trzema rodzajami odkurzaczy, w tym jednym automatycznym, oraz różnymi rodzajami szmatek i ściereczek. Ale to były syzyfowe prace. Ciągłe przegrywaliśmy tę bitwę. Już byliśmy w stanie uwierzyć, że to jakiś spisek, że to Gates nam ten kurz dosyła za pomocą nadajników 5G, ale na szczęście oświecił nas syn, tłumacząc, że kurz to przede wszystkim złuszczone naskórek, a ponieważ ciągle wszyscy siedzimy w domu, to jest go więcej niż zwykle. Dzieci się jednak przydają.

Jeszcze bardziej przydaje się jednak pani Halina. Rany, jak jej nam brakuje. Ja wiem, że Wschodu rzadko do nas przychodziło coś dobrego. Tym razem będzie jednak inaczej. Niech już się otwierają te granice, niech przybywa, niech pomoże nam w tej wojnie i pozwoli przekierować naszą energię na coś innego niż pralka i odkurzacz. ©©



JAK MAKIEM ZASIAŁ

Aborcja bezpieczniejsza od porodu

MARCIN MAKOWSKI

Wychodzenie z intelektualnych stref komfortu oraz internetowych baniek informacyjnych to czynność, o której powinniśmy pamiętać na równi z poranną kawą i joggingiem. Inaczej przestaniemy rozumieć, kim jesteśmy, poglądy zamieniając na rytuały. Motywowany ludową mądrością symetrysty postanowiłem zapaść się w najbardziej lewicowe miejsca polskiego Internetu, testując własną odporność. Na pierwszy ogień poszedł facebookowy profil organizacji Dziewuchy Dziewuchom. Moją uwagę przykuła zwłaszcza jedna, utrzymana w charakterystycznym pomarańczowo-białym stylu grafika. Zobaczyłem na niej uśmiechniętą, dumną z siebie kobietę. „Miałam 25 aborcji” – głosiło hasło na jej bluzce, a komiksowy dymek z ust dawał: „Procedura wykonana zgodnie z zaleceniami WHO jest bezpieczna dla zdrowia”.

Przez chwilę sądząc, że to wyrafinowany trolling, postanowiłem wczytać się w treść posta. „Jak najlepiej zrobić aborcję? Tak wcześniej jak to konieczne i dokładnie tyle razy, ile potrzebujesz. Zarówno aborcja farmakologiczna, jak i chirurgiczna są bezpieczniejsze medycznie niż poród. Liczba poprawnie przeprowadzonych zabiegów nie ma wpływu na zdrowie osoby ani na jej zdolność poczęcia czy donoszenia ciąży w przyszłości” – brzmiał przypis do

obrazka. Tak, nie pomylili się państwo. Aborcja jest bezpieczniejsza od porodu, może być stosowana bez limitów, właściwie w dowolnym momencie oraz bez żadnej refleksji nad tym, czy zamiast 25 aborcji należałoby 25 razy pamiętać o antykoncepcji.

Im szedłem dalej, tym więcej podobnych kwiatków znajdowałem. Były wśród nich pochwały dla „partyzantki aborcyjnej” w Meksyku, której członkowie malują na ścianach nazwy oraz dawki środków powodujących poronienie, zarodek mówiący: „Gdybym miał poglądy, byłbym pro-choice” oraz typowe combo o złowrogim i seksualnie lubieżnym Kościele.

Lekko podana tematyka aborcyjna kontrowana była jednak serwowaniem ciągłego lęku przed faszystami oraz przemocą. „To nie kibole wyniosły faszyzm do władzy, ale polska klasa średnia” – głosił podpis pod tekstem ilustrowanym zdjęciem ślubnym Krzysztofa Bosaka. „Nie chcemy, aby reprezentowali nas ludzie, którzy nie radzą sobie z własnym gniewem” – przeczytałem w innym komentarzu do słów ministra Szumowskiego, który za krytyczne słowa Sławomira Nitrasa o jego żonie, „dałby mu w pysk”. Na szczęście w pewnym momencie dotarłem do posta o treści: „Ostrzeżenie. Kolejna grafika zawiera tekst, który może wzbudzić nieprzyjemne emocje”. I na tym, chcąc uniknąć nieprzyjemności, przestałem. ©©

GRZEGORZ
KUCHARCZYK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Centra uprzedzeń

Nowym ministrem nauki i szkolnictwa wyższego Wojciech Murdzek wysłał ostatnio do wszystkich rektorów list anonsujący swoją nominację. Pan minister zwrócił się jednocześnie do adresatów swojego pisma z prośbą o poinformowanie (sugestie), jak polski świat nauki może przyczynić się do obchodów stulecia urodzin Jana Pawła II. List został zaopatrzony w motto wzięte z prologu do encykliki „Fides et ratio”, głoszące, że „umysł człowieka wznosi się na dwóch skrzydłach, wiary i rozumu, ku kontemplacji prawdy”.

Taki nagłówek listu ministra wywołał gniewną reakcję dr. hab. Michała Bilewicza, kierującego pracami Centrum Badań nad Uprzedzeniami (CBU) działającego w strukturach Uniwersytetu Warszawskiego. Profesor UW napisał na

badania empiryczne”) stosuje do grasującej, również na UW, teorii gender. Jeśli tak, to musiałby odkryć, że bazuje ona przede wszystkim na wierze w słuszność własnych ideologicznych rozpoznań. Przecież żadna empiria za tym nie stoi. Swoją drogą twitterowy komentarz profesora UW jest zadziwiającym przejawem utrzymywania się staromodnych – sięgających czasów Lutra i oświecenia – teorii, że człowiek wierzący nie może być człowiekiem rozumnym i odwrotnie. Nowoczesna nauka już dawno odeszła od takiego ciemniactwa. Wystarczy spojrzeć na listę laureatów Nagrody Nobla z fizyki z ostatnich 20 lat, by się przekonać, że dla badaczy zajmujących się fizyką kwantową czy antymaterią taki sztuczny podział „wiara w kościele, rozum w nauce” odszedł dawno do lamusa.

Pracownicy w rodzaju CBU (nie mylić z CBA) są doskonałym przykładem zjawiska, którym mają się zajmować. Gdy w zeszłym roku, krótko po pożarze paryskiej Notre Dame, prezydent Andrzej Duda wyraził na Twitterze nadzieję, że odbudowa katedry będzie symbolem odbudowy Europy, również w jej duchowym wymiarze, ten sam dr hab. Michał Bilewicz zareagował w tym komunikatorze komentarzem, że paryska katedra „na razie przypomina nam o chrześcijańskich mordach na Żydach, a nie jakichkolwiek wspólnych fundamentach”. A to dlatego, że jedna z figur umieszczonych w katedrze przedstawia personifikację Synagogi jako kobiety z zasłoniętymi oczyma i oplecionej węzłem. Idąc za sposobem myślenia szefa CBU, można powiedzieć, że francuscy rewolucyjniści – inni przedstawiciele jednoskrzydłych ptaków (bez skrzydła wiary) – niszczyli figury starotestamentalnych królów Judei i Izraela, umieszczone na

fasadzie Notre Dame, popełniali akt obrzydliwego antysemityzmu. Zostawili figurę „ociemniałej” Synagogi. Przypadek?

Innym obok CBU ciekawym przykładem centrum szerzącego antykatolickie uprzedzenia jest rozkładający się na naszych oczach Kościół niemiecki. 26 kwietnia br. na łamach katolickiego tygodnika (tak jest podane w stopce redakcyjnej) „Christ in der Gegenwart”, wydawanego przez renomowane wydawnictwo Verlag Herder, w następujący sposób skomentowano zarządzoną przez abp. Stanisława Gądeckiego, przewodniczącego Konferencji Episkopatu Polski, modlitwę błagalną o deszcz: „Właściwie w dwudziestym pierwszym wieku magiczne wyobrażenia, wedle których człowiek prosi, modli się, składa ofiary, a Bóg w sposób ponadnaturalny interweniuje (miejmy nadzieję, że pozytywnie), powinny ustąpić wobec pojmowania wiary zorientowanego na rozum i naukowe rozpoznanie”. I dalej katolicki tygodnik niemiecki: „Pomimo oświeczonej krytyki tego typu podejście, przekraczające podziały religijne, jest nadal pielęgnowane w swoich archaicznych formach pobożności”.

To tyle à propos modlitwy wstawienniczej i wiary we wszechmoc i miłosierdzie Boże. Czyżby dla autora tych słów papież Franciszek modląc się przed cudownym krucyfiksem z rzymskiego kościoła San Marcello oddawał się „magicznym wyobrażeniom”? Czyżby taką „archaiczną formą pobożności” były zarządzone przez papieża 14 maja w całym Kościele modlitwy, post i jałmużna w intencji ustania pandemii? Czyżby w niczym nie mylił się Franciszek, gdy w 2015 r. mówił do niemieckich biskupów przybyłych ad limina o „erozji wiary” w ich kraju? ©©

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE



Twitterze, że: „Na uczelniach i w instytutach badawczych umysł ludzki ku prawdzie unosią trafne teorie i poprawne badania empiryczne. Wiarę zostawmy dla kościołów, meczetów, cerkwi i synagog, panie Ministrze”. Poetyka nawiązująca do tej, która przed laty głosiła, że studenci do nauki i pisarze do piór.

Ciekawe, czy autor tych słów sformułowane przez siebie kryterium („trafne teorie i poprawne

PRENUMERATA 2020 W CENIE 2019

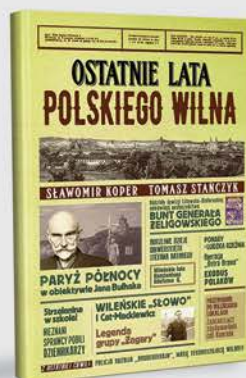
TYGODNIK LIŚCICKI
**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA



TYGODNIK „DO RZECZY”
I MIESIĘCZNIK
„HISTORIA DO RZECZY”

WERSJE PAPIEROWE TYGODNIKA
I MIESIĘCZNIKA ORAZ DOSTĘP
DO E-WYDAŃ W APLIKACJI



W PREZENCIE
KSIĄŻKA:

S. KOPER I T. STAŃCZYK
„OSTATNIE LATA
POLSKIEGO WILNA”

~~746~~ zł



281,00 zł



OSZCZĘDNOŚĆ
465 zł

ZOBACZ NASZE OFERTY: **PRENUMERATA.DORZECZY.PL**

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR. 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 22 529 12 10, 539 953 631 INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl

TANIE TANKOWANIE

Reszta należy do Ciebie

